221

Luty — 1860.

SIR JOHN BOWRING
O CHINACH.

Na kanwie politycznych wypadków w rozpoczętym roku, troje ich najwydatniéj się odznacza, sprawując w téj chwili powszechne zajęcie, mianowicie: Wojna z Maroko którą Hiszpania prowadzi, sprawa Włoch środkowych i wojna chińska. O dwóch pierwszych niema co pisać, wszelka o nich nowość zdaje się być wyczerpana. Inaczéj ma się rzecz o Chinach. Dwie zbrojne wyprawy, angielska i francuzka odpływają na nie, częścią z portów europejskich, częścią z Indyj; a trzecią gotuje Rosya jak słychać, w obronie świeżo zagarnionych na Chinach prowincyj nadamurskich, oderwanych przeciw woli a nawet wiedzy cesarza Chińskiego, a które ten władca zamierza nazad odzyskać. Ważne więc wypadki snują się tam w przyszłéj perspektywie, a z trudnością dające się ocenić, tak dla odległości tego kraju azyatyckiego, jak dla zupełnego braku znajomości we-

wnętrznego jego składu, instytucyj i materyalnych zasobów. Nieprzełamany mur, jak wiadomo, odosobnia od wieków Chiny od reszty świata, a większa część tych co do nich zajrzeć odważyli się, ponosiła męczeństwo. Szczęśliwe zdarzenie nastręczyło mi sposobność zebrania niektórych autentycznych szczegółów o Chinach, udzielonych mi przez Sir John Bowringa, byłego komisarza królowéj w chińsko-angielskich posiadłościach Wielkiéj Brytanii, z którym mnie oddawna związki przyjaźni łączyły. Ilem więc podczas widzenia się z nim, z jego ust słyszał, lub z pism jego wyczytał, to w treści dla was zebrałem. Sir John Bowring urzędując przez siedm lat w Hong-Kong, znosił się na mocy swego urzędu z władzami chińskiemi, i miał wszelką sposobność do obeznania się dokładniéj z całym krajem.

Piszący dotąd o Chinach jednozgodnie to przyznawali, że kraj ten ze wszystkich jest najludniejszym, podając rozmaicie jego ludność. Według najnowszego jéj opisu zrobionego przed wyjazdem Sir John Bowringa, okazuje się że ludność Chin wynosi nie wiele mniéj od 412,000,000 dusz, niewłączając w to jeszcze ludności wielu hołdowniczych krain leżących na ich pograniczu. Za jednem spojrzeniem na mapę jeograficzną, jak J. Bowring mówił, łatwo się przekonać o tem. Powierzchnia posiadłości Cesarstwa Chińskiego, włączając ziemie podległych mu hołdowniczych ludów, rozciąga się od wschodu do zachodu na 4,000 mil, a od północy ku południu na mil 2,300. Ziemia na całéj téj przestrzeni obfituje w płody różnego rodzaju, będąc nadzwyczajnie urodzajną. Rozprzestrzeniając się od śniegów północy do skwarnéj strefy zwrotnikowéj, prowincye chińskie wydają wszystko cokolwiek przyroda w swéj nieograniczonéj hojności wydać zdolna. Chiny kilka wieków temu podbite były przez Tatarów mańczuskich, liczą ich ośm do dziesięciu milionów; oni posiadają większą

część władzy i wyższych urzędów. Oprócz nich znajduje się niemała liczba Mongołów; wielu z nich używa wielkiéj powagi, i biorą również znaczny udział w zarządzie kraju. Ogromna ta ludność a coraz bardziéj rozradzająca się, jakkolwiek posiadająca kraj obszerny, przeludnia go tak dalece że jego produkcya nie wystarcza na jéj wyżywienie. Ztąd pochodzą liczne wychodźtwa Chińczyków i niemal rozsypywanie się ich na Wschodzie po wszystkich sąsiedzkich a dostępnych dla nich krainach, co uważać można za osobliwy objaw w nowoczesnéj historyi. Dokądkolwiek tam się obrócisz, napotykasz wszędzie chińczyków, a gdziekolwiek się ich napotyka widzieć można między nimi przemyślność, pracowitość, wytrwałość, oszczędność, wstrzemięźliwość. Są to przymioty im właściwe—nałogi które zdają się ze swego kraju z sobą przynosić, przez co usuwając we wschodnich krajach robotników pośledniejszych plemion azyatyckich, zastępują w różnych robotach ich miejsca. Na kilku wyspach, po zabraniu ich na posiadłość angielską wszystkie prawie roboty wykonywane były wyłącznie przez Malajów; a teraz przeciwnie znajduje się 70,000 do 80,000 Chińczyków w Singapore co podejmują się wykonania wszystkich robót wyższą płacę przynoszących. W ten sposób wielu z nich zabezpiecza sobie dobry byt, przychodzi do zamożności nawet i poważania w społeczeństwie. W Kalkucie zajmują się Chińczycy szewiectwem, i niemal cały handel obuwia zostaje w ich ręku.

Sir John Bowring zwiedzając wyspę Mindanao, najodleglejszą z południowych wysp Filipińskich, znalazł i tam mnóstwo chińskich wychodźców w Porcie Nowym bo przed trzema laty tylko otwartym. W nim także widział pracowity ten lud wykonywający największą część robót, i co Hiszpanom, do których te wyspy należą, nie udało się zrobić, to ci Chińczycy zrobili, utorowali bo-

wiem drogę wewnątrz kraju i zaprowadzili handel z pokoleniami dzikich Indyan zostających w najniższym stanie poniżenia. Najniższym zaś stanem poniżenia, zdaniem Bowringa, jest takowy, w którym lud nie gotuje sobie pokarmu, ani używa odzieży, ani buduje chat na mieszkanie. Wielu chińczyków puszcza się przez Ocean Spokojny do Kalifornii, i tam oni również odznaczają się pracowitością, wśród zbiegowiska innéj awanturniczéj ludności w kopalniach złota.

Uwagi godne postrzeżenie zrobione przez Bowringa, a które już inni przed nim robili: że wyższe i szlachetniejsze rasy zacierają wszędzie pośledniejsze, barbarzyńskie plemiona i ostatnie stopniowo znikają pod naciskiem cywilizacyi i rządności oświeceńszych ludów. Objawia się to zarówno w Azyi jak na stałym lądzie Ameryki, gdzie z pierwotnych mieszkańców krajowych, zwanych zwykle Indyanami ledwie trzy miliony zostaje, a liczba ich niewzrasta lecz coraz bardziéj zmniejsza się. Toż samo dzieje się w Azyi osobliwie na wyspach zamieszkałych przez podobnież dzikich Indyan czyli krajowe rasy; chińscy wychodźcy, którzy w porównaniu wyżsi są od nich, zacierają je, i one przed niemi nikną. Niezłomne to prawo postępu cywilizacyi, sile jéj nic oprzeć się nie zdoła i uledz musi. Skutkiem tego nietylko plemiona ludów giną, ale narzecza ich mowy, dla braku wykształcenia i ubóstwa zacierają się ustępując miejsca doskonalszym od nich językom, postępowi rodzaju ludzkiego więcéj odpowiednim. Na wielu wyspach brytańskich różnemi mówiono językami, a teraz zlały się w jeden język angielski. To samo działo się we Francyi, gdzie lud każdéj prowincyi dawniéj używał w mówieniu osobnych narzeczy. Wyższość oświaty zlała je w jeden język, a nim był język piśmienny, wykształcony przez jéj autorów.

Godnem uwagi w charakterze emigrantów chińskich, est to że chociaż milionami wychodzą z kraju, każdy z nich przecie dorobiwszy się majątku, stara się wrócić na ojczystą ziemię. Dlatego nie biorą oni nigdy z sobą żon, i zabieranie ich nawet prawem niepozwolone. Bowring zwiedzając jednę z wysep zastał na niéj 136,000 chińczyków, a jedną tylko chińską kobietę, co mu się zdawało być wielką niedolą i chińczycy sami to przyznawali. Jak dalece zaś przywiązani są do swéj ojczyzny, okazuje się z tego, że kiedy kto niemoże wrócić do niéj żyjący, zwłoki jego posyłane bywają do niéj, aby duch jego spoczywał w rodzinnych grobach. „Zdarzało mi się często widzieć okręty ze zmarłemi w trumnach — mówił Bowring — przybywające do kolonii zostającéj pod moim zarządem. Trumny te przywożono z obcych krajów, aby zwłoki zmarłych chińczyków mogły spoczywać w miejscach, gdzie zwłoki ich rodziców są złożone.“

Inny charakterystyczny rys odznaczający chińczyków jest poszanowanie jakie mają dla swych przodków. Im przypisywać zwykli dobre swe przymioty, wszystkie cnoty, a w części nawet swe ułomności i wady. Do czci dla przodków łączą cześć dla przeszłości, do niéj się w stosunkach towarzyskich odnoszą, i z niéj biorą dla siebie naukę. Dla nas samych niebyłoby bez korzyści poznanie ich przeszłości, zwłaszcza, że Chiny jedynym są krajem, w którym śledzić można zwyczaje ludu, prawa i instytucye narodu, przechowane od przeszło trzech tysięcy lat z przed ery chrześciańskiéj. Języki jakiemi my w Europie mówimy, z wyjątkiem może kilku małoznanych narzeczy których źródła dośledzić trudno, należą w porównaniu wszystkie do nowoczesnej epoki; gdy język jakiego Konfucyusz używał, przetrwał do dziś dnia i zrozumiałym jest dla 500 milionów ludności. Co za potęga, rzekł sir John Bowring, mieć jednostajną piśmienną mowę, która jest zrozumiałą dla wszystkich

lubo pospolita ich mowa w różnych stronach jest odmienną, i w niéj nie wszyscy z sobą zrozumieć się mogą. Jednego dnia pewien mandaryn chiński rzekł do niego: „Nieprzeczę żebyście niebyli ludźmi postępu, gdyż macie tęgich wojowników i zrobiliście wiele tęgich wynalazków; jesteście wszakże pomimo to wszystko, tylko barbarzyńcami, gdyż przybywacie z Zachodu. Oto widzę pismo angielskie, ułamek waszych zachodnich języków; pokażcie je komu z najbliższych sąsiadów waszych, Francuzowi lub Niemcowi, a on ani słowa w niem niezrozumie; ani też wy, gdyby oni do was pisali lub mówili swoim językiem, ich niezrozumiecie. I my wprawdzie niewymagamy w Chinach, aby wszyscy Chińczycy jednym językiem rozmawiali z sobą, ale to co piszemy zrozumiałem jest zarówno w Japonii, w Korei, w Kochinchinie i w Siamie.“ I zaiste, zważając na powszechność pisanéj ich mowy daleko oni nas wyprzedzili i mamy im co zazdrościć. Organem takowym powszechnéj mowy w Europie była za dawniejszych wieków łacina, z któréj nowoczesne języki litery sobie przyswoiły. Od Arabów przyjęliśmy znaki rachunkowe, nabytek nieocenionéj i powszechnéj użyteczności, a ten większéj jeszcze nabyłby wartości przez upowszechnienie w rachunkowościach rachunku dziesiątkowego, który ledwie częściowo dotąd w niektórych krajach został zaprowadzony. Anglia, gdzie jako w kraju handlowym rachunkowość wymaga najwięcéj ułatwienia, pomimo wniosku przed dziesięcią laty w parlamencie zrobionego o przyjęcie rachunku dziesiątkowego — Anglia, mówię trwa ciągle przy swym dawnym, a trudnym rachunku dwunastkowym. Chińczycy wyprzedzili znajomością rachunku dziesiątkowego uczoną Europę, i niemało zdziwił się sir John Bowring, znajdując iż wszystkie rachunki u Chińczyków odbywały się dziesiątkowym sposobem, jako ze wszystkich innych najnaturalniejszym.

Bóg dał ludziom po dziesięć palców u rąk, po dziesięć u nóg; więc liczba ta powinna im służyć za pierwotną podstawę wszelakiego rachunku. Dziesiątkowy rachunek jest w codziennem używaniu, i nikt — jak sir John Bowring mówił — od niego nie odstępuje, prócz gdy kogo chce oszukać. Niema u nich w rachunkach podziałów na 4, na 12, ani na 20, jak w Anglii, lecz wszystko idzie na dziesiątki. Bowring ubolewał, że kiedy większa część krajów na stałym lądzie, jako Francya, Hiszpania, Szwajcarya i Włochy pozaprowadzały u siebie rachunek dziesiątkowy, Anglia jeszcze pozostaje przy dawnym a niewygodnym trybie rachowania.

Wracając od tego przedmiotu do Chin, Bowring uważał daléj: że Chiny nie szły za przypowieścią Salomona który mówił: „Niepowiadaj, że przeszłe dni były lepsze od teraźniejszych, bo o nich niemądrze sądzisz;“ ani za Bakonem, który teraźniejsze pokolenie miał za najstarsze, a dawniejsze za młodsze; chcąc dać przez to do zrozumienia, że późniejsze pokolenia do przodków doświadczeń dodając własne doświadczenia nierównie więcéj stają się mędrszemi. Bo i cóż może być potworniejszego nad ciągłe obstawanie przy dawném i owe powtarzanie słów: „Niechcemy być mędrsi od naszych przodków;“ lub to: „Ojcowie nasi przed nami tak robili, tak i my robimy.“ Owóż to trzymanie się téj zasady, zatamowało wszelki postęp w Chinach. My na to żyjemy, by mędrszemi być od ojców i wychowywać dzieci mędrsze od nas samych.

Poszanowanie i cześć dla przodków objawia się u nich w osobliwszy sposób. W każdym chińskim domu znajduje się komnata, zostająca pod szczególną opieką zmarłych przodków. Do tych komnat zwyczaj mają w pewne dnie uroczyste wprowadzać dzieci, aby im opowiadać o czynach i cnotach ich praojców. Wpatrując się tak w przeszłość i wcielając jéj ducha w instytucye

krajowe, podwyższają oni sławę swych zasłużonych ludzi; nieprzenoszą jéj wszakże bynajmniéj na ich potomstwo. Mawiają bowiem: „Znamy czem on jest, wiemy czem był jego ojciec, lecz wiedzieć niemożna czem będą jego dzieci; przestrzegać winniśmy, by cześć nasza dostawała się tylko godnym, a nie niegodnym“. Jeśli zatem kto z nich przyjdzie do wysokich godności, wielka cześć oddaje się jego rodzicom, dziadom, pradziadom i innym przodkom.

Dobre wychowanie i nauka jedynie torują u nich drogę do najwyższych dostojeństw, a wymagalności te nie są trywialne, jak Sir John Bowring mówił. Jest naprzykład, najwyższa akademia w Chinach, zwana Han Lyn, składająca się z najuczeńszych mężów, wybranych zpośród czterech set milionów ludności krajowéj. Pragnący zostać jéj członkiem powinien posiadać jak najobszerniejszą znajomość historyi swego kraju, i tacy obierani są przez konkurs czyli współzawodnictwo. W wyznaczonéj porze na egzamina, szkoły ze wszystkich prowincyj chińskich wysyłają na walny popis, ilu mają celujących uczniów; i to nie samą młodzież, ale ludzi podeszłego wieku, nawet starców jedną stopą u grobu stojących. Wielu z nich przedwcześnie przypłaca życiem, w skutek usilnego przykładania się do nauk. Od stających do egzaminu wymaga się, aby każdy pisał kaligraficznie, dla tego Chinczycy celują pięknością pisania, i żadne pismo, choćby najgruntowniéj przedmiot wykładające, nie bywa przyjęte, jeśli kaligrafia jego jest zaniedbaną. Teraźniejszy prezes akademii Han Lyn, który może być uważany za naczelnika literatury i oświaty chińskiéj, jest synem ubogiego przekupnia z Ning-Po, i jedynie wyższość nauki wyniosła go na to wysokie dostojeństwo. Gdy godność tę osiągnął, najznakomitsze osoby z całéj okolicy udały się do mieszkania jego rodziców, dla oddania im czci z powodu

wyniesienia ich syna, policzając ich do rzędu szlachetnych rodzin. Jego ojciec, matka i nawet babka jego byli jeszcze wtenczas przy życiu. Honory u Chińczyków idą w górę, a nie na dół: Najsławniejszy ojciec nie zawsze miewa godnych siebie potomków, na nim przeto kończą się wszelkie zaszczyty, nie przechodząc spuścizną na dzieci.

Niesłusznie byłoby zarzucać Chinom braku szkół lub zaniedbania wychowania publicznego. Z saméj prowincyi Kwang Tung, mającéj do 20,000,000 ludności, wysyła się z różnych szkół rocznie 7,000 do 9,000 najwięcéj celujących uczniów do Kantonu na egzamina. Dla każdego z uczniów przeznacza się tam osobny pokój, gdzie zostając sami pracują nad rozwiązaniem zadań popisowych, a z tylu tysięcy współzawodników tylko siedmdziesięciu otrzymuje przeznaczone na nagrodę honory. Przy tych popisach przedsiębiorą się wszelkie środki ostrożności dla zapobieżenia przekupstwu i wpływowi obcemu. Examinatorowie trzymani są pod zamknięciem. Wiozą ich do sali popisowéj w lektykach zamkniętych, a klucze wysyłane są osobno przed nimi na odemknięcie ich jak na miejscu staną; odwożą ich podobnież z sali nazad do domu zamkniętych na klucz.

Co do religii w Chinach, niema w niéj, jak Bowring uważał, jednostajności. Sekta filozoficzna, czyli zwolenników nauki Konfucyusza, jest najliczniejszą. Mędrzec ten żył około 600 lat przed erą chrześciańską, i pisma pozostające po nim zawierają wiele zdrowych i pożytecznych przepisów. Obejmują one tak historyą jego czasów jak i odleglejsze dzieje na dwa tysiące trzysta lat przed Narodzeniem Chrystusa, i świadczą o nadzwyczajnym stanie cywilizacyi Chin w owéj epoce. Z jego pism okazuje się, że Chińczycy już przed czterma tysiącami lat zajmowali się uskutecznianiem tych samych przedsięwzięć jakie nas dziś zajmują. Zatrudniali się drenowaniem swego kraju, skopywaniem gór i równa-

niem dolin na gościńce, spisem statystycznym ludności, hodowaniem jedwabników, tak, że lud średniéj klasy ubierał się już wtenczas w jedwabne szaty. Weszło u nich nawet w przysłowie: że za hańbę poczytano dla człowieka, co dożywszy lat trzydziestu, nie nosił odzieży jedwabnéj. Dziwna to rzecz, zważając że w Europie jedwab ledwie w dwunastym lub trzynastym stuleciu począł wchodzić w używanie, a przynajmniéj nieznano go wcale aż do drugiego wieku po Chrystusie. Chińczykom znany był także od wieków kompas tak użyteczny w żegludze, i ściśle według niego strony świata oni dotąd oznaczają biorąc za podstawę linię północną i południową, jak to czynią marynarze na morzu. Sztukę drukarską my w Europie znamy od czterech do pięciu wieków, i robienie papieru niedawniéj — materyału, który może silniéj posłużył od samego druku do szerzenia oświaty. Lecz ważne te wynalazki, z których tyle się chlubimy, są niemal wczorajsze w porównaniu z Chińskiemi. W Chinach bowiem daleko dawniéj i druk był znany, a papier już od szesnastu wieków — wyrabiano go, jak z opisu dawnych pism ich widać, z masy ze starych szat przyrządzonéj. Rolnictwo było w kwitnącym stanie, i w wielkiem poszanowaniu u ludu. Na tysiąc lat przed Chrystusem jeden z ich cesarzy zyskał miano: Boskiego Gospodarza, dla zachęty jaką dawał ludowi w uprawie roli; a jedna cesarzowa, z tego samego okresu czasu, zyskała dla siebie cześć boską, za ulepszenie zaprowadzone w warsztatach tkackich. Znaczna część danin, nawet od prowincyi hołdowniczych, wnoszona była wówczas w tkaninach z jedwabiu. Nie było mędrca na świecie, któregoby nauka miała wpływ obszerniejszy i dłużéj przetrwała od Konfucyusza. Jego pisma znane są i język ich zrozumiały dla połowy rodzaju ludzkiego. Jego maksymy znamionuje wysoka mądrość, i z każdego wyrzeczonego słowa przebija

zdrowy rozsądek i praktyczność zastosowania do spraw życia. Odbywał wiele podróży, podczas nich udzielał się wszystkim co radzi byli go słuchać. Jest on do dziś dnia przedmiotem powszechnéj czci, a świątynie jakie dla niego powznaszano, uczęszczane są najwięcéj przez uczonych i wysokich urzędników stanu. W przybytkach jemu poświęconych nie napotyka się nic bałwochwalczego; niema posągów, niema obrazów prócz wizerunku mędrca. Konfucyusz nigdy nie rozprawiał o rzeczach będących nad ludzkie pojęcie. Gdy był zapytany: co myślał o przyszłości? „Pytajcie się mnie, odrzekł, raczéj o tem co jest teraz, lub co było, a powiem wam co wiem, a nie mówcie mi o przyszłości któréj ja nieznam". Gdy go zagadniono o sztuce wojennéj, odpowiedział: „Nie mnie o to pytajcie, pójdźcie do wodza co zwyciężał w bitwach". Gdy wzywany był o danie rady w rolnictwie: „Idźcie do starego gospodarza, on więcéj wie odemnie". Mądrość ta przebija z wszystkiego co mówił i czynił: a przecie niepozwalał nazywać siebie ani mądrym ani dobrym, bo to mawiał niedaje się stosować do śmiertelnéj istoty, szukającéj poznania, starającéj się o dobroć. On też ogłaszał w swych pismach ową wielką zasadę Zbawiciela: Nie czyńcie innym czegobyście niechcieli aby wam czyniono.

Drugą po wyznawcach Konfucyusza sektę stanowią Buddyści. Ze wszystkich sekt religijnych na kuli ziemskiéj buddyzm ma najwięcéj wyznawców; liczą ich obecnie do pięciuset milionów w Azyi. Bożyszczem czczonem przez nich jest Budda, a nauką buddyzmu jest, że wszystko w ciągu czasu pochodzi od bóstwa, które na początku wieków stworzyło świat i rzuciwszy go w przestrzeń pozwala mu się swym trybem obracać. Wszystko z ręki bóstwa wyszło doskonałe lub rozwijające się w czasie: na co bóstwo, dziełem swem zadowolnione, pogląda z niewzruszoną spokojnością i z po-

godnem okiem. Przytem, od miliona do milionów wieków dzieją się emanacye czyli przeobrażenia bóstwa, trwające ciągle i bezustannie; ale wymagają wieków, zanim się mogą objawić we wcielonéj postaci. Dla tego liczą trzech Buddów; jeden Budda co był, drugi Budda co jest, a trzeci Budda co będzie. Dwaj pierwsi tylko są znani, a wcielenie i przyjście trzeciego jest oczekiwane [1]. Przyjście zaś tego, jeden z kapłanów buddyjskich Bowringowi w ten sposób starał się wytłómaczyć: Wyobraż pan sobie wielką skałę granitową. Co sto tysięcy lat anioł nad nią przychodzi, i potrąca oń podołkiem swéj szaty. Naturalnie za najlżejszem jéj otarciem ubywa cóśkolwiek ze skały. Przyjście zatem trzeciego Buddy niepierwéj nastąpi, aż kiedy skała granitu, powtarżanem przez anioła ocieraniem co sto tysięcy lat swéj szaty, zostanie do szczętu startą". Inny kapłan w państwie Siam powiedział mu: iż niema miejsca na dotknięcie szpilki na całéj ziemi w któremby Budda niebył obecnym. Budyści wierzą w przechodzenie dusz, czyli tak zwaną metempsychozę. Dobrzy po śmierci przechodzą, według ich zasług, w szlachetniejsze istoty, źli w podłe i odrażające. I tak złoczyńcy, mężczyzni lub kobiety, przemieniani być mają po śmierci w gady i ropuchy, a te ropuchy i gady przechodzą jeszcze przez swoje dla nich przeznaczone zmiany kary, po temuż, dla złych okropne i wyobrażenia niektórych znajdują się w ich świątyniach. Kłamcom, na przykład, złe duchy wydzierają języki rozpalonemi kleszczami. Pijanice wystawiani są siedzący na brzegu morskim, na piaszczystéj naokoło przestrzeni, pod palą-

[1] Szczególna rzecz a dla filologów może ważna, że w tych trzech wiekuistych *Buddach* polskie: *być* byt i słowiańskie *budu* — wyrazy równoznaczące zdają się plątać. Czy dawna religia Słowian nie miała związku z buddyzmem? (*P. A.*)

cem z góry słońcem, z naczyniem wody przed oczami ale któréj niemogą dosięgnąć.

Trzecią sektę religijną stanowią Taliści. Podobna ona do sekty filozoficznéj dawnéj Grecyi, mającéj za zasadę i cel najwyższe dobro. Lecz ona nie jest liczną i nauka jéj gubi się w mistycyzmie.

Co do stosunków towarzyskich sir John Bowring uważał jako szczególny rys charakteru Chińczyków, że mało u nich przywiązuje się wartości do życia, i od kary za największe zbrodnie można się okupić zastępcą. Skazani na śmierć, a bogaci, mogą kupić sobie za pieniądze zastępcę, co karę za nich poniesie, i nigdy nie brakuje na to kandydatów. Cena ich stała bywa 100 do 120 uncyj srebra, to jest od 60 do 80 czerwonych złotych. Opłata ta krwi idzie na utrzymanie żony i dzieci zastępcy, i poświęcenie się takowe uważane jest za zaszczytne dla jego osoby.

O charakterze wielkorządzcy chińskiego w Kantonie, Mandarynie Yeh, tyle sir John Bowring mówił: że był to człowiek niepospolity, doskonale obczytany w dawnych dziejach i literaturze swego kraju; lecz tak mało obeznany z postępem nowoczesnéj oświaty, że słońce u niego obracało się jeszcze naokoło ziemi. Napróżno byłoby przekonywać go, że rzecz ma się inaczéj, gdyż taki miał zapas cytacyj po cytacyach z dawnych autorów, że niepodobna go było przeprzeć rozumowaniem. Według jego rozumienia, ziemia była obszerną płaszczyzną, Chiny na niéj w pośrodku, a za granicami Chin ludy barbarzyńskie z któremi nieprzystało Chińczykom wchodzić w bliższe związki. Przez siedm lat — mówił sir J. Bowring kołatałem u bram Kantonu aby się z nim widzieć, a byłoby się może uniknęło wojny; lecz wszelkie moje nalegania odrzucał Yeh z pogardą. Napisał do Cesarza upewniając że nas odpędzi, w morzu potopi, i

była pora w któréj Chińczycy wierzyli, że waleczność ich mandarynów tego dokaże.

Handel z Chinami, według zdania Bowringa, jest mniejszéj wagi dla Anglii jak dla samych Chińczyków. W handlu tym 40 do 50 milionów kapitału angielskiego jest w obrocie. Przynosi on od 3 do 4 milionów dochodu dla skarbu indyjskiego, a reszta wpływa do skarbu angielskiego. Za zarządu byłéj Kompanii indyjskiéj, która miała monopol handlu herbatą, sprowadzano z Chin tylko 35 milionów funtów herbaty na rok; lecz od czasu skasowania tego monopolu, wywóz herbaty powiększył się do 120 milionów funtów. Jest to tryumf wolności handlu. Bowring oddawna był jednym z najgorliwszych jego obrońców, i mówiąc o tem ileby Chiny dostarczyć mogły surowego jedwabiu do fabryk angielskich, opowiadał co mu się raz zdarzyło w Coventry, miejscu fabryk jedwabnych, gdy przed laty po pierwszy raz śmiał publicznie o wolności handlu mówić. Zahuczany, wygwizdany był jako teoretyk, co miasto ich do ostatka chce zrujnować; zagrożono mu ukamienowaniem gdyby się ważył kiedy tam ukazać. Mimo to parlament niedał się zrazić narzekaniami i trwogą monopolistów — zaprowadził wolność handlu. W niewiele lat okazały się ztąd jak najpomyślniejsze skutki. Miasteczko Coventry, na którego ulicach za monopolu trawa rosła, zostało w kilku latach kwitnącem, zamożnem miastem. Wyroby jedwabne których wartość niewięcéj wynosiła nad 300,000 fst. roku 1832, doszła obecnie do 2,600,000 fst., a dowóz surowego jedwabiu cztery razy zwiększył się. Jedwab ten sprowadza się z obcych krajów, a w części i z Chin. Płaca robotnika w fabrykach również wzrosła; gdy dawniéj płacono mu tylko 12 szylingów na tydzień, teraz pobiera on 24 szylingów.

I tak wolność handlu nietylko pomyślnie działała na wzniesienie fabryk zabezpieczając właścicielom ich

większy zysk, lecz zarazem polepszyła znacznie dobry byt robotniczéj klasy w Anglii. Zasada ta w ekonomii politycznéj wypróbowana, w skutkach niezawodna. Anglia ją pierwsza u siebie rozwinęła, i odnosi z niéj korzyści. Za nią, i w jéj ślady zdaje się teraz chcieć iść Francya. Oby i inne kraje bacząc na własne dobro, przyjęły ją sobie za wzór. Nadzieja ta niezdaje się być płonną, gdyż po zawarciu handlowego traktatu między Anglią a Francyą, oba te mocarstwa chcą połączyć swe usiłowania — jak w téj chwili słychać — aby wciągnąć i inne kraje do wspólnéj téj ligi wolności handlowéj.

K. Lach Szyrma.

SZÓSTE WSPOMNIENIE

O PUŁKU LEKKOKONNYM POLSKIM GWARDYI NAPOLEONA I.

Rok 1812.

Od chwili kiedyśmy kreślili ostatnie nasze Wspomnienie z lat 1810 i 11go doszła nas wiadomość o stracie dwóch współtowarzyszów drogich i bliskich osobiście: Dominika Kiełkiewicza na Wołyniu, i Walentego Zwierkowskiego w Paryżu, zmarłych. Kiełkiewicz wyszedł razem zemną z Warszawy w oddziale kapitana Wincentego Radzimińskiego, i szliśmy razem od Wisły aż do Bajony; tu Kiełkiewicz odłączył się odemnie, i d. 14go lipca 1808 odznaczył się pod Rioseco — później długi czas był wachmistrzem szefem w 1ej kompanii pułku, zostającéj przez lat kilka pod mojem dowództwem. Odznaczywszy się mianowicie w kampanii 1814 r. we Francyi, został kapitanem i ozdobiony krzy-

żem oficerskim legii honorowéj. Powróciwszy do kraju, był przez krótki czas, jako kapitan w pułku 4ym ułanów królestwa kongresowego, dowództwa pułkownika Kozietulskiego. Wystąpiwszy ze służby wojskowéj, i ożeniwszy się zostawał przez wiele lat jako dawny kolega i przyjaciel, pomocnikiem moim w majętnościach które posiadałem w Królestwie, na Litwie, a mianowicie na Wołyniu; z tych w roku 1831 powitał przechodzącego dzielnego jenerała Dwernickiego, i został przez niego mianowany majorem; a po konfiskacie mojego majątku, udał się do zatrudnień rolnych w okolicy Radziwiłłowa i tam zmarł w roku 1859.

Walentego Zwierkowskiego poznałem w Madrycie przed d. 2go maja r. 1808, — w kampanii zimowéj przeciwko Anglikom z r. 1808 na 9 w okolicy rzeki Esla i miasta Benevente, w potyczce z jazdą angielską pod wsią Servinianos, Zwierkowski obok kapitana Seweryna Fredro, ratował mnię z zagranicznéj przewagi, i oba zostali ranni od angielskiego pałasza; następnie w walnéj bitwie pod Wagram powtórnie ranny i przez zabicie konia stłuczony, opuścił nasz pułk i służbę wojskową — późniéj zasłużył się jako obywatel sprawie narodowéj znakomicie jako poseł na sejmy królestwa kongresowego, w roku 1831 został majorem Krakusów, i powszechnie znany i kochany zmarł w Paryżu w grudniu 1859.

Tu więc poświęcamy te słów kilka kolegom naszym: Kiełkiewiczowi i Zwierkowskiemu w dowód wysokiego szacunku i na pamiątkę ich rodzin.

Pozwól poważny cieniu! świeżo w Krakowie zgasłego Jana Skrzyneckiego, i o Tobie zamieścić tu wzmiankę: nie należałeś wprawdzie do szeregów gwardyi polskiej Napoleona, ale tylokrotnie walcząc blisko naszego pułku, któregoż z naszych zasłużeńszych oficerów nie znałeś? a od kogoż w całym pułku lekkokonnym ułanów gwardyi nie byłeś znany i kochany? Z naszym pułkiem

razem broniłeś Napoleona pod Arcis sur Aube, z nim wspólnie dotrzymywałeś bohaterowi wierności do ostatniéj chwili; z nim razem powracałeś do stron ojczystych. — Kiedy po bitwach grochowskich, w obozie powązkowskim zapowiadałeś osobiście wojsku uszykowanemu (czego byłem naocznym świadkiem) że przyjąłeś „wieniec cierniowy naczelnego dowództwa, w celu: zwycięztwa lub śmierci“, a wznosząc oczy ku niebu, oddałeś „wojsko i siebie w opiekę tego Boga, który błogo„sławił orężowi Stefana Czarnieckiego“ dodając: „że „tego wojownika, stawiasz sobie i wojsku za wzór...“ nie przewidywałeś dzielny rycerzu! że zgiełkliwe narady niewojskowych, nie dadzą ci dokończyć chlubnie rozpoczętego dzieła, i że nieprzyjaciel sam upadek Twéj władzy poczytał sobie za pierwsze swoje zwycięztwo... a ja tu, po Twoim zgonie powtarzam, to com w Bolimowie wyrzekł o Tobie do Wincentego Niemojowskiego: Si Pergama dextrâ
Servari possent, etiam hac servata fuissent [1]).

Po tak bolesnem świeżem wspomnieniu, przystępujemy do niemniéj bolesnego, kiedy podobnież ze szczytu nadziei, spadliśmy do głębi bezdennéj przepaści, chcę mówić: o roku 1812ym!

Przedewszystkiem jednak, odzywam się do moich czytelników: że nie mam zarozumienia, kreślić w krótkich wyrazach dziejów olbrzymiéj wyprawy, któréj szczegóły tak niezgodnie opisane są przez autorów: Thiersa, Se-

---

[1]) Dla Polaków katolików, którzy nie posiadają mowy rzymskiéj, mowy ojców naszych i ołtarza, zamieszczamy przepolszczenie częstochowskie tego wiersza Virgilego:

Gdyby mogła broń, uratować naszą sprawę, była by ta dłoń, ocaliła nam Warszawę.

gura i Gourgaud, ten ostatni, jako nieodstępny osoby Napoleona, i znawca, zasługuje na pierwszy wzgląd atoli ja, zwyczajem od siebie przyjętym, nieopowiadam tylko to com widział, lub co mam od kolegów niewątpliwie podane, i niezajmuję się historyą kampanii, tylko tyle ile w niéj brał udział nasz pułk, nieprzywłaszczając sobie prawa pisania o wojsku polskiém w ogólności, które odbywało tę wojnę aczkolwiek narodową, na różne korpusy rozdzielone.

Kiedy po pamiętnéj bitwie pod Friedland w r. 1807, Napoleon zawarł pokój w Tylży, mocą którego, nie Królestwo Polskie wskrzeszone, ale Księstwo Warszawskie ogłoszone zostało; młodzież nasza, z różnych stron dawnéj Polski przybywająca już od miesiąca lutego r. 1807 do pułku gwardyi polskiéj Napoleona zapisująca się brała rzewny udział w powszechnéj boleści, na zawiedzioną nadzieję, jaką dzień *Jeny* w całéj dawnéj Polsce był obudził, a szereg zwycięztw od Wisły aż do Niemna potwierdził, — pocieszały nas zaufanie w politykę Napoleona, i dzieło Kołłątaja: „Nil desperendum“ jako też i to niezbite axioma Rzymianina: „tantae molis erat Romanam condere gentem!

Szliśmy więc pełni ochoty i nadziei w bohatyrze do Paryża, pochlebiając sobie, że przy nim będziemy naocznym bodźcem i reprezentacyą narodu zebraną ze wszystkich ziemic. W téj myśli, poszliśmy bez wahania się do Hiszpanii, nie: żeby kraj nam niewinny podbijać, ale żeby nabierać doświadczenia zwłaszcza w wojskowości tyle nam potrzebnéj.

Rok 1809 ożywił jeszcze nasze nieosiągnięte nadzieje, a choć trudne dzieło odrodzenia, i wtenczas jeszcze nie przyszło do pożądanego skutku, powiększenie jednak powstającego kraju nad Wisłą, utwierdziło nas w naszem niezłomnem oczekiwaniu.

Atoli, powrót do Hiszpanii, i dwuletni w niéj powtórny pobyt, oraz niepowodzenie wojsk francuzkich tak licznych, a wzrastająca siła zastępów angielskich, ćmiła niejedną chmurą naszą młodocianą wyobraźnię.... niecierpliwiliśmy się nadewszystko obawą: żeby północna wyprawa nieodbyła się bez nas. Lecz jakaż radość ogarnęła nasze umysły! gdy razem wszystkie pułki polskie z Hiszpanii odwołane zostały; gdy mnie samemu z dziesięciu oficerami kazano spieszyć naprzód do Chentilly pod Paryżem gdzie był garnizon stały pułku i gdzie większa część onego się znajdowała.

Stanąłem więc w Paryżu z końcem roku 1811, zostawiwszy troski w tyle za sobą w Hiszpanii, z promieniejącą nadzieją już niezawodną walczenia za kraj nad Dźwiną i Dnieprem!

Już pułkownik Krasiński został był posunięty na stopień jenerała brygady, a szefowie szwadronu: Tomasz Łubieński, Ignacy Stokowski, Ludwik Pac, Henryk Kamieński wystąpili z pułku; Łubieński na pułkownika 8go pułku ułanów w służbie francuzkiéj składającego się z samych Polaków, do formacyi którego nasz pułk najwięcéj dostarczył oficerów i podoficerów; Stokowski na dowódzcę sławnego 7go pułku lancyerów nadwiślańskich w miejsce jenerała Konopki; Ludwik Pac na dowódzcę pułku kawaleryi; Henryk Kamieński pułku piechoty Księstwa Warszawskiego. W miejsce tych szefów szwadronu ubyłych, wstąpił do naszego pułku na szefa szwadronu Dezydery Chłapowski były adjutant czyli tak zwany officier d'Ordonnance Napoleona, a z kapitanów awansowani zostali na szefów szwadronu: Jerzmanowski, Piotr Krasiński, Seweryn Fredro, Stanisław Roztworowski.

Nasz 1szy gros major Delaitre został awansowany do armii francuzkiéj na jenerała brygady, w miejsce jego słynny świeżo awansowany jenerał Konopka zajął

miejsce majora w naszym pułku, a 2gi gros major Dautancourt posunięty został w pułku na 1go gros majora i jenerała brygady.

Wielką to było chlubą i radością w oczach naszych, że jenerał Konopka przybywał do nas na majora, i że tak wsławionego męża zyskiwaliśmy do pułku — z tego powodu dawane były po dworach polskich w Paryżu różne uroczyste zabawy, a księżna z Walewskich Jabłonowska uprosiła jenerała Konopkę żeby jéj syna starszego, Antoniego przyjął na swego adjutanta, co się też stało.

Kiedy tak w owacyach przyszłéj kampanii spędzamy zimowe miesiące w Paryżu, zdarza się jednego wieczora że z kapitanem Szeptyckim, przejeżdżamy się w karecie z panią jenerałową Krasińską, nie pamiętam, kto był czwartą osobą. Mowa była — jak zawsze — o bliskiéj kampanii, o szczęściu jakie nam ona zapowiada, i t. p w tem pani Krasińska odzywa się smutna, nie dzieląca naszego zapału: „moi panowie! byle tylko nasza gwiazda polska nie zaciemniła gwiazdy Napoleona!“ Nie mogliśmy się dość wydziwić, przesądowi i melancholii Litwinki Radziwiłłówny, i wymogliśmy na wychowanicy Stanisława Małachowskiego wyznanie: „iż byłaby szczę„śliwą, gdyby ją złowieszcze przeczucie omyliło, że tego „dla kraju, dla męża, i dla nas życzy, ale że jéj uspo„sobienie jest takie, że naszego uniesienia i zaufania „w szczęściu podzielić z nami nie może...“ Jakoż! — Któżby przewidział wówczas? — Ta sama pani spotkawszy się ze mną, od owéj chwili, po raz pierwszy w Saxonii w r. 1813ym podczas zawieszenia broni, jak tylko spostrzegła mnię z daleka, witała się ze mną tym wyrazem: „a cóż panie Załuski! nie chciałeś mi wierzyć że nasza gwiazda będzie fatalną Napoleonowi!... skryte są sądy Bozkie... ale niemniéj napisano jest: „Quoniam in me speravit liberabo eum.“

Kiedy oddział nasz nadciągał z Hiszpanii, a pułk cały zaczął się zbierać do marszu, ja wziąwszy urlop, przejechałem pocztą przez Wiedeń, Kraków do Warszawy. Przybywszy do Strazburga, niedopełniłem przepisanych formalności pasportowych, tak że na granicy u Renu nie chciano mnie przepuścić i żądano żebym nawrócił do miasta i tam dopełnił przepisów. Wysiadłem z powozu, kazałem się poprowadzić do komendanta i oświadczyłem mu: że jestem kapitanem gwardyi Cesarza, jak widzi z mego paszportu, że jadąc w misyi sekretnéj, umyślnie nie jawię się do zwyczajnych formalności. Komendant z uśmiechem miłości własnéj, dał mi do zrozumienia, że pojmuje całą ważność mojego sekretu, i odprowadzając mnie najuprzejmiéj do rogatki, kazał mi ją otworzyć.

W Wiedniu zastałem już kapitana Szeptyckiego, odwiedziliśmy razem ministra francuzkiego Otto i obiadowaliśmy u księżnéj z Czartoryskich Lubomirskiéj marszałkowéj wielkiéj koronnéj wdowy, i tam poznałem jéj maleńką wnuczkę Izę dziecinę odznaczonego wdzięku, dziś księżnę Władysławowę Sanguszkowę.

W miarę jak zbliżałem się do kraju, okolice ubożały. Kiedym w r. 1807 oddalał się od Warszawy ku Paryżowi, już w Ślązku doznawaliśmy uczucia patryotycznej zazdrości, widząc jak ta kraina, niegdyś nasza, górowała lepszym bytem, nad okolicami Mazowsza i Kaliskiego; teraz w roku 1812ym działo się memu umysłowi przeciwnie: w miarę jak się oddalałem od środka Francyi, wszelkie prowincye i kraje, coraz mniéj świetne, coraz uboższe mi się wydawały, ale najgorzéj, gdy już wjechałem do Galicyi; tu po raz pierwszy widziałem strzechy słomiane, częścią poobgryzane przez bydło, częścią dla tegoż przez mieszkańców obdzierane. Niemniéj smutny był widok dawnéj naszéj stolicy Krakowa, zwłaszcza w czasie odwilży zimowéj, kiedy ryn-

sztoki i przełomy lodu po ulicach, niemal nieprzebyte stanowiły przeszkody pojazdowi memu paryzkiemu. Było to za rządu narodowego Księstwa Warszawskiego, pocieszała jednak nadzieja przyszłości: że przy urzędnikach ziomkach, Kraków, choć powoli powracać będzie do dawnéj świetności, a tym czasem do porządku i do jakiéj takiéj zamożności.

W Krakowie zjechałem się znowu z moim kolegą Szeptyckim, Rusinem, który nie znał Krakowa, i radbył za mojém przewodnictwem, acz na prędce, poznać choć część starożytnych pomników, i towarzystwa nowożytnego tego naszego miasta, tyle od Warszawy i Lwowa odmiennego. Wkrótce Szeptycki podążył do Lwowa a ja do Warszawy.

W téj stolicy zastałem naszego szefa szwadronu Rostworowskiego Stanisława, zarządzającego zakładem woluntaryuszów i koni dla pułku. Oficerem płatnikiem był porucznik Sikorski, dalszego składu oficerów oddziału tego nieprzypominam sobie. Zająłem się niebawem kupnem koni za pomocą szefa Rostworowskiego i przybyłego mojego porucznika Iéj klasy Stanisława Hempla, i kupiłem koni cztery, jako liczbę kapitanowi przepisaną. Nieomieszkałem jak najwcześniéj przedstawić się księciu Józefowi Poniatowskiemu, a gdy byłem u niego na pierwszym obiedzie, jenerał Rautenstrauch zwrócił uwagę księcia na mój krzyż wojskowy polski paryzkiéj roboty, w którym na odwrotnéj stronie z tyłu orła korony polskiéj, zamiast napisu przez Fryderyka Augusta księcia Warszawskiego danego: „Rex et patria" przywrócona była pogoń jako herb Wielkiego Księstwa Litewskiego, według pierwiastkowego postanowienia krzyża: „Virtuti Militari".

Jak się dorozumiewam, zdjęcie pogoni z téj dekoracyi, musiało być żądane przez Imperatora, ale my oficerowie gwardyi Napoleona, właśnie dla tego przywró-

ciliśmy na naszych krzyżach herb Litwy, bo bez niéj umysły nasze, Polski sobie wyobrazić nieumiały. Uśmiechnął się książę Józef na ten krok samowolny naszéj młodzieży, i podziwiał piękność roboty paryzkiéj.

Podczas mojéj bytności w Warszawie, byłem obecnym na kilku rewiach wojsk polskich, a nawet saskich i westfalskich, i widziałem na tych rewiach króla Hieronima kilka razy, można przyznać, że w zbiorze tych różnych wojsk jazda polska odznaczała się korzystnie. Między oficerami naszego pułku, którzy odwiedzili wtenczas Warszawę był szef szwadronu Seweryn Fredro, który mnie zaznajomił z podpułkownikiem Franciszkiem Morawskim, już słynnym autorem, a późniéj jenerałem i ministrem wojny. Gdy się już pułk nasz zbliżał do Poznania, powierzył mi szef szwadronu Rostworowski 100 ochotników i 300 koni dla pułku, i dodał mi chirurga majora doktora Girardot który był także na urlopie w Warszawie, co dowodzi że Rostworowski nie miał zbywających w komendzie oficerów, i że nas dwóch na urlopie będących użył do uciążliwego prowadzenia oddziału tak licznego i koni z Warszawy do Poznania. Natrafialiśmy wszędzie na gościnne, uprzejme i patryotyczne kwatery, u wszystkich stanów kraju, obywateli ziemskich, mieszczan i dawnych jeszcze Kościuszkowskich wojskowych; w Kutnie dostałem przyjemną kwaterę u ojca naszego oficera Łąckiego, w Sampolnie podobnież u rodziców wachmistrza naszego, tam obecnego, którego nazwiska nie podaję żeby mylnie nie nazwać.

Przybywszy do Poznania zdałem moją komendę jenerałowi majorowi Dautancourt a sam z kuryerem Cesarskim pospieszyłem do głównéj kwatery, po drodze napotkałem w Osterrode pułk a mianowicie szwadron 1szy do którego należałem i nowego mojego szefa szwadronu Dezyderego Chłapowskiego, którego kommendy

jeszcze nie znałem: byłem rozczulony jego prawdziwie koleżeńskiem przyjęciem, atoli nie długo cieszyłem się jego obecnością, nie pomnę jednak dokąd się czasowo oddalił od szwadronu. W korpusie oficerów mojéj 1széj kompanii zaszła była odmiana: zastałem przy niéj dwóch poruczników I. kl. braci Stanisława i Joachima Hemplów, i porucznika II. klasy Juliana Krasińskiego. Porucznik II. kl. Stanisław Wąsowicz został bowiem powołany do osoby Cesarza.

Ta rzecz tak się miała pod moję nieobecność: W okolicach Torunia, Cesarz zażądał, żeby mu z pułku naszego dostarczono oficera na tłumacza. Jenerał Krasiński wiedząc stosunki Cesarza z rodziną Giedrojciów, i że mu nasz adjutant major kapitan książe Giedrojć osobiście był znany, tegoż wykomenderował: atoli Giedrojć — aczkolwiek odznaczony oficer — miał słuch tępy i wzrok krótki, więc Napoleon, choć go znał, nieprzyjął go do swego sztabu. W miejsce więc Giedrojcia wysłał jenerał Krasiński porucznika II. klasy Adama Załuskiego, który się odznaczał znajomością języka francuzkiego, i wykształceniem, atoli przekonano się, że najmniejszéj wiadomości nieposiadał języka rosyjskiego ani nawet ruskiego; zażądano więc oficera, któryby właśnie te narzecza znał, i został wybrany porucznik z mojéj kompanii Stanisław Wąsowicz, o którym wspominaliśmy obszerniéj w 3m naszem wspomnieniu w *Dodatku do Czasu* za miesiąc lipiec 1858 r. i tam wzmiankowaliśmy o rozpoznawaniu Niemna przez Napoleona któremu Wąsowicz towarzyszył i o przebraniu się Cesarza na tym rekonesansie w płaszcz i czapkę Wąsowicza, o któréj — nieważnéj — ale ciekawéj okoliczności, historyk Thiers w tomie XIII na stron. 571, niedokładnie i z zatajeniem (jak zwykle) nazwiska polskiego: Wąsowicza pisze.

Miejsce tego, zastąpił w mojéj kompanii porucznik II. kl. Zawadzki (podobno) Stanisław, oficer o którym wspomniałem w 5m wspomnieniu mojem, a mianowicie o rozprawie ostatniéj jaką miałem z Gieryllasami w Hiszpanii.

Wymaszerowawszy z Osterrode, złączyłem się wkrótce z głównym oddziałem pułku oraz tak z jenerałem Krasińskim dowódzcą jak i z jenerałem Konopką majorem naszym, od obu, a mianowicie od pierwszego mile przyjęty.

Niebyłem był jeszcze pod dowództwem jenerała Konopki, poznałem go był w Paryżu tylko, nie w służbie; ale miałem zaraz dotkliwe przeczucie: że wysoka opinia, jaką uniesienie patryotyczne o zwycięzcy piechoty angielskiéj wznieciło we mnie, niestety! się nieutrzyma. Jakoż — gdy jak dopiero powiedziałem — nie pamiętam co szefa Chłapowskiego na ów czas oddaliło od pułku? — mnie się dostał zaszczyt maszerowania ciągle na czele kolumny obok jenerała Konopki prowadzącego regiment. A zatem, całodzienna z nim rozmowa i obiady pod jego przewodnictwem, od Osterrody aż do Wiłkowiszek! — Wiele tam rzeczy z ust jego słyszałem, których wolałbym był nie słyszeć; a prowadzenie w marszu, było nie militarne aż do oburzenia.

Jenerał Konopka, który był znakomicie urodziwym jeźdźcem, tak dalece że pod tym względem mógł był służyć za wzór pięknego polskiego oficera, siedział na rosłéj sążnistego kroku angielskiéj klaczy, i nie zważał na to: że gdy on na czele tysiąca koni, — według swego zdania — wolno szedł stępo; bliższe szwadrony, już musiały kłusować, a dalsze i galopować. — Oczywiście nasi naczelnicy szwadronów takiego rozstroju niedopuszczali, ale to sprawiało: że pułk nieprzychodził na stanowisko razem, a JW. jenerał gniewał się, nie uznając że sam był tego nieporządku przyczyną. Drugi

dowod że jenerał Konopka musiał się w 1m pułku więcéj spuszczać na swoich starszych oficerów, niżeli sam trudnić prowadzeniem pułku, był ten: iż znudzony nieustannem spotykaniem się po drodze z parkami artyleryi i pociągów, kazał nam opuszczać gościniec a maszerować polami... pięknie to w dzień bitwy, ale nie w marszu. Klacz JW. jenerała przesuwała rowy po polach będące, ale z szeregowych wielu przewracało się z końmi, i siodła czyli terlice łamało. To znowu jenerał Konopka uszykowawszy pułk na łąkach, i wytknąwszy ozdobne linie proporców, kazał nam konie rozkulbaczać pomiędzy proporce zatknięte tylcami w ziemi, siodła rzędami, — bardzo ładnie w teoryi, ale nie praktycznie w marszu — układać. Na próżno przedstawialiśmy: że nasze konie nie są przyzwyczajone do rychłego rozkulbaczania, że przeciwnie regulamin nasz, każe jak najpóźniéj rozkulbaczać, żeby grzbiet konia całkiem wystygł... obserwacye nie pomagały, jenerał Konopka stawiał swój pułk, od czasów legionów, za wzór, i skutkiem tego zyskał, z wielkiem swojem niezadowolnieniem przekonanie: że mnóstwo koni popuchło.... tak więc bez wojny, bez najmniejszéj przyczyny słusznéj, mieliśmy w kilku dniach wielką liczbę siodeł i koni niezdatnych do służby. Przytem JW. jenerał przyzwyczajony z swoimi podwładnymi używać wyrazów, więcéj jak niegrzecznych, dopuszczał się téj niewzględności: że zawsze swój pułk 7my wychwalał, a nasz ganił... co bardzo naturalnie, nietylko niebyło naszym oficerom przyjemnem, ale go wystawiało na ich szyderstwo, tak dalece: że pan jenerał brygady radby się był jak najprędzéj pozbyć u nas gwardyjskiego majorostwa... jakoż niezadługo w Wilnie został dowódzcą nowego pułku gwardyi litewskiéj, o czem będzie niżéj.

U jenerała Krasińskiego zaś, powitaliśmy i poznali księcia Eustachego Sanguszkę byłego jenerała Lejtnanta

za czasów Kościuszkowskich, ukochanego i możnego pana na Wołyniu, który gorącym patryotyzmem powodowany, siedzibę swoję i wielkie majątki opuścił i przybył do Napoleona. Uwielbialiśmy tę cnotę i rozpływali się nad przykładem księcia; wszakże skutek okazał: iż nierównie byłoby dla sprawy naszéj pożyteczniéj gdyby książe Sanguszko zostawszy na Wołyniu, był tam organizował powstanie.

Przybyliśmy po długim marszu przez Prusy do Księstwa Warszawskiego, tu — z żalem wyznać trzeba — już nie zastaliśmy tak porządnego jak w Prusiech przygotowania do przyjęcia wojsk maszerujących: gdzie po miasteczkach gęstych, wsiach porządnych, czekały na nas stosy chleba i prowiantów dla koni — inaczéj było w Księstwie Warszawskiem; można mówić: że tu żadnego niezastawaliśmy przygotowania; tyle tylko pamiętam: żeśmy szli na dobra jenerała Paca, Raczki i Dowspuda.

Pan Thiers w tomie XIII na stron. 557 czyni według zwyczaju swego, niepochlebne porównanie ziem naszych ze starymi Prusami; wyrazy pana Thiers są przesadzone, i gdy mu będziemy w języku francuzkim odpisywać, wytkniemy mu należycie tę przesadę; jednak dla wiadomości ziomków, podajemy tu tę okoliczność, po rządniejszego lub mniéj porządnego przyjmowania wojska, ponieważ takowe nie tyle ubóstwu kraju jak nieporządkowi przypisujemy, a gdyby w naszych ziemiach był taki porządek po miastach i wsiach panował, jaki wojska francuzkie zastawały w nieprzyjacielskim kraju w Niemczech, i w nieżyczliwym w Prusiech, nie byłaby Litwa tyle ucierpiała, a wojska nie byłyby się tyle rozprzęgły, jak to na swojem miejscu zobaczymy.

Dnia 22go czerwca zdążyliśmy z główną kwaterą Cesarską do *Wiłkowiszek* dóbr rządowych zostających w zarządzie czyli dzierżawie obywatela Babeckiego, ojca

naszego wachmistrza z 3ciéj kompanii, dekorowanego legią honorową za bitwę pod Somosierrą. Tu stanął nasz pułk w oczach naszych zołnierzy, jakoby na najwyższym szczeblu swéj gwardyjskiéj okazałości, wachmistrz nasz miał zaszczyt witać i przyjmować w domu, w rodzicielskim dworze, wskrzesiciela naszego, wielkiego Napoleona! istotnie scena godna być kiedyś przedstawioną na widowisku, lub w księdze jakiego historycznego powieścio-pisarza.... Można sobie wystawić jak wachmistrz Babecki przesadzał się w przyjmowaniu swoich kolegów i swoich starszych; niedostawało mu tylko lepszego wysłowienia się po francuzku, żeby wzbudzić uniesienie sztabu Cesarskiego, a ztąd może i dalszą uzyskać karyerę; atoli tego ostatniego skutku i dalszych kolei wachmistrza Babeckiego, nie przypominamy sobie; Wiłkowiszki zaś zostaną na zawsze pamiętnemi, nietylko w historyi naszego pułku, ale i w dziejach, bo tu Napoleon wydał rozkaz dzienny wypowiadający wojnę.

„Żołnierze, mówił Napoleon w téj odezwie, zaczęła „się druga wojna polska. Pierwsza skończyła się pod „Friedland i w Tylży; tam zaprzysięgła Rosya Francyi „wieczne przymierze, Anglii wieczną wojnę. Dziś gwałci „swoje przysięgi, i żadnego względem osobliwego po„stępowania swojego niechce dać tłumaczenia, dopóki „się orły francuzkie za Ren nie wrócą, zostawując sprzy„mierzeńców naszych jéj samowolności. Rosya pociągana „jest złym losem swoim, jéj przeznaczenie musi być „spełnione! Miałażby rozumieć, żeśmy się już zmienili? „Mieliżbyśmy już niebyć żołnierzami z pod Austerlitz? „Stawia ona nas między hańbą a wojną; wybór nasz „nie może być wątpliwym. Naprzód więc! przejdźmy „Niemen, przenieśmy wojnę na rosyjską ziemię. Druga „wojna Polska równie będzie chlubną dla oręża fran„cuzkiego, jak pierwsza; lecz pokój który po niéj za„wrzemy, w sobie samym rękojmię trwałości swojéj mieć

„będzie i położy nieprzebytą tamę dawnemu wpływowi, „jaki Rosya od lat pięćdziesięciu na stosunki europej- „skie wywierała“ [1]).

Odezwa ta, na pierwszy rzut oka, porywała nas Polaków do uniesienia, wyrazy jéj: „la *seconde* guerre de Pologne a commencée“ — *druga* wojna Polska, rozpoczęła się — „la *seconde* guerre de Pologne sera glorieuse aux armes françaises“— druga wojna polska będzie zaszczytną dla wojska francuzkiego — „la paix que nous conclurons portera avec elle sa garentie, elle mettra un terme à la funeste influence que la Russie exerce depuis 50 ans sur les affaires de l'Europe“ — pokój który zawrzemy przyniesie z sobą rękojmię, położy tamę zgubnemu wpływowi, jaki Rosya od lat 50 wywiera na sprawy Europy. — Te wyrazy, nie zdawały się już zapowiadać, ale zapowiadały wskrzeszenie Polski. Naśladowanie Rzymu w naznaczaniu liczby wojnom o Polskę, tak jak Rzymianie oznaczali wojny swoje z Kartaginem... nie mogło — tak w naszych, jak i w francuzkich szeregach, innego celu téj wojnie wskazywać,

---

[1]) „Soldats! La seconde guerre de Pologne est commencée. La première s'est terminée à Friedland et à Tilsitt!

A Tilsitt, la Russie a juré une éternelle alliance à la France et la guerre à l'Angleterre.

Elle viole aujourd'hui ses serments; elle ne veut donner aucune explication de son étrange conduite, que les aigles françaises n'aient repassé le Rhin, laissant par là nos aliés, à sa discretion... *La Russie est entrainée par la fatalité; ses destinées, doivent s'accomplir.* Nous croit-elle donc dégénérés? Ne serions nous plus les soldats d'Austerlitz? Elle nous place entre le déshonneur, et la guerre: notre choix ne saurait etre douteux.

Marchons donc en avant, *passons le Niemen, portons la guerre sur son territoire.* La seconde guerre de Pologne sera glorieuse aux armes françaises. Mais la paix que nous conclurons portera avec elle sa garantie; elle mettra un terme à la funeste influence que la Russie exerce depuis cinquante ans sur les affaires de l'Europe“.

jak sprawę Polski; a powtórzenie tego samego wyrazu wojna Polska, który poraz pierwszy czytaliśmy w roku 1806 na 7my, potwierdzały stale powzięty zamiar Napoleona: wystawienia Królestwa czyli Państwa Polskiego jako zaporę dla Europy niedopuszczającéj przystępu Rosyi; mniemanie to nasze, tak naturalne, pokrzepiało się jeszcze broszurą w kancelaryi Mareta księcia Bassano, przez Nosarzewskiego wydaną, któréj brzmienie było: że Polska jest przeznaczoną być tylną strażą Europy przeciwko Azyi, albo przednią strażą Azyi przeciwko Europie.

Jakkolwiek jednak ta odezwa Napoleona, zdawała się odpowiadać wszystkim naszym życzeniom, i uspakajać wszelkie możebne powątpiewania, wszelkie obawy; jednakże nie miłe na niektórych z nas czyniły wrażenie, te zapamiętałe wyrazy: „los pociąga Rosyą za sobą... przeznaczenie jéj musi być spełnione „La Russie est entrainée par la fatalité, ses destinées doivent s'accomplir". Te wyrazy przechodzą zakres człowieka śmiertelnego, trącą bluźnierstwem, a przynajmniéj, pożałowania godną zarozumiałością... Widząc, i wiedząc, z jakiem tumultem nachodziliśmy północ, taka przechwałka wzniecała rodzaj obawy, czyli złego przeczucia... podniesionego jeszcze przez to drugie wyrażenie: „passons le Niemen, portons la guerre sur son territoire" — przejdźmy Niemen, ponieśmy wojnę na ziemię Rosyi — te słowa niestosowne do owych po dwakroć powtarzanych o *wojnie Polskiéj*, dawały powód żołdactwu różnych narodów, uważania ziemi za Niemnem położonéj za *nieprzyjacielską*, i jakoby upoważnienie postępowania sobie z nią po *nieprzyjacielsku*. Atoli urok jeniuszu Napoleona, i jego potęgi, zagłuszały te wszystkie obawy serca, a wyobraźnia unosiła się co raz wyżéj w przestworzu nadziei, i umysły nasze młodociane polskie upojone były szczęściem.

Dzień 24 czerwca dzień Ś. Jana, był dla mnie szczególnie świątecznym, po pierwszy raz w téj kampanii wykomenderowano służbowe szwadrony do Cesarza, ja należałem do szwadronu z naszego pułku pod dowództwem naszego na teraz najstarszego szefa Kozietulskiego, wspólnie z moim kolegą kapitanem 5téj kompanii Wincentym Szeptyckim. Od świtu więc, ubrałem się od stóp do głów w kompletnie nowy mundur świeżo w Paryżu sprawiony, układając sobie w głowie, że w mieście Kownie spędzę w bliskości kwatery Cesarza, wieczór w gronie jakich dam litewskich, mogących się śmiało równać z Warszawiankami i Krakowiankami; pamiętałem albowiem, że Kowno, nad rzeką spławną leżące, miało niegdyś w sobie kupiectwo Hanzy i Angielskie... atoli w tych mniéj ważnych marzeniach doznałem za kilka godzin najzupełniejszego rozczarowania. Po południu, ale w blasku słońca, przekroczyłem Niemen po jednym z trzech rzuconych mostów, przypatrując się przeprawie kolumn piechoty i artyleryi po dwóch przyległych; z daleka widać było chorągiewki ułanów polskich szeroko rozwinięte na litewskim brzegu, były to pułki: 6ty, 7my, 8my, 9ty, a podobno i 12ty ułańskie, zaś pułk 10ty huzarów Umińskiego; cudny był widok téj jazdy polskiéj uświetniającéj czoło wojsk Napoleona, jakież narodowe wzajemne powitanie i wrażenie nas polaków towarzyszących bohaterowi, i bratnich pułków, poraz pierwszy widzianych w przelotnym przejeździe po przed frontem owych pułków w których poznawali się wzajemnie dawni koledzy!... ale wkrótce zbliżając się z Cesarzem do Kowna, dostaliśmy rozkaz założenia biwaku naszego w sośninie przyległéj..... już jedno zawiedzenie oczekiwania mego owéj wieczornéj herbaty przy stoliku dam polskich; drugie zawiedzenie: że ledwieśmy z siedli z koni w owéj sośninie, deszcz nawalny, jaki w czerwcu około Ś. Jana bywa, lunął na

nas z grzmotem a poniekąd i gradem.... było to wydarzenie nieprzyjemne, nietylko nam wystrojonym do tryumfalnego w nijścia do Kowna, ale bezwątpienia i sztabowym pp. oficerom Cesarkim, ale poszukiwać w tem zwyczajnem zdarzeniu, jakiéj złéj wróżby dla Napoleona jak to upatruje i opisuje p. Segur... jest to wystawić się na gorzką krytykę jakiéj ten autor doznał od jenerała Gourgaud. Istotnie, mógł że oficer wyższy, mający pretensyę, że nasz szwadron wiódł pod Samosierrą na baterye hiszpańskie, tak przesadnemi baśniami czytelników łatwowierności nadużywać, jak to uczynił p. Segur w opisaniu téj przelotnéj nawalnicy i następującéj przeprawy naszego szwadronu służbowego przez rzekę Wilię. Te dwie okoliczności, rozpoczynające kampanię, wyświecone są w dziele: La Pologne et les Polonais defendus contre MM. Thiers Segur et La Martine [1]). My je tu podajemy bez najmniejszego przyozdobienia, prócz szczeréj prawdy jako naoczny i czynny świadek. Skoro zatem deszcz nas w owéj sośninie pod Kownem niespodzianie zmoczył, i zabieraliśmy się do suszenia się, do szałasów i noclegu... przypada ordynans galopem, i każe szwadronowi natychmiast do Cesarza pośpieszać... siadamy więc na koń, i pędem udajemy się do Kowna.... przebiegamy szerokie ale lichymi domkami zabudowane ulice, czerniące się żydostwem w przestrachu swoim zawsze przebiegłem i witającem mocniejszych..... niedopatrujemy ani jednego domu któryby mógł zapowiadać ów wieczór patryotyczny między damami, i przeleciawszy miasto, zastajemy Napoleona nad rzeką Wilią, na któréj Rosyanie byli pokrycie mostu palowego zrzucili. — Jenerał Krasiński, zapowiada szefowi Kozietluskiemu: że Cesarz chce byśmy się prze-

[1]) **Wyszło w Paryżu roku 1855 i 1857 w księgarni Dumineraj, Rue Richelieu nr. 52.**

prawili przez Wilię. Kozietulski komenderuje do schowania pałaszy, każe formować plutony i wykrzyknąwszy głośno: Niech żyje Cesarz! pierwszy z trębaczami rzuca się w rzekę... ta była trochę przybrała, wreszcie bliska ujścia do Niemna, może w tém miejscu nigdy nie ma brodu; gdy więc byliśmy na środku koryta, konie niektóre zaczęły słabnąć, między tymi którzy szwankowali, byłem i ja; kupiłem był w Warszawie klacz urodziwą na któréj umyśliłem wystąpić poraz pierwszy na służbie przy Cesarzu i w jeździe tryumfalnym do Kowna: klacz ta, niewidząc przed sobą tylko cztery konie szefa Kozietulskiego i trzech trębaczów, a z tyłu za sobą sto koni, nie czując popędu, ale przeciwnie oglądając się za końmi, dała się unosić nurtowi ku palom mostu i pochylała się na bok lewy; byłoby źle ze mną gdybym się był dostał w taką ciasnotę, zawróciłem więc klacz do lewego brzegu nazad, i nie używszy, ani potrzebując niczyjéj pomocy, siadłem na rzutniejszego konia z którym stał pogotowiu mój mastalerz, i przebyłem z największą łatwością rzekę, bo koń mój śpieszył za końmi szwadronu..... tym czasem, kilku żołnierzy tonęło, Cesarz patrzący się na to, kazał ich ratować, i napoleondory pływaczom ofiarować, jenerał Krasiński sam brnął w wodę po pas, żeby tych pływaczów zachęcić... ale szczególniéj się odznaczył porucznik I. kl. mojéj kompanii pierwszéj Joachim Hempel, który siedząc na dzielnym kasztanie, po kilka razy ratował tonących, na brzeg prawy, i wracał po drugich, dowodząc niepospolitych męztwa, siły i zręczności. Owo zgoła, z całego szwadronu służbowego, utonął tylko jeden młody szeregowy z mojéj 1széj kompanii nazwiskiem Trzciński, młodzieniec wykształcony, najpiękniejszych nadziei świeżo do pułku przybyły. Takie było przejście naszego służbowego szwadronu do przedmieścia Kowieńskiego na prawy brzeg Wilii, o którem pp. Segur, Gourgaud

i Thiers, każdy inaczéj, a każdy mylnie piszą; że jenerał Segur takowe dość zwyczajne zdarzenie, z tragicznem uniesieniem opisał, niedziwi mnię, bo całe dzieło tego autora, jest więcéj romantyczną powieścią niż historyą, ale co mnię dziwi, to jest to: że Thiers, tak — niby — poważny historyk, który się nieustannie chełpi dokładnością i prawdziwością swoich wiadomości, ten mały wypadek przejścia naszego szwadronu przez Wilię, w następujący z sobą sprzeczny sposób opowiada:

„Napoléon accompagné des Lanciers Polonais de sa „garde, voulait être sur le champ maitre des deux bords „de la Wilia... *prévenant ses désirs, les Lanciers Polo-* „*nais se jetterent dans la rivière*, en serrant leurs rangs „et en nagent de toute la force de leurs chevaux — „mais arivés au milieu du courant et vaincus par sa „violence, ils commencerent à se désunir et à se laisser „entrainer — on alla à leur secours *dans des barques*, et „ou réussit à en sauver plusieurs. Malheureusement *vingt* „*ou trente, payerent de leur vie* cet acte d' une *obéissance* „enthousiaste“ [1]).

Czytelnik zechce się zastanowić nad sprzecznością tak blizkich siebie wyrazów: że Polacy „*uprzedzając myśl Napoleona*, sami się rzucili w rzekę“, z tymi ostatnimi: „że 20tu czy 30tu ich przypłaciło ten czyn uniesionego *posłuszeństwa*“ wreszcie, kiedy tylko jeden żołnierz utonął, po cóż pisać: 20tu lub 30tu? nakoniec w całem tem zdarzeniu, *niewidziałem jednéj łódki*, i musiało ich niebyć, bo w takim razie byłby Napoleon ka-

[1]) Napoleon w towarzystwie lancyerów polskich gwardyi, chciał zająć oba brzegi Wilii... Uprzedzając jego życzenie lancyery rzucili się w rzekę, pilnując szeregów i płynąc o ile mogły konie. — W pośrodku rzeki atoli, zwalczeni prądem, rozdzielili się i woda zaczęła ich unosić. Pośpieszono w łodziach na ich ratunek i uratowano kilku. Niestety dwudziestu lub trzydziestu opłaciło życiem ten czyn posłuszeństwa egzaltowanego.

zał woltyżerów łódkami przeprawiać przez Wilię, jak też uczynił po deskach kładzionych na pale mostu sterczące z pogorzeliska takowego. — Dostawszy się na prawy brzeg Wilii, lubo zmoczony po pas i wyżéj, musiałem się zająć rozpoznawaniem okolicy za przedmieściem, i rozstawieniem placówek, a podjazdy nasze na wszystkie strony rozesłane zostały, ale prócz małych patroli kozackich znikających w oddaleniu, nic nie widzieliśmy.

Wróciwszy z objazdu, zajęliśmy się, przy wielkiem rozpalonem ognisku, suszeniem obuwia i odzieży, radzi ściągnąć kto mógł, nasze Paryzkie przemokłe elegancye, było to dla nas obchodzenie Ś. Jańskich Sobutek, nie bez wesołych śpiewek i krakowiaków, zawsze weseli a opojeni szczęściem rozpoczęcia wojny dla nas *Świętéj*, pocieszaliśmy się przy fajeczce, z zawiedzonéj nadziei szyderczéj, owéj pierwszéj zabawy wieczornéj między pięknemi obywatelkami Kowna.

Nazajutrz dnia 25go czerwca połączone oddziały naszego pułku, stanęły rozkosznym biwakiem po lewym brzegu rzeki *Niewiaży*, na przeciwko zamku starożytnego Zabiełłów *Czerwony Dwór* zwanego, na wzgórzu prawego brzegu Niewiaży malowniczo stojącego. Ludzie i konie używaliśmy gościnności Litwy, konie paszą po kwiecistéj łące, my kąpielą w nadobnéj Niewiaży, przypominającéj pięknymi brzegami swoimi, sławną u poetów hiszpańskich *Pisuergę* pod Castrocheryz i Valladolid.

Ale kiedy my Polacy tąk się otrząsamy z pyłu długiego marszu i wczorajszego kału po przeprawie przez Wilię..... *Mazurki* (tak zwaliśmy piechotę francuzkę) przeprawiali się do Czerwonego Dworu, nie dla ciekawości archeologicznéj, ale dla rabunku pod pretextem, szukania żywności. Przybiegł do nas *Konstanty Zabiełło*, częścią dla ratowania Czerwonego Dworu, a mianowi-

cie dla *zabezpieczenia* siostry swojéj, częścią dla zaciągnienia się do wojska polskiego. Daliśmy mu załogę i obdarzyłem go kapeluszem oficera gwardyi jakich używaliśmy przy vice mundurach lub surdutach; był to jakoby zadatek na obowiązek służby, jakoż Konstanty Zabiełło od owéj chwili wszedł w krajową służbę.

Nazajutrz przybył do nas jenerał dywizyi Eustachy książe Sanguszko, z rozkazem w imieniu Napoleona, odbycia rozpoznania ku *Kiejdanom*, które — jak sądzono — jenerał rosyjski *Bagawut* miał zajmować.

Przy téj sposobności czynię uwagę: że podanie o ruchach korpusów armii rosyjskiéj przez autorów Segura, Thiersa, a nawet jen. Gourgaud podane, wielokrotnie niezgadzają się z tem cośmy sami widzieli, albo w miejscu z bliska słyszeli.

Z księciem Sanguszką poszedł nasz Kozietulski w 200 koni, szliśmy ciągle po lewym brzegu *Niewiaży*, zbierając nieco maroderów piechoty rosyjskiéj, z resztą to rozpoznanie, tyle tylko dowiodło, że korpusu nieprzyjacielskiego nie było blisko. — Przebywszy może dwie doby nad brzegiem *Niewiaży*, puściliśmy się z pośpiechem za główną kwaterą ku *Wilnu*. W tym marszu widzieliśmy z boleścią i oburzeniem: że wojsko tłumnie z różnych narodów zebrane, a w pułkach francuzkich — nad to wiele młodzieży niedoświadczonéj — liczące, co raz mniéj karności i porządku zachowywało. Jazda, artylerya, pociągi, pasły konie bez żadnéj uwagi starszych, albo takowe lekce ważąc, w żytach bujnych zielonych; francuzi co byli Polskę w pierwszéj kampanii widzieli śniegiem i lodem okrytą, nie mogli się nacieszyć bujnością naszego zboża, tym czasem konie padały, — nie z niedostatku — ale ze zbytku i niedozoru... żołnierze zaś wszystkiéj broni — jakby ośmieleni wyrazem odezwy Cesarskiéj: „ponieśmy wojnę w kraj Rosyi“ nie mając już nic do zrabowania na trakcie, rozpierzchali się

na boki i dopuszczali wszelkich bezprawi, tak dalece: że nawet kościoły napadali....

Złe to były, i zbyt wczesne złego początki; nietylko to nas Polaków, ale i oficerów francuzkich bolało.... Ale te twarde słowa: „wojna, głód, nieludność, ubóstwo kraju“ zamykały nam usta, a ufność w jeniusz i potęgę Napoleona, zwrot uwagi na nieprzeliczone zastępy, zresztą, nadzieja napotkania daléj mniéj piaszczystego i leśnego kraju, ożywiały nasze umysły, niezdolne przypuścić wątpliwości lub obawy względem odbudowania Polski.

Nam zaś oficerom polskim niepodobały się po dworach w bliskości traktu napotykanych, ślady moskiewskiéj obszczyzny, szczególniéj w zaprzęgach i dorożkach. — Wojska francuzkie, a mianowicie król neapolitański z jazdą polską z księciem Dominikiem Radziwiłłem na czele jego 8go pułku ułanów, wkroczyły do Wilna już d. 28 czerwca. Czy Cesarz już tego dnia przybył do stolicy Litwy? czy ja z powodu owego rozeznania nad Niewiażą, pod dowództwem księcia Sanguszki, trochę późniéj nadciągnąłem do Wilna? tego nie mogę sobie przypomnieć, tyle tylko pamiętam: że już zastałem w Wilnie część naszego pułku, a mianowicie szefa szwadronu Piotra Krasińskiego, który być może, iż dowodził szwadronem służbowym przy Cesarzu.

Ostatniego marszu do Wilna był dzień nader gorący, gdyśmy dochodzili do stolicy dosiągł nas deszcz ulewny; schroniwszy moją kompanię na prędce pod wystawy i szopy na przedmieściu, sam zgłodniały i dawno miasta niewidziawszy, pospieszyłem do oberży pani Millerowéj, wówczas najlepszéj w Wilnie. Zastałem tam już kilku kolegów; od Wiłkowiszek nie jadłszy nic porządnego, a poczuwając się, że mam sakiewkę dość opatrzoną w złoto, kazałem sobie przynieść spory kosz, i prócz pożytéj kolacyi, nabrałem pieczywa, rozmaitego

mięsa, i butelek bez oszczędności; przyszło do płacenia, macam po kieszeniach... niema sakiewek!... pokazało się że na ostatniem stanowisku południowem, podczas upału myłem się w odosobnionéj stodole, i tam gdy zatrąbiono na koń, w pośpiechu zapomniałem sakiewek w słomie. Jest przysłowie: że Polak mądry po szkodzie [1]), ale mnie w ciągu mojéj służby w pułku gwardyi, już drugi raz taka strata potykała, a dopiero po téj drugiéj, poprawiłem się i odtąd chowałem pieniądze w pasie, który nosiłem i noszę od bytności w Madrycie.

Nazajutrz po przepędzonéj na słocie pod szopą źle pobitą, dość biwakowéj nocy, wachmistrz szef mojéj kompanii Piotrowski, który był służył w wojsku rosyjskiem i bywał w Wilnie, zapoznał mię z zacnym obywatelem wileńskim, piwowarem, którego niemieckiego nazwiska zapomniałem, ale którego polskie

---

[1]) Korzystam z tego dawnego wydarzenia, żeby pocieszyć moich czytelników uwagą: że owe przysłowie o którem już wspomina Marcin Bielski około 1040 roku: „po szkodzie Polak mądr", wyraz ten Bielskiego: „*Polak*", ma znaczyć: *człowieka w ogólności*, jakiego bądź narodu, śmiertelnika; zawsze mniéj więcéj ułomnego, tylko przez doświadczenie mędrzejącego, a tak nierównie dawniejsze od naszego Bielskiego — jest axioma łacińskie: Felix qem faciunt, aliena pericula cautum!... podobne nauki i przysłowia znajdują się u wszystkich narodów, a mianowicie u Niemców, którzy mają swoich - grober Michel, dummer Michel, deutscher Michel, (zobacz: Adelungs Wörterbuch 3ter Theil), a jednak się te wyrazy nie stosują do tych chrześcian co noszą imie Śgo Michała, ale jest to po prostu przysłowie w narodzie niemieckim. Nie tu jest miejsce rozpoczynać walkę, o stopień dowcipu między narodami, ale Włosi którzy w téj mierze nie ustępują żadnéj europejskiéj narodowości, poznawszy Legiony polskie, przyznawali im że są: „gente valiente ed industriosa", ja zaś *zakończę* sprzeczkę o to przysłowie, którego początek: jest *polityczny*, na pocieszenie — jak wyżéj powiedziałem — moich czytelników, *uwagą i zapytaniem*: czy? — nie licząc Anglii — znają na całym kontynencie Europy, od Kadyxu po za Moskwę, męża jednego, któregoby można nazwać: *mądrym po szkodzie?*....

serce i gościnność narodową dobrze pamiętam; u tego to zacnego obywatela przebyłem krótki czas mego pobytu w Wilnie, a gospodarz widząc że wielu oficerów, między innymi szef Kozietulski, bywali u mnie, każdego z nich prosił na obiady, pomimo przedstawień moich, że mu niewinnie takie wydatki sprawiam... Otóż, ponieważ mam tylko kilka dni pobytu opisać w Wilnie, zacznę od najważniejszych okoliczności:

Jenerał Krasiński zaledwie przybył do Wilna, zajął się podpisaniem konfederacyi litewskiéj na wzór téj co się odbywała w Warszawie. Zgromadziliśmy się w pałacu rodziców naszego kapitana adjutanta majora Gedrojcia, u jego ojca, dostojnego jenerała lejtnanta dawnych wojsk polskich, niegdyś emigranta w Paryżu i dobroczyńcy byłéj Józefiny Beauharnais późniéjszéj Cesarzowéj Francuzów... tam więc w obec poważnéj księżnéj i córek: jednéj Kunegundy, damy pałacu tulleryjskiego, drugiéj Łucyi, (późniéj jenerałowéj Rautensztrauchowéj, podpisywaliśmy akt przystąpienia do konfederacyi całéj dawnéj Polski... Jenerał Wincenty Krasiński podpisał się z województwa podolskiego za Dunajowce — ja z Inflant, z majętności pod Dorpatem których mi przypadało dziedzictwo... A przy téj okoliczności spełnialiśmy toasty na cześć i pamięć króla Stefana, fundatora akademii w Dorpacie.... Nie zawadzi o téj fundacyi Batorego przypomnieć, a razem zamieścić uwagę: że ani Segur, ani Gourgaud, ani Thiers, słowa niewspominają o tem zawiązaniu konfederacyi w Wilnie.... ale pisze o niéj Skarbek autor nowego dzieła o Księstwie Warszawskiem.

Ja może w 48 godzin po tym akcie wyruszyłem z Wilna.

Jeszcze jednak za mojéj bytności, jenerał Konopka nasz major, dostał nominacyę Cesarza na dowództwo pułku 3go ułanów gwardyi, to jest gwardyi litewskiéj; 1m był nasz, 2m holenderski, 3m ten nowy litewski,

w niczem się nie różniący mundurem od naszego, jak tylko tą dawno przyswojoną różnicą w wojskach narodowych, że polskie pułki miały ozdoby srebrne i białe, zaś pułki litewskie używały ozdób złotych i żółtych, (nadmieniłem o tem w pierwszem mojem wspomnieniu w *Dodatku do Czasu*, na miesiąc wrzesień 1856). Jenerał Konopka miał z naszego pułku dostać tak zwane kadry: to jest zawiązek oficerów i podoficerów, brygadyerów, instruktorów. Proponował między innymi kapitanowi Aleksandrowi Brockiemu, mojemu dawnemu koledze w 2éj kompanii i przyjacielowi dozgonnemu, tudzież mnie, stopnie szefów szwadronu... ale podziękowaliśmy jenerałowi Konopce za tę jego zaszczytną opinię, i woleliśmy pozostać kapitanami w staréj gwardyi... o ile wiem, tylko Ambroży Skarżyński kapitan podobno 4téj kompanii, przyjął zaproszenie jenerała Konopki i dobrze na tem wyszedł, bo zyskał tym sposobem starszeństwo w naszym pułku, gdy resztki litewskiego, zostały do nas wcielone. Natenczas kapitan Szeptycki posunięty został na stopień szefa szwadronu w pułku — a kapitanowie: Trzciński i Giedrojć przeszli na majorów do pułków jazdy nowéj formacyi.

Lubo krótko bawiłem w Wilnie, wiem dobrze o nominacyi osób przez Napoleona wybranych do rządu, a mianowicie profesora Jana Śniadeckiego, i o rozmowach Napoleona z tym uczonym matematykiem... pozwalam sobie czynić *osobistą* — może bardzo niesmaczną moim czytelnikom uwagę: „czy Napoleon po stracie swego adjutanta Sułkowskiego, natrafił kiedykolwiek na ziomka naszego, z którymby mógł *po swojemu* pomówić, prócz Jana Śniadeckiego?...“ bo jenerał Sokolnicki (NB. nauczyciel Sułkowskiego) choć posiadał nauki wojskowe i inne, i należał w r. 1812 do sztabu Cesarskiego, niemiał śmiałości i przytomności umysłu potrzebnych, do rozmowy z Napoleonem. Nie lada to na los *nasz* wpły-

nęło, że tak mało, albo raczéj *żadnego* niemieliśmy męża takiego, jak Napoleon wymagał i lubił *un homme carré*.

Nie przy mnie, ale już po moim wymarszu z Wilna, przybyła deputacya z Warszawy od sejmu konfederacyjnego do Napoleona pod przewodnictwem wojewody Wybickiego; ale przemowa tych mężów i odpowiedź Cesarza, były nam zaraz znane; my oficerowie Napoleońscy nie podzielaliśmy zdania jakie skryci nieprzyjaciele nasi szerzyli w narodzie: jakoby mocarz był ozięble przemówił i nic stanowczego nie wyrzekł.

Świeżo wydał szanowny i zasłużony Skarbek, Dzieje Księstwa Warszawskiego w 2ch tomach w Poznaniu 1860; autor ten traktuje dzieje r. 1812go obszernie, jest on przedstawicielem opinii naszego stanu cywilnego; otóż my oficerowie wojsk powracających z Hiszpanii, a mianowicie pułku gwardyi polskiéj, zapatrywaliśmy się ze względu wojskowego; nie było bynajmniéj zdaniem naszem, żeby w kraju uporządkowanym, stan wojskowy miał brać przodek przed stanem cywilnym, ale w czasach powstania, w czasach wojny, pokazały wypadki z lat: 1794, 1812, 1831; co więcéj i dzieje rewolucy francuzkiéj, a nawet powstania hiszpańskiego; że tylko przez stan wojskowy i kierunek militarny, mogą narody wydobyć się z pod sił przemagających nieprzyjacielskich.

To samo co wyrzekł Napoleon do deputacyi polskiéj w Wilnie, to samo był mówił w r. 1806 w Poznaniu... a Wielko-Polska i Mazowsze powstały!... gdzież był ten zapał w Warszawie w r. 1812? pomimo konfederacyi? gdzież był podobny na Litwie, na Rusi?... były uchybienia ze strony Napoleona, to prawda; wybór księdza własnego nieprzyjaciela na reprezentanta swego, a starca bez energii na marszałka konfederacyi; ale gdyby naród był przeszedł przez takie doświadczenia, jakicheśmy później doznali, byłby rozwinął taki zapał, jakiśmy widzieli w r. 1831; w takim razie, zachodzi

wielkie pytanie: czybyśmy nie zdołali byli wstrzymać napaści hord północnych, w Smoleńsku? wojsko nasze było *może* dość poświęcone dla sprawy narodu, ale czy naród garnął się dość dostatecznie do wojska? przykro i *późno* teraz o tem sądzić... po wielkiéj części sam Napoleon był winien upadkowi swemu, i sam to uznał na wyspie ś. Heleny, że nie użył należycie wojska polskiego... zresztą nie jeden raz jeszcze te uwagi będą się cisnąć do pióra naszego, w téj tak jaskrawo zaczęt téj, a posępnie mającej się zakończyć kampanii.

Tu nie przywłaszczając sobie sądu, między Napoleonem a przeciwną opinią ziomków, — przytoczymy zdanie jenerała Gourgaud o przemówieniu Napoleona do deputacyi w odpowiedź Wybickiemu:

„Veut-on savoir pourquoi Napoléon ne dit pas: „*le Royaume de Pologne existe*“ comme le demandaient les deputés de la confederation de Pologne? Le voi-ci: l'Empéreur avait beaucoup d'intérêts à concilier, de devoirs à remplir. Son prémier devoir êtait la paix, et son prémier intérèt, de ne prendre aucun engagement qui le subordonnat à d'autres intèrèts qu' à ceux de la France. *Si celui dont chaque parole ètait un décrèt*, eudit: „*le Royaume de Pologne existe*“, il n'aurait pas pu poser les armes, qu' il n' eut existé en éffet. Si ce Royaume devait son existence aux efforts unanimes d' une population qui couvre des contrées si èloignées et si étendues, *nul* ni aurait pu lui imposer l'obligation de ne pas le reconnaitre, encore moins de le détruire. Autre chose êtait pour lui d'être engagé par les, événements, ou par la libre volonté. Il n' avait lié l'Autriche à la cession d'une partie de la Galicie, que pour le cas, ou par suite de la guerre, le Royaume de Pologne viendrait à être retabli (termes du traité d'alliance). Et qu'avait-il entendu, *par suite de la guerre?* c'êtait la paix; qui en la terminant aurait affranchi la Pologne.

Ce ne pouvait pas être *alors* que la guerre était à peine commencée.“

Tak się wyraża Gourgaud, pierwszy offier d'Ordonnance Napoleona, najbliższy militarny świadek jego codziennych czynności, powiernik jego na wyspie ś. Heleny. Jeżeli wolno oficerowi polskiemu, oficerowi gwardyi Napoleona w tak drażliwym przedmiocie przemówić jeszcze — kiedy sami uznawaliśmy że konfederacya warszawska, że naród cały nie umiał naśladować Wielko-Polan i Mazurów z r. 1806, zapytamy się czytelników: W co by się były obróciły słowa Napoleona, gdyby był powtórzył słowa ministra Matuszewicza: „jest Polska!“ gdy po bitwie Lipskiéj trzeba było za Ren cofać się.... a w Fontainebleau abdykować... ale jeżeli który z czytelników naszych, pod wpływem żądła nieprzyjaciół naszych skrytych, karmi jeszcze w sobie żółciowe uczucie przeciwko jenerałowi Sułkowskiemu, niech zechce rozważyć: że ten nasz z dawna i systematycznie postępujący budownik, sam skonał na wyspie ś. Heleny.

Jużeśmy wspominali wyżéj o formacyi pułku konnego gwardyi litewskiéj i o awansach kilku naszych oficerów do nowéj jazdy; lecz ponieważ tu była mowa o wysileniu jakie, tak Księstwo Warszawskie jak i Litwa na tę kampanię i w ciągu onéj uczyniły, więc tu starać się będziemy rekapitulować: wiele Polaków było pod bronią roku 1812go? Oprócz artyleryi i korpusów mniejszéj liczby, jako saperów, pontonierów których etatu pod ręką nie mamy — miało Księstwo Warszawskie pułków piechoty siedmnaście, a na Litwie przybyły: 18ty, 19ty, 20ty, 21szy, 22gi, zatem pułków 22, które po 3000 licząc, czyni piechoty 66,000. Jazdy było pułków szesnaście, a na Litwie przybyły 17ty, 18ty, 19ty, 20ty zatem pułków 20, po koni 800, czyni jazdy 16,000. — Legii nadwiślańskiéj piechoty pułków 4 licząc po 2000 dla wielkiego oddalenia zakładów, czyni piechoty 8000.

Jazdy dwa pułki ułańskie 7my i 8my po 1000 koni; a pułk gwardyi konnéj 1250, czyni jazdy 3250, nie licząc jeszcze gwardyi konnéj litewskiéj i żandarmeryi na Litwie formowanéj.... tak że autor nasz piszący w języku francuzkim obronę wojska polskiego przeciwko historykowi Thiersowi, na str. 126 tego pisma, słusznie liczbę Polaków w r. 1812 pod bronią będących, podaje na 96,000. — Piękna to zaiste! i w Polsce rzadko widziana liczba! ale wypadki pokazały ją niedostateczną, zwłaszcza na przestrzeń po za Dźwinę i po za Dniepr, nie wspominając o Dniestrze... ale przeszkodą w formowaniu liczniejszych zastępów, był niedostatek funduszów: Napoleon pragnął żeby 100 tysięcy Polaków siadło na koń, ale niedostarczał pieniędzy, a kraj nazbyt był wycieńczony... Na nieszczęście! zaufanie w ogromnéj sile, czyniło Napoleona mało względnym, a nasze cywilne władze nie dość gorliwemi w tworzeniu liczniejszych sił wojennych. Dodać trzeba, że nagłość czasu, nie dozwalała formować dostatecznie pułków regularnych, potrzebujących doświadczonych dowódzców i wprawy, a nikt natenczas nie przewidywał nastąpić mającéj rejterady, ani przypuszczano żeby utworzenie lekkiéj jazdy, jaką byli później Krakusy, miała być potrzebną do ratowania znękanych zimą i głodem zwycięzców.

Nim się rozstaniem z Wilnem, winniśmy jeszcze wspomnieć o balach dawanych dla Napoleona. Na jednym, panna Tyzenhaus, później zamężna Choiseuil, pokazała się z cyfrą Imperatorowéj, jako panna dworu petersburgskiego — całe zgromadzenie balowe, mocno brało za złe téj pannie, okazania się w téj ozdobie; atoli Napoleon, którego to nie uszło uwagi, przybliżył się do niéj, i korzystając z téj okoliczności, dla dania swojéj monarchicznéj nauki, rzekł do niéj głośno: „Bardzo dobrze „WMPanna robisz, że nie wahasz się nosić swego od-

„znaczenia, bo łaska monarsza jest zawsze zaszczytną“, wszelako na drugim balu, okazała się już księżniczka-Kunegunda Giedrojć, z cyfrą Cesarzowéj Francuzów jako dama pałacu des Tuilleries.

Napoleon opuścił Wilno d. 16go lipca, ale na kilkanaście dni pierwéj, rozesłał był swoje lekkie ekwipaże wojenne, na różne strony; częścią że nie wiedział istotnie gdzie będzie mógł Rosyan doścignąć, i z nimi upragnioną bitwę stoczyć; częścią że zwykł był demonstracye na różne strony robić, dla ukrycia swoich prawdziwych zamiarów przed nieprzyjacielem. Mnie się dostało opuścić Wilno bardzo wcześnie pod przewodnictwem szefa szwadronu Seweryna Fredro, prowadzącego rzeczony jeden lekki wojenny ekwipaż Cesarza, pod zasłoną 1go szwadronu naszego, i 1go strzelców konnych gwardyi, dążąc do głównéj kwatery Joachima króla neapolitańskiego, który się udał ku Dźwinie.

Poszliśmy więc na *Niemenczyn* i *Święciany* i przyszliśmy do *Daugieliszek*, majętności poważnych rodziców Ludwika i Stanisława *Platerów*, tak zaszczytnie znanych w późniejszych kolejach naszego narodu, i licznéj rodziny; zostaliśmy gościnnie przyjęci w tym patryarchalnym domu, z którym, mianowicie ja, miałem zaszczyt dawniejszéj zagranicznéj znajomości. — Marszerowaliśmy daléj, na *Widze* i *Opsę*; w tych marszach od Wilna, napotykaliśmy czasem konno-polców, ułanów rosyjskich, przechodzących do nas, ale w małéj liczbie. Różne oddziały wojsk francuzkich postępowały za uchodzącymi w wielkim porządku Rosyanami; podziwialiśmy to ich cofanie się, niezostawiające żadnych maroderów; raz zdarzyło się nam zachwycić jednego starego podoficera z korpusu Doktorowa; był to człowiek rozsądny; badany przez nas: coby znaczyło to ich cofanie się, opuszczając tyle miast i ziemi, bez bitwy? odpowiedział nam bez bojaźni i junakieryi, że planem ich jest: wcią-

gnąć nas jak najgłębiéj w kraj, żeby nas potem osłabionych, zewsząd otoczyć, i nie wypuścić już na powrót. Cierpkie były te słowa weterana rosyjskiego, ale przypomniały mi i potwierdziły dawne jeszcze w dzieciństwie słyszane zdanie doktora medycyny krakowskiego Hasselquista; Irlandczyk ten, służywszy długo w wojsku rosyjskiem jako lekarz, ożenił się był w Polsce z Wesslówną i osiadł w Krakowie; był on lekarzem babki mojéj Maryanny z Dembińskich staróściny ojcowskiéj; pewnego dnia, przyniósł jéj książeczkę zawierającą opis: jak jenerał Pichegrue używał środka korespondencyi wojennéj, za pomocą kratek wycinanych w papierze, w których śród obojętnego pisma, stały treściwe wyrazy, podające, mającemu klucz tego sekretu, rozkaz działania, lub potrzebne wiadomości. Gdy ten dowcipny sposób korespondowania i szerzące się wieści o zwycięztwach Francuzów, zajmowały moją poważną babkę, zapytała się Hasselquista: coby też przedsiębrali Moskale, gdyby ich z czasem naszli Francuzi?.... na to odpowiedział doktor: „Cofaliby się jak najdaléj, żeby wciągnąć nieprzyjaciela w głąb kraju, i tam go zniszczyć, jak zniszczyli Karola XIIgo.“

Nie był nam zatem przyjemnym, tenże sam duch panujący w wojsku rosyjskiém, jaki nam objawiał podoficer Doktorowa; ale zarozumiałość nasza i zaufanie bez granic w jeniusz Napoleona lekce ważyły te złowieszcze przestrogi.— Nakoniec przybyliśmy do Brasławia, a raczéj do Belmontu rezydencyi pana Manuczyn (Manucci) ożenionego z Platerówną, obywatela majętnego, wielką wstęgą orderu zagranicznego dekorowanego, w którego pałacu król neapolitański miał swoją główną kwaterę. Wszystkie miejscowości tak w Belmoncie jak i w miasteczku Brasław były zajęte, rozłożyliśmy się zatem biwakiem jak najbliżéj zamku pp. Manuczych.

Odwiedzając ten zamek, zastałem tam jenerała Aksamitowskiego, z adjutantem Kasperowskim, zostającego przy sztabie króla Murata. Pani Manuczyna przemawiała przy mnie do tegoż polskiego jenerała, prosząc o załogę dla swoich pięknych krów holenderskich; ale Aksamitowski odrzekł, z wielkiem zadziwieniem obywatelki: „Oto jest kapitan Załuski, dowódzca kompanii, ja prócz mego adjutanta nie mam ani jednego żołnierza pod komendą, on może pani dać załogę“. Jakoż ja taką lubo nie bez trudności, od szefa mego wyjednałem; był on albowiem znużony marszem, i zniechęcony, że obywatel polski p. Manuczy, widząc z okien swoich proporce Polskie, otaczające niemal cały jego pałac, niebył jeszcze odwiedził dowódzcy gwardyi polskiéj. Celem zaś mojéj wizyty w Belmoncie było, wywiedzieć się o położenie miasteczka Drui, które matka moja trzymała zastawą, od księcia Franciszka Sapiehy ojca księcia Eustachego dziś we Francyi zamieszkałego.

Jakoż otrzymałem od szefa szwadronu Fredry pozwolenie udania się z jednym brygadyerem i 4 ułanami z mojej kompanii, do awangardy jenerałów Montbrun i Sebastiani, w zamiarze zwiedzenia Drui i przyprowadzenia ztamtąd jakich zapasów dla szwadronu, a mianowicie dla korpusu oficerów, którzy cierpieli niedostatek wszystkiego.

Udałem się więc do rzeczonéj awangardy, i przekonałem się: że lubo jenerał Montbrun miał tytuł dowódzcy, jenerał Sebastiani istotnie nim powodował.

Zaraz nazajutrz brałem udział w okolicach Drui w potyczce jazdy z Kozakami. Jenerał Sebastiani z natarczywością jenerałom francuzkim właściwą, spotykał się osobiście pomiędzy huzarami Umińskiego, a mianowicie w towarzystwie kapitanów: Bukowskiego i Kuszla z Kozakami. Nie mógł się odchwalić dzielności tych dwóch oficerów, a ja mianowicie przypatrywałem się z chlubą

narodową, porządkowi jaki kapitan Bukowski umiał zaprowadzić w swojéj kompanii, (jest to ten sam, który zginął tak traicznie 15go sierpnia 1831 r.). Po cofnięciu się Kozaków za Dźwinę, jenerał Sebastiani, wiedząc o moim zamiarze zwiedzenia Drui, i rad może pokazać u Dźwiny ułanów polskich, których w jego komendzie nie było, wziął mnie z sobą do Drui. Zaczęło się od tego, że mi kazał spatrolować Druję, po lewym brzegu rzeki Dźwiny; leży albowiem miasteczko Druja po obu brzegach téj rzeki.

Przekonawszy się, że w téj części nie było żadnéj zasadzki, udał się ze mną naprzód do folwarku, gdzie mnie powitał z zadziwieniem rządzca mojéj matki Baniewicz, a potem udaliśmy się do pięknego klasztoru Dominikanów, fundacyi Sapiehów, których dom tyleczynił dla Drui, że to miasto zowie się także: Sapieżynem. — Tu w klasztorze jenerał Sebastiani, zebrawszy co było można wiadomości o Rosyanach, mianowicie o jenerale Wittgenstein, kazał oficerom inżynieryi zdjąć na papier położenie Drui i okolicy, a sam zostawiwszy mnie, odjechał do swego obozu. Ja poleciwszy Baniewiczowi dać znać mojéj matce o mojéj osobie, kazałem mu naładować, co mógł owsa i piwa, dla naszego szwadronu, a sam odjechałem na noc do biwaku pułkownika Umińskiego, którego jeszcze nie znałem, a przyjęty byłem jako kapitan gwardyi, wracający z Hiszpanii i z kampanii 1809 roku, z wielką uprzejmością i wystawnością — widziałem w biwaku pułkownika polskiego, zbytek i pretensyonalność, nam nieznane; przytem obchodzenie się z podkomendnymi, zwłaszcza z podoficerami, arystokratyczne, mnie oburzające; a przytem zaniedbanie forpocztów, które były pułkowi naszych hazarów powierzone.

Była za klasztorem Dominikanów w Drui, wyspa na Dźwinie, lasem okryta, zasłaniająca zupełnie brzeg prawy rzeki, i ułatwiająca napad z tamtéj strony — punkt

ten wymagał wielkiéj ostrożności i naocznego strzeżenia; lękałem się żeby ztamtąd awangarda jazdy francuzkiéj a złożona z dwóch pułków szaserów pod komendą jenerała St. Genier, do którego należał i pułk Umińskiego, nie doznała napadu.

Nazajutrz przenocowawszy wykwintnie u pułkownika Umińskiego, oddaliłem się z nieprzyjemnem uczuciem, które nierównie wyżéj wzrosło, gdy przybywszy do kwatery jenerała Sebastiani, zastałem go rozebranego do koszuli, spoczywającego na żelaznem podróżnem łożu, na środku izby karczemnéj, pod zawieszonym na bronzowem kole, zielonym kitajkowym pawilonem, głaszczącego obnażone golenie!.... Struchlałem na ten widok, i zacząłem się na seryo lękać, nietylko o jego forpoczty, ale i o jego osobę; cóż dopiero gdy jenerał Sebastiani zaczął mnię rozpytywać: co widziałem? a gdym mu odpowiedział, że 40 tysięczny korpus Witgensteina, z liczną artyleryą którą można policzyć, bo armaty polerowane świecą do słońca (co jest wielkiem uchybieniem militarnem). Jenerał Sebastiani na wzmiankę o Witgensteinie, przerwał mi wykrzyknikiem: „c' est un ignorant!“ [1])— nie widziałem ja, w czem by ta opinia o bliskim nieprzyjacielu była uzasadniona, i coraz więcéj zacząłem się lękać, żeby to twierdzenie zarozumiałe, nie zostało ukaranem. — Tymczasem jenerał Sebastiani prosił mnie zostać u niego na śniadaniu, a że on wygotuje raport do króla neapolitańskiego, a oficerowie jego skreślenie pozycyi Drui dla króla. Wkrótce wprowadzono mnie powtórnie do jenerała Sebastianiego, zastałem stół okryty srebrem, śniadanie zastawione na srebrnych półmiskach, posadził mnię obok siebie, a niedawny poseł w Stambule i dyplomata, pozyskał moje uwielbienie i szacunek jako znawca dziejów i stosunków Polski, — po skończonem śniadaniu, pożegnał mnie z rzadką

[1]) „To jest głupiec.“

uprzejmością, wręczając mi pismo do króla i zwitek rysunków okolic Drui.

Przybywszy do Belmontu, udałem się zaraz do króla — znałem go z Madrytu, często eskortowałem jego pojazd otwarty, jadąc koło drzwiczek, i na służbie bywałem w różnych pałacach, które pod Madrytem zajmował; ale prócz pozdrowienia ręką z uśmiechem łaskawym, nigdy nie doznałem rozmowy z ks. Muratem, ani nazwisko moje było mu znane. Znalazłem się teraz sam na sam z królem Joachimem, przyjął mnię jak gdyby dawnego poufnego przyjaciela, i rozgadawszy się, on król z kapitanem, nawet o wdziękach polek, powiedział mi: że mu się przykrzy na tronie neapolitańskiem, że tam prawda, ma piękną stolicę i flotę morską, ale że dla niego, to co by sobie życzył: to 100 tysięcy Polaków na koniu.— Pożegnał mnię jak najczuléj, i powiedział: „żebym ile razy czego będę potrzebował udawał się do niego“ ..... Odszedłem ukontentowany, że już mamy kandydata niewątpliwego do korony polskiéj. . ale bynajmniéj nie przeświadczony o jego wyższéj polityce.

Nazajutrz albo drugiego dnia, nadeszła wiadomość arcy nieprzyjemna: że Kulniew jenerał rosyjski, sławny u nich partyzant, w 5,000 jazdy i lekkiéj piechoty przeprawił się przez Dźwinę, położywszy most za wyż powiedzianą bliską wyspą niepostrzeżony, i wpadł najprzód na przednią straż Umińskiego, którą zniósł, zabrawszy w niewolę (między innymi) oficera nazwiskiem Łoś, rozbił potem brygadę jen. St. Genier i jego samego pojmał.... czy jaka piechota przyszła na pomoc jeździe? czy tylko jenerał Montbrun nadbiegł? tego nie umiem powiedzieć, dość że to porażka była *pierwsza!* tem przykrzejsza, że w niéj jenerał francuzki dostał się do niewoli. Według Segura, ta potyczka odbyła się 15 lipca rano. — Potem przypadku, naturalnie pilnowano się lepiéj, i Rosyanie cofnąwszy się za Dźwinę tak jak byli

przyśli, już więcéj, przynajmniéj na króla Murata, nietentowali napadu; wkrótce potem doszliśmy z Muratem do Dzisny miasta powiatowego nad rzeką téj saméj nazwy, która tu wpada do Dźwiny, w tem miejscu tak płytkiéj — prawda że w lipcu — iż na swoje oczy widziałem, artyleryą przeprawiającą się wbród przez Dźwinę; ztąd udaliśmy się pod Połock; nasze szwadrony gwardyi pozostały na lewym brzegu Dźwiny, ale ja przeprawiłem się na prawy brzeg dla oglądania tego kolegium Jezuickiego i tego miasta, po większéj części utworu i pamiątki Stefana Batorego.

Nakoniec przeszedłszy rzekę Ułę sławną w dawnych dziejach naszych wojennych, przybyliśmy do *Bieszynkowic* dziedzictwa Chreptowiczów, gdzie zastaliśmy jenerała Krasińskiego, pułk, i całą niemal armię Napoleona który wkrótce i sam przybył.

Ztąd jenerał Krasiński odesłał szefa szwadronu Fredrę i kilku oficerów między którymi Wincentego Mikułowskiego, do Gdańska, gdzie miał się formować 5ty szwadron, to jest 9 i 10 kompanie z ochotników Wileńskich po większéj części audytorów akademii.

Z tego miejsca także wysłany był pierwszy porucznik z mojéj kompanii Stanisław Hempel w 40 koni na przydłuższy rekonesans, jak się zdaje dla powzięcia wiadomości dokładnych, o korpusach rosyjskich z południowéj strony.

Maszerując po nad prawym brzegiem Dźwiny i Bieszynkowic samych, widać było ruchy armii Barklaja de Tolly, spodziewaliśmy się bitwy głownéj ale wojsko rosyjskie usunęło się pośpieszając pod Witebsk.

Niebraliśmy udziału w bitwach pod Ostrownem, lubo gdy blisko Cesarza z pagórka przeglądającego poruszenia nieprzyjacielskie, zjawiła się kawalerya rosyjska, zrobiliśmy ruch, dla zabezpieczenia osoby monarchy w razie potrzeby; prócz tego, ma się rozumieć, że każdo-

dziennie był jeden szwadron nasz przy osobie Napoleona, wraz z trzema innemi szwadronami, po jednym z każdego pułku gwardyi konnéj.

Pod Witebskiem widzieliśmy z uradowaniem rozwiniętą do boju armię rosyjską, całe nasze wojsko Napoleona pragnęło stanowczéj bitwy, ale jeszcze omyliła nas nadzieja; po dwudniowych demonstracyach, Rosyanie zreiterowali; atoli przystęp do Witebska samego, bronili nam kozacy gwardyi ros. z któremi mieliśmy rozprawę pod dowództwem szefa szwadronu Jerzmanowskiego, do któréj i ja należałem. Po téj utarczce, zajęliśmy z Jerzmanowskim dwór obywatelski, pod samem Witebskiem, gdzie zastawszy rodzinę przelęknioną, zwłaszcza właścicielki, które były w ogrodzie między porzeczkami i agrestem, skryły pieniądze; d liśmy im naukę: jak błahe było i niebezpieczne to ukrycie, i jak się mają zachowywać, żeby uniknąć rabunku przemyślnych żołnierzy, zwłaszcza mieszkając tak blisko znacznego miasta. Zająwszy potem kwaterę z szefem Jerzmanowskim u plebana w Witebsku, podzieliliśmy mylną nadzieję krążącą w sztabie, że Witebsk będzie kresem kampanii, do czego, rozszerzanie placu na rewie Cesarskie, i inne zachodzące okoliczności otuchę dawały. Atoli po dwu tygodniowym pobycie w Witebsku ruszyliśmy ku Smoleńskowi.

Miasto Witebsk gdzie Jezuici mieli kolegium, jest zupełnie polskie, różniące się w tem od Smoleńska, gdzie już prócz odwiecznych pamiątek, znaleźliśmy ludność moskiewską.

Na dniu 15m sierpnia zbliżyliśmy się do Smoleńska, nie wiem czy z powodu dnia tego uroczystego, przybył do Napoleona adjutant księcia Józefa, Antoni Potocki..... ale zdaje się, że wtenczas dopiero my oficerowie polskiej gwardyi, dowiedzieliśmy się o uszczuplonym korpusie polskim pod Poniatowskim — historyk Thiers podaje go jeszcze na 15,000, ale nas dochodziło, że

istotnie nie było pod bronią jak 11 tysięcy! — lubo wiadomo nam było, że dywizya jener. Dąbrowskiego z brygadą jazdy, odłączona została od głównego korpusu, smutek jednak nas ogarnął myśląc: że reprezentacya wojenna Polski, zwłaszcza przed mającą dopiero nastąpić pierwszą walną bitwą, była tak nieliczną!... przytem rozeszła się pogłoska, że Napoleon zobaczywszy Antoniego Potockiego, miał go przywitać zapytaniem: jak mógł książe Poniatowski Bagrationa wypuścić?... a na tłómaczenie się Potockiego, miał odrzec: „gdyby mój Radziwiłł [1]) był na czele Polaków, Bagration nie byłby uszedł“.. Książe Józef, po powrocie Potockiego, miał się odwołać do świadectwa marsz. Davousta, który wyjednał u Napoleona zupełne uniewinienie księcia Józefa, spędzając całą winę na króla Westfalskiego.

Nazajutrz 16go sierpnia przybyliśmy pod Smoleńsk. Szef szwadronu Kozietulski, był wysłany, albo należał do większego oddziału, wyprawionego dla odkrycia brodu w Dnieprze po wyżéj Smoleńska, ta wyprawa jak piszą autorowie Francuzcy, o tyle się nieudała, że takiego brodu nie było, ale ja to tylko pamiętam, że tam Kozielulski był lekko ranny postrzałem w głowę.

Stanęliśmy więc pod Smoleńskiem! ową twierdzą stanowiącą klucz do Rosyi lub do Polski wzajemnie; przypatrywaliśmy się z daleka tym starożytnym murom, dawnym świadkom jeszcze oblężenia za Zygmunta III... bolesno nam było widzieć, że jako jazda, nie będziemy mogli brać znacznego udziału w zdobyciu tego niegdyś polskiego miasta.... atoli pocieszającą była dla nas, dzielność korpusu polskiego, który po uporczywych walkach, pierwszy wszedł do Smoleńska, straciwszy w chlubnych tych bojach, jenerała Grabowskiego, pułk: Za-

[1]) Dominik dowódzca 8go pułku jazdy Ks. War. ostatni Ordynat rodu Radziwiłłów, późniéj major naszego pułku, legł w Lautereeken w skutek kuli działowéj pod Henau r. 1813.

krzewskiego podpułkownika Podkańskiego; a między wielu oficerami, Jana Dembińskiego kapitana ze sztabu jenerała Zajączka także rannego, oficera wielkiéj nadziei, rodzonego brata bywszego naszego oficera Kaspra Dembińskiego, i późniejszego jenerała Henryka; między rannymi był także pułkownik Krukowiecki, idąc w zapasy — jak mówiono — z jener. Grabowskim. W każdym razie, całe wojsko i sam Napoleon, oddawali sprawiedliwość dzielności korpusu polskiego: dla tego nieprzyzwoity był buletyn 15 armii wyrażający się, o zadziwieniu Rosyan nad męztwem polskiem; co jest, francuzkiem powtórzeniem tego, co niegdyś napisali uszczypliwie o spotkaniu się Polaków z Rosyanami pod Trebią.

Zdobył więc Napoleon, a raczéj opuścili Rosyanie Smoleńsk — zdawało się nam: iż jeżeli w Witebsku mogło być jeszcze zawcześnie pozostać, teraz w Smoleńsku były do tego i historyczne i militarne powody. Z niespokojnym więc umysłem, oczekiwaliśmy dalszego postanowienia Napoleona, zapatrując się nie bez obawy, na to ciągłe ustępowanie armii moskiewskiéj, a sądząc: że jeżeli przejdziemy pod Smoleńskiem za Dniepr, to będzie tylko, celem przecięcia Bagrationowi komunikacyi z Barklejem, i tak sobie tłómaczyliśmy krwawą bitwę pod Walutynem. — Widok pobojowiska był jeden z najkrwawszych jakie weterani pamiętają, zawsze co do liczby, na korzyść Francuzów, co tem więcéj zadziwiało nas, że polegli Francuzi, byli po większéj części młodzi ludzie, postaci wykształconych, czysto ubranych i starannie ogolonych; kiedy Moskale przeciwnie, byli po większéj części grenadyery, chłopy ogromnéj postaci, ale których głowy nisko strzyżone, więcéj niewolników jak żołnierzy oznaczały.

Wieść była u nas, że Napoleon zapalony widokiem tak pięknego pobojowiska, miał wyrzec: „z takiem wojskiem można iść na koniec świata“! i że się na ten

czas dopiero zdecydował, maszerować do Moskwy. Więcéj militarne jest zdanie jenerała Gourgaud, codziennego towarzysza podkomendnego, Napoleona, który lubo opisuje zadowolnienie Cesarza z widoku pola bitwy pod Walutyno: „voilà comme j'aime un champ de bataille, quatre Russes pour un Français! Gérard cest fortbien". „Otóż to takie lubię pobojowisko, czterech Moskalów na jednego Francuza — Gérard! bardzo dobrze".

Jenerał Gourgaud powiada, że osobiście woził Junotowi Duc d'Abrantes rozkaz, posiłkowania Neya, od lewego flanku Moskalów; że ten takowego nie tylko nie spełnił, ale spełnić nie chciał, a tym sposobem bitwa pod Walutynem nie miała skutku... że pod Dorogobużem Rosyanie zdawali się chcieć przyjąć walną bitwę, że w téj nadziei Napoleon nie mógł opuścić Smoleńska, gdyż jego potrzebą było pobić stanowczo armię nieprzyjacielską, i że to spowodowało dalszy pochód do Wiazmy, Dżacka i nakoniec do Moskwy, w nadziei rozstrzygającego, zwycięztwa i pokoju.— Jakkolwiekbądź, my oficerowie młodzi, Polacy, cieszyliśmy się ze zdobycia Smoleńska, którego już nielękaliśmy się utracić... cieszyliśmy się z każdego spojrzenia na Dniepr, z Dorohobuża, z Wiazmy, i tych wszystkich miejsc które nam przywodziły na pamięć, drogie imiona: Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Władysława Czwartego.... i postępowaliśmy ku Moskwie upojeni, nie już nadzieją, ale zaufaniem w niezawodne zwycięztwo i onego skutki.

Z prawem skrzydłem to jest z wojskiem polskiem niemieliśmy stosunków służby, ale często spotykaliśmy się z oficerami polskimi, zwłaszcza przyjeżdżającymi do głównego sztabu Cesarskiego, a ztąd rozmowy o przyczynach małéj liczby korpusu narodowego i wypuszczeniu Bagrationa... bo tak prawdę powiedziawszy, nie darowane było tak miękkie postępowanie księcia Józefa za tym korpusem moskiewskim... powszechnie,

i my sami, żałujemy, że wojsko polskie nie było powołane do tworzenia prawego skrzydła armii na Wołyniu i Podolu..... ale kiedy było głównie przeznaczone na ściganie Bagrationa, powinno było tego dopiąć, bo któż nie widział! że od tego zawisł był najwięcéj skutek całéj wojny; okazało się z tych rozmów, że wojsko Księstwa Warszawskiego, nowo uformowane, niezaprawione jeszcze w wojnach, nie było dość lekkie i tęgie do marszu — prawda że upały i piaski utrudzały pochód, ale marsze są podstawą zwycięztwa na wojnie, i pozostawało się, z tyłu wiele włóczęgów w piechocie, w jeździe zaś, wypadki pod Mirem i Romanowem, tłómaczyły się niedoświadczeniem dowódzców pułków kawaleryi, którzy mając chęć popisywania się jeden bez drugiego, dali się pokonać Platonowi. Nie wątpię że od Smoleńska do bitwy Możajskiéj czyli Borodyńskiéj wiele żołnierzy korpusu księcia Józefa podochodziło, wszelako nigdzie nie mogę się doczytać liczby wojska polskiego w bitwie nad rzeką Moskwa.

Gdyśmy przyśli do Wiazmy, przypomnieliśmy sobie dawne przewagi i oglądali dawnych pamiątek szczątki — tu zaopatrzyliśmy się znacznie w różne zasoby pożywienia... ale piechota francuzka używała tak dalece do zbytku, że ściągnęła zły humor Napoleona, bo w bliskości licznego nieprzyjaciela takie excessa napojów mogą być zgubne.

Nakoniec dnia 5 września uzyskaliśmy przekonanie o nastąpić mającéj walnéj bitwie: dnia tego przed wieczorem byliśmy świadkami, jak król Murat i dywizya piechoty Compan zdobyła pierwszy szaniec rosyjski nad wsią Szwardino, uzbrojony 12tu działami pozycyjnemi, miło nam było przypatrywać się, jak jedna dywizya piechoty zdobyła pozycyą wzgórzystą na tylnéj straży rosyjskiéj którą do 15,000 piechoty szacowano. Dzień 6 września był dniem wypoczynku i przygotowania się

do bitwy; był rozkaz jeneralny, czyszczenia i przygotowania broni, nasz pułk uzbrojony po większéj części w proporce, n e tyle się zajmował czyszczeniem strzelby jak siebie samych i munduru, tak że nazajutrz wystąpiliśmy w zupełnéj paradzie, jak gdyby na placu du Carrousel pod Tuilleriami.

Wieczorem d. 6go września widać było z obozowisk naszych obrząd religijny w armii rosyjskiéj, procesyą ze światłem odbywającą się, przeciągającą szeroko po ich stanowiskach, i słychać było wznoszące się śpiewy błagalne; szydziliśmy na ten czas z odbywających to nabożeństwo; atoli, więcéj daleko powinniśmy byli ubolewać nad zupełnem zapomnieniem o religii w naszem wojsku. Nie można niestety! zaprzeczyć: że wojskowość francuzka i zwycięztwa jéj, były płodem i utworem rewolucyi francuzkiéj, i że w téj najważniejszéj materyi, my Polacy nie mieliśmy przed oczyma, ani wzoru, ani nauki do naśladowania, jakoż, przez cały czas téj wyprawy na Moskwę, prócz zetchnięcia się chwilowego z Domikanami Drui, a z Jezuitami: w Połocku, Witebsku i Orszy, nie pamiętam u nas zastanowienia się religijnego, a nawet nie przypominam sobie uszanowania w Wilnie, Ostro-Bramy, ani przy powitaniu ani przy pożegnaniu stolicy Litwy; zdaje się, że my koroniarze, nie znaliśmy jeszcze natenczas, téj — iż tak powiem — Częstochowéj Litewskiéj. Już to pod względem religii wyznać musimy, że pomimo wychowania naszego katolickiego rodzinnego, wiek 18ty wywarł swój zgubny wpływ na nas, i że dopiero doznawszy klęsk po klęskach, zawołaliśmy skruszeni: Domine! remitte iniquitatem plebis tuae!.... a czy już godni jesteśmy, podnieść głos: Dominus virtutum nobiscum! i: benedixisti terram Tuam? to nasze *dalsze* zachowanie się okaże [1]).

[1]) Panie! odpuść niegodziwości ludu Twego — z nami jest Pan cnoty — pobłogosławiłeś Panie ziemi Twojéj....

Przy téj sposobności zwracam uwagę czytelników na mapy które mamy o wojnie r. 1812 mianowicie wsławionego historyka p. Thiers. Najprzód niewiem dla czego w krajach polskich używają Francuzi pisowni ułomnéj, nazwisk rossyjskich i tak np. Nowoj Troki, Widzoy zamiast: Widze, Gloubokoe zamiast Głębokie i t. p. Zaś w plaie bitwy walnéj pod Borodinem czyli Możajskiem, ta sama rzeka którą p. Thiers na swéj 55téj mapie zowie: Protwa, na planie nr. 56 zowie się Kolocza... te i tym podobne nieregularności, tudzież z przeczności między opisywaniem szczegółów bitwy przez p. Thiers a obecnego jenerała Gourgond, stawiają trudności pamięci naszéj po tak długim przeciągu lat. — Jeszcze jednę okoliczność rozczulającą przypomnę czytelnikom: dnia 6go września przywieziono Napoleonowi obrazek jego syna, pędzla Dawida, przyjął ten drogi upominek z rozczuleniem, może za dobrą wróżbę, w pośród okrzyków swoich żołnierzy; atoli nacieszywszy się widokiem tego ukochanego oblicza, wyrzekł do otaczających Go: „retirez le il voit trop de bonheur le champ de bataille“ — schowajcie jego obraz, niech zbyt wcześnie niewidzi pola bitwy!

Dnia 7go września o godz. 2giéj rano wsiedliśmy na koń, i maszerowali zająć nasze stanowisko, odczytaliśmy z uniesieniem *Rozkaz dzienny Cesarski o to jest*:

Soldats! vola la que vous avez tant desirée. Desormais la vietoire depend de vous; elle nons est nécessaire elle nous donnera l'abondanca, de bons quartiers d'hiver et un prompt retour dans la patrie! Conduisez vous comme a Austerlitz, a Frindland, a Witepsk a Smoleńsk, et que la posterite la plus reculée cite Ve cuduite daus cotte journée; que l'ondise de V. - ilètait à cette grande bataille seus les murs de Moskon“.

„Żołnierze! otóż jest bitwa któréj sobie życzyliście. Teraz zwycięztwo zależy od was; potrzebne nam jest, przyniesie nam obfitość, dobre zimowe leże, i rychły powrót do ojczyzny! Sprawujcie się, jak pod Austerlitz, pod Friedland, pod Witebskiem, pod Smoleńskiem; niech potomność najoddaleńsza wspomina wasze czyny w tym dniu; niech mówią o was: on był w téj wielkiéj bitwie pod murami Moskwy“.

Wkrótce zajaśniało słońce, które Cesarz i my wszyscy pozdrowiliśmy przywitaniem słońca Austerlickiego! p. Thiers podaje siły Francuzów w téj bitwie na 127 tysięcy i 580 armat, siły Rosyan według ich pisarza Danilewskiego na 113,000 a według obecnego tam jen. Hoffmana 140,000; liczby dział ros. nie mógłem się doczytać, ale nie miała być mniejszą od francuzkich, tem bardziéj że Moskale tyle szańców armatami cięższego wagomiaru osadzili. Nasze stanowisko z początku bitwy, było jak zwykle nie daleko osoby Cesarza, na równinie ku prawemu skrzydłu w kierunku wsi Semenowskoje i trzech szańców fleches (strzałczany) moskiewskich. Szwadrony służbowe naturalnie były bliżéj przy samym Cesarzu, nie pamiętam który tego dnia był na służbie? ale gdy w południowych godzinach kawalerya rosyjska gwardyi i kozacy ruch natarcia rozpoczęli na lewe skrzydło Vice-króla Eugeniusza, cały nasz pułk udał się w tamtą stronę, a część pułku — może tylko szwadron służbowy — ucierała się z gwardyą konną rosyjską, ja tylko tyle pamiętam, żem widział słynnego naszego *Wilczka* prowadzącego oficera od kirysyerów gwardyi petersburskiéj, i że nie mało koni téj gwardyi z ich czaprakami w gwiazdy ozdobnymi, błąkało się w naszym pułku, za które nasi wymieniali swoje mniéj zdatne konie, a gwiaździste czapraki, z pośmiewiskiem na różne posługi obracali; pp. Thiers, Segur a nawet Gourgaud nie wspominają o naszym ruchu, który jednak nie mógł być nieskuteczny, bo nasze proporce z daleka w groźnéj i szybko postępującéj postawie okazujące się, robiły skutek i bez natarcia — przeciwnie p. Thiers wspomina tylko o udziale lekkiéj jazdy, nie wymieniając jakiéj, a tak on, jak i Gourgaud, mówią o podobnym ruchu dywizyi Claparade to jest Chłopickiego, a milczą o boju naszéj legii pod Możajskiem nazajutrz albo trzeciego dnia po batalii, a więc ja nie wiem do-

wodnie, gdzie Chłopicki był ranny? dość że powszechnie mówiono, iż pod Możajskiem, po którem to zranieniu, już go niewidziano ani w dalszéj kampanii 1812, ani w 1813 ani 1814, lecz nie tu miejsce o tem pisać.

Gdy jazda Uwarowa i kozacy cofnęli się, i my powróciliśmy na nasze stanowisko ku prawemu skrzydłu; ale już bitwa była postąpiła. Mogliśmy więc posunąć się naprzód, i nieść jaką pomoc współziomkom naszym? jazdy, zalegającym pole ich walecznych natarć a mianowicie 14go pułku kirysyerów Słanisława Małachowskiego, tu mieliśmy przyjemność witać się z wielu znajomymi z pułków jazdy polskiéj, ja mianowicie z pokrewnym moim Romanem Załuskim oficerem 11go pułku ułanów dowództwa Adama Potockiego, którą przyjemność mieliśmy jeszcze i w dniach następnych, póki korpusy jazdy Latour Maubourg i Sebastianiego były w naszéj bliskości. Wkrótce bitwa była stanowczo wygraną, lecz Napoleon nie chciał żeby gwardya jego brała czynny udział w rozbiciu i ściganiu nieprzyjaciela, z politycznych i militarnych powodów w kraju tak odległym; z zupełnym zmrokiem, udaliśmy się na spoczynek do lasu na prawem skrzydle będącego, tu adjutant major, mnie jako kapitana z kolei komenderował na furażowanie. Nie było to lekkie zadanie w ciemnéj nocy i miejscach nieznanych, udałem się na prawo i dostałem się do biwaków opuszczonych przez wojsko polskie, zastaliśmy tam ślady nie małéj obfitości zboża w snopie, szczątkami tymi obładowaliśmy nasze konie; ale nas zgorszyło mnóztwo powózek i różnego przy nich motłochu niepotrzebnego na wojnie, był to niestety przykład tego co wkrótce miało i całą armią obciążać przy bliskim odwrocie.

Powróciłem więc do naszego biwaku ze szczupłym posiłkiem dla koni a żadnym prawie dla ludzi, w późną noc, nie zsiadając prawie z konia od 2 porannéj godziny.

Nazajutrz 8go września przejeżdżaliśmy srogie pobojowisko bitwy nad którą krwawszéj nie pamiętali weterani. P. Thiers podaje liczbę z obu stron, zabitych i rannych na 90,000, z których przyznaje z strony Francuzkiéj 30,000 a na Moskalów liczy 60,000.

Kiedy armia posunęła się na Mozajsk, większa część naszego pułku, pod dowództwem Gros Majora Dautancourt, a w komendzie starszéj, jenerała *Colbert* dowódzcy pułku lancierów holenderskich gwardyi, posłani zostaliśmy na prawo, na starą drogę od Kaługi do Moskwy, celem śledzenia w téj stronie ruchów głównéj armii Rosyan, a może i jakiego nadchodzącego jéj posiłku. W tym kierunku przyśliśmy do Borowska, wtenczas to złączył się z nami pluton 7go pułku lancierów w służbie Francyi, to jest ułanów Nadwiślańskich, pod dowództwem porucznika Bogusławskiego i pozostał z nami, podobno aż do złączenia się z pułkiem w okolicach Oszmiany.— Wojska rosyjskiego nie napotykaliśmy nigdzie w liczbie znaczniejszéj, a patrole kozackie unikały nas, bo nasza kolumna jazdy wynosiła mniéj więcéj 2000 jazdy. Wszelako jener. Colbert zachowywał wzorową ostrożność; był to dowódzca rzadki, i w czasie cofania się z Rosyi, dawał dowody energii któréj niestety! niedostawało wielu jenerałom francuzkim, jak to będziemy mieli sposobność wzmiankować niżéj.

Pod Borowskiem, gdzie p. Thiers kładzie rzekę Protwę którą na polu bitwy pod Borodinem nazywał Koloczą, doznaliśmy rzadkiego posiłku, to jest ryb ze stawu, a mój szef szwadronu Chłapowski, ugościł mnie wyjątkową biesiadką o jakiéj już i pamięci nie miałem.

W tem przeglądzie kraju flankowego, natrafialiśmy na różne dla nas osobliwości: Pałace z bibliotekami, sklarniami i ogrodami; sklarnie były zadziwiające, ale w ogrodach ledwie mizerne jabłuszka na drzewach; z ptastwa, najwięcéj wron, kawek, i gawronów; podniebie wido-

cznie północne, o wiele różniące się nawet od Litewskiego. Zdarzyło się Antoniemu Jankowskiemu na podjeździe natrafić na cukrownię z buraków; pewnéj nocy zostaliśmy zdziwieni przybyciem na wielu powózkach wielkiéj ilości głów cukru; od téj chwili i ja zacząłem używać powózek czyli bryczek których miałem z porucznikami mojemi bracią Hemplami, dwie, a za niemi dwie krowy dojne i zapas cukru i różnych wiktuałów. Chociaż jenerał Colbert miał znaczną komendę jazdy, nie odbierał rozkazów, a jak się zdaje, i jego raporta nie dochodziły do głównego sztabu. Co noc widzieliśmy w kierunku Moskwy ogromne łony na niebie; czyniliśmy wnioski, że obie armie stoją na przeciwko siebie, sposobiąc się jeszcze do walnéj bitwy przed Moskwą; korciło to niespokojność naszą, żeby nie należeć do téj bitwy... nakoniec, czy jener. Colbert otrzymał rozkaz, czy sam to przyjął na swoją odpowiedzialność? ruszy liśmy na Fomińsko ku armii, czyli ku Moskwie... wreszcie przybywszy pod Górę Woroblewską zwaną, zastaliśmy ją obsadzoną strażą naszych kolegów strzelców konnych gwardyi; poskoczyłem z niektórymi oficerami do naszych znajomych, pytając ich natychmiast: o Moskwę? — Moskwy nie ma — jak to?! — spalona, patrzcie! i w saméj rzeczy ujrzeliśmy ze szczytu tego pagórka, dymiącą i gdzie niegdzie dogorywającą ogromną przestrzeń, małą tylko część i górujący Kremlin oszczędzono. Można sobie wystawić nasze przerażenie pod względem militarnym, politycznym i osobistym... byliśmy znużeni marszem od Kowna, obdarci, nie oprani, liczący na pomoce stołecznego miasta... Szaszery przerwały te nasze zadumania, częstując nas winem Dońskiem pieniącem się jak szampan, piliśmy więc na zdrowie Cesarza, na spotkanie nasze szczęśliwe, na pomyślny skutek wyprawy, i pociągnęliśmy daléj, nieco pocieszeni: rozłożyliśmy się na nocleg w przedmieściu przy trakcie

od Kaługi, a zaopatrzeni zaraz w różne spragnione od dawna zasiłki, mianowicie w tytuń turecki, odbyliśmy pierwszą noc w spoczynku i zapomnieniu trosk: jucunda sollicitae oblivia vitae.

Nazajutrz otrzymaliśmy, wiadomość: że przystęp do miasta był zbroniony i rozkaz udania się na wieś nam wyznaczoną... zdaje mi się, że tą była od razu *Woronowo,* pod którą ja osobiście spędziłem prawie cały czas pobytu Napoleona w Moskwie... jakkolwiekbądź, czy zaraz, czy póżniéj przybyłem do Woronowa, zastałem tam pałac spalony, a na nim wielkiemi literami węglem, ten napis: Le comte Roztopczyn propriétaire de cette maison l'a brulée de sa propre main pour qu'aucun chien de français ne puisse y démeurer. Właściciel tego domu hrabia Roztopczyn spalił go własną ręką, żeby żaden *pies* Francuz nie mógł w nim mieszkać — piękne to przywitanie nie zrobiło na Polakach smutnego wrażenia, ale zapaliło nas gniewem: jak tylko było można wyrobiłem sobie urlop od jenerała Krasińskiego przebywającego w Moskwie przy Cesarzu i pojechałem do téj stolicy, z bólem wprawdzie, ale więcéj z zawziętością, przejeżdżałem te popalone ulice — przypisując ten pożar wzajemnemu uczuciu tego narodu który tyle pożarów szerzył po naszéj ziemi od Bałtyku do Krępaku, od Czarnego morza po za Wartę aż do Pomorza.... a kiedy stanąłem na moście rzeki Moskwy pod Kremlinem, zatrzymałem się na tem stanowisku, z którego szeroko wzrok sięga na wszystkie strony, a rozpamiętywając wyrznięcie rodaków towarzyszów Dymitra, i rocznicę r. 1612go... i wyrznięcie Pragi, powiedziałem sobie: że teraz w r. 1812 pomszczona Praga i cień Jasińskiego, i że już mogą zmazać z swoich grobowisk napis: Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor [1]).

---

[1]) Późniéj kiedy stosunki królestwa kongresowego były bliższe z Rosyą, czytaliśmy wiersz czyli odę Dmitryewa na zdobycie War-

Udałem się następnie do jenerała Krasińskiego, gdzie przy gościnnych puharach, oglądaliśmy z rozrzewnieniem klingę Radziwiłłowską, przez Dominika Radziwiłła już natenczas lub wkrótce majora naszego pułku, w Kremlinie znalezioną. Naznaczono mi kwaterę nie w pałacu, ale w bardzo porządnéj kamienicy jakiegoś Sołtykowa... bynajmniéj nie zrabowanéj ani nawet tkniętéj, gdzie Dworecki (tak nazywają Moskale marszałków dworów ślachty), przyjął mnie rozsądnie i należycie. Nazwisko Sołtykowa bardzo historyczne; byli to partyzanci Dymitra a zatem nasi, jakoż przesiedlili się w części rodu do Polski i dobrze się zasłużyli naszéj ziemi... a w czasach nowszych, któż nie wie jak Sołtykowowie podzielali z Poniatowskim przychylność Katarzyny téj gwarantki całości Polski?.... Oświadczyłem Dworeckiemu że ja choć przyzwoicie przyjęty, chcę zrabować dom jego pana, i zabieram: skło do musztardy na szklankę do kieszeni, i łyżkę rogową do tabaki, także do kieszeni, na łyżkę obozową — i że życzę jemu i jego panu, żeby się nikt większego rabunku w tym domu niedopuścił.— Udałem się potem do Kremlinu, gdzie nie tyle Granowita Pałata (odwieczna sala carów) arsenał i starożytne cerkwie zwracały moją uwagę — ile szeregi licznych śmigownic i dział polskich znaczonych herbami: królestwa i różnych rodzin polskich, które dla ciężaru swego a może i dla chluby, nietykalnie leżały jeszcze w Kremlinie

szawy w roku 1794m przez Suwarowa — któréj że nie mamy pod ręką mocno żałujemy, bo ciekawą jest zawziętość poety rosyjskiego na naród polski, i ubolewanie że bohater Pragi nie postąpił sobie podobnież i z Warszawą . . . a że to uczucie do r. 1827 nie zupełnie się odmieniło przez zbratanie się z carstwem polskiem, dowodzi to: iż sam na swoje uszy słyszałem jenerała senatora rosyjskiego przybyłego do Warszawy no komitet śledczy, odzywającego się do kolegów temi słowy: „Co tu rozprawiać! póki Warszawa nie będzie wyrznięta, nie będzie spoknjnie.“ — Wszakże dodać należy, że ten jenerał był podobno weteranem jeszcze z pod dowództwa Suwarowa.

na swojem miejscu, kiedym Kremlin po ostatni raz zwiedzał w r. 1825 na 26ty przy zwłokach Imperatora Aleksandra Igo.

Po zaspokojeniu mojéj narodowéj ciekawości o Moskwie i Kremlinie, wróciłem do swojéj kompanii i brałem odtąd udział w różnych podjazdach w okolicy Moskwy, spotykając się raz z 9m pułkiem jazdy polskiéj Przyszychowskiego, drugi raz z 12 pułkiem tejże jazdy pod dowództwem majora Brzechwy, gdzie mi się zdarzyło w téj kampanii widzieć po raz pierwszy z bliska, księcia Józefa Poniatowskiego... ale szczegółów tych wycieczek niepamiętam, wiem tylko że albo były mało znaczące, albo pomyślne, żadnéj albowiem niedoświadczyłem klęski w Moskwie, o jednéj tylko podobnéj wiem w pułku naszym, i to przed ogólnem odwrotem — przyjaciel mój i dawny kolega, kapitan Brocki wysłany był na podjazd, napadnięty przez przemagającą siłę skłuty pikami popadł w niewolę Miłoradowicza, — Porucznik Roman bronił go ale nadaremnie, jako o tem wzmiankę uczyniliśmy w 1m naszem wspomnieniu o pułku w *Dodatku do Czasu* na miesiąc grudzień r. 1856 z powodu artykułu z III.go zeszytu Cmentarza Powązkowskiego wydanego w Warszawie przez p. Wójcickiego r. 1855.

Ja, jak to już wyżéj powiedziałem, najwięcéj przebywałem w Woronowie pod namiotem moskiewskim, który niezmordowany porucznik Joachim Hempel był gdzieś zdobył — wielu oficerów starszych, jak Dautancourt, Kozietulski i inni bywali w Woronowie ale czasowo; ja tam stałem w przeznaczeniu na eskortę Napoleona w przypadku gdyby się tamtędy dokąd bądź udał. — Śniadania nasze składały się najwięcéj z polewki winnéj lub z ryżu na mleku od naszych krów; obiady z wieprzów pieczonych całkowicie, lub sztuki wołu na drewnianym rożnie, zrazami odkrawanych; zasiadaliśmy do czarnéj kawy; markietanka czyli raczéj kilka ich razem

w kotle żelaznym nad ogromnem ogniskiem na żerdzi, utrzymywanéj na dwóch kobylicach zawieszonym, bezustannie, od rana do póżnéj nocy, warzyły kawę — po czterech rogach ogniska, sterczały na kobiercach albo płótnach, stosy palonéj i niepalonéj, kawy, urąbanego cukru, i filiżanek, sklanek, kubków, od najprzedniejszych wyzłacanych porcelanowych aż do glinianych garnków, moskiewskich drewnianych czarek, i obozowych blaszanych manierek... Markietanka przyjąwszy metalowy pieniądz, obficie słodząc mokkę, dostarczała jéj zgromadzonym wszelkiego stopnia gościom zwiedzającym w obszernem kole, na kanapach i sofach, atłasowych, adamaszkowych, wyzłacanych, safianowych mniéj bogatych, aż do prostych desek położonych na dwóch pniakach lub beczkach; był to widok w swoim rodzaju jedyny, prawdziwa obozowość, towarzystwo przemieniające się bezustannie, z różnych rang i narodowości złożone, a zawsze ożywiane dowcipami wiarusów naśmiewających się ze wszystkiego, ale najwięcéj z Moskalów i ich przywódzców.

Nie mogłem się doczekać w Woronowie Napoleona, ale z zadziwieniem i żalem, ujrzałem dwa razy jen. Lauriston— przejeżdżającego do Kotuzowa; bolesno nam, było widzieć Napoleona kompromitującego się okazywaniem życzenia, a zatem i potrzeby, pokoju i narażającego się na coraz dłuższe przebywanie w Moskwie, w nadziei traktatu... Takto Napoleon przesiedział w stolicy carów dni 34, żeby był poprzestał na 8 do 10 mniéj więcéj, a był uskutecznił odwrót zaczepny, zagrażający Petersburgowi, a cofający się istotnie na Witebsk, gdzieby się był złączył z marszałkiem Wiktorem, jest wielkie podobieństwo, że popłoch którym był zdjęty Petersburg, byłby wymógł traktowanie o pokój, a w każdym razie, bylibyśmy uniknęli fatalnéj rejterady, która li z naszéj winy miała postać ucieczki; ale na ten północny, czy na południo-

wy kierunek przez Kaługę i Mścisław, trzeba było opuścić Moskwę o blisko miesiąca pierwéj.

D. 18go października rosyanie zaatakowali Francuzów, a mianowicie Sebastianiego, którego poznaliśmy pod Drują, który się tu lepiéj niepilnował jak tam, i podobno od razu 18 armat, nie zdobytych, ale przez niepilnowanie zabranych utracił. Tego dnia już oddział nasz nie był w Woronowie; jak tylko za powrotem Lauryston od Kutuzowa okazało się, że już tamtędy Napoleon przejeżdżać nie będzie; pułk nasz skoncentrował się bliżéj głównéj kwatery; kiedy więc Murat i książę Poniatowski cofnęli się pod Woronowo, już nas tam nie było, dowiedzieliśmy się tylko z boku, o zaszczytnéj walce korpusu polskiego i o stracie jener. Fiszera, tudzież o mocnem zranieniu Tadeusza Wyleżyńskiego krewnego księcia Dominika Radziwiłła, którzy oba potem należeli do naszego pułku.

D. 19go Napoleon opuścił Moskwę i udał się na Borowsk ku Małemu Jarosławcowi, uprzedzając tym marszem Kutuzowa na drodze do Kaługi. Ten sam dzień 19go października był feralnym dla naszego pułku gwardyi konnéj litewskiéj formowanéj przez jenerała Konopkę. Ten niegdy wychowaniec Słonimia, chciał tam okazać się naczelnikiem świetnéj młodzieży litewskiéj, i pomimo przestrog jenerała rosyjskiego Czaplica Polaka, tak zarozumiale znalazł się w ojczystym swoim Słonimiu, iż tam prawie z całym swym pułkiem został rozbity i w niewolę zabrany — to co się z tego pułku pozostało, przydzielono potem do naszego, jak już o tem w poprzednich naszych wspomnieniach pisaliśmy — tak więc mniéj więcéj od d. 18go października rozpoczęło się pasmo niepowodzeń naszych. W dniach 23 i 24 zaszła krwawa i zaszczytna bitwa korpusu księcia Eugieniusza, w któréj Włochy dowiedli, że i oni tak jak Francuzi mogą się mierzyć na bagnety z grenadyerami moskiew-

skiemi; — tyle tylko wspomniemy o téj pamiętnéj bitwie, że pułkownik Kobylański adjutant marszałka Davousta utraciwszy nogę po biodro, wytrzymał amputacyą i przez grenadyerów francuzkich zrazu uniesiony, szczęśliwie dostał się do Polski gdzie był późniéj prezesem Płockim.

D. 24go wieczorem czując się słabym, nie chciałem należeć do świeżego szwadronu służbowego przy Napoleonie i udałem się na bok do szwadronu Jankowskiego w którym był także Zielonka, gdzie między przyjaciołmi chciałem trochę wypocząć; moja kompania poszła na służbę pod bracią Hemplami a dowództwem szefa szwadronu Kozietulskiego Cesarz przenocowawszy w wiosce zwanéj Gorodnia, nazajutrz d. 25 października siadł na koń jak najraniéj, chcąc rozpoznać pozycyę Rosyan. . . tym czasem było w całéj okolicy słychać z daleka, pisk napadających obławą Kozaków, i krzyki uciekających przed nimi powozek i różnego motłochu. Joachim Hempel porucznik prowadzący szpicę, jednego naszego, drugiego szaserów gwardyi plutonów, widząc że tłum Kozaków napada prosto na Cesarza, korzysta z ciemności i naciera na nich bez wahania, pluton szaserów naśladuje go, i tym sposobem Kozacy nie wiedząc jaka to masa się na nich rzuca, zatrzymują się i dają czas Cesarzowi i jego sztabowi cofnienia się cokolwiek. . . . Ale Kozacy zobaczywszy że z małą liczbą mieli do czynienia, zwrócili się na nowo i rozpoczęła się utarczka z orszakiem Cesarza, w którym kilku oficerów sztabu a między innymi jenerał Rapp wzięli udział, aż nadciągły szwadrony służbowe a na ich czele Kozietulski z naszym, i odpędziły Kozaków; wtenczas to w obronie, iż tak powiem samego Napoleona, Kozietulski został znacznie ranny piką, za co go mianował Cesarz majorem naszego pułku. Jen. Gourgaud naoczny świadek twierdzi: że w szpicy Joachima Hempla, był trzeci pluton dragonów gwardyi; to może być, bo ja nie byłem tam

naocznym świadkiem, ale się to nigdy nie praktykowało żeby pluton dragonów był w szpicy przed Cesarzem, tylko tak jak ja opisałem. Także p. Thiers który nigdy o Polakach nie wie, pisze, lecz mylnie, że regiment dragonów gwardyi: „na szczęście postrzegł niebezpieczeństwo Cesarza i na pomoc mu galopem nadbiegł“, ta rzecz ma się inaczéj, lecz to tak jakieśmy opisali; ale gdy my: Jankowski, Zielonka i ja, usłyszeliśmy i widzieliśmy tak nazwane *Hurra!* Kozaków, natychmiast siedliśmy na koń, a ja jako starszy objąłem dowództwo — i udaliśmy się ku tumultowi pod główną kwaterę — napotkaliśmy regiment dragonów rozwinięty frontem i wolnym kłusem linią na Kozaków szeroko posuwający się; zobaczyliśmy zkąd inąd, szwadron Mameluków nadbiegający, porozumiawszy się w okamgnieniu z Eliasem dowódzcą Mameluków, postanowiliśmy nacierać na Kozaków przez luki szwadronów dragońskich, i tak ich pędziliśmy po nad rzeką Łużą, aż się znowu spotkaliśmy z pułkiem strzelców konnych gwardyi, i jenerał Guyot ich dowódzca dał mi pamiętną naukę: gdy stanął przed moim szwadronem niewzruszenie, pod lasem obsadzonym piechotą rosyjską, strzelba zaczęła nam dokuczać bez żadnéj potrzeby ni pożytku... ośmieliłem się zrobić mu uwagę: że tu nasi ludzie i konie cierpią na próżno, że możeby jenerał pozwolil się trochę odsunąć od lasku; na to francuzki jenerał do mnie: „Albo co! czy to żołnierze na co innego stworzeni, jak tylko żeby ginęli?“ Pomiarkowałem żem się nie potrzebnie odezwał, i stałem z zimną krwią obok jenerała szaserów, póki może Moskale odeszli, i jemu się podobało z tego miejsca się oddalić.

W tym dniu, cały nasz pułk zostający pod rozkazem jenerała Dautancourt — oprócz dwóch szwadronów służbowych z d. 24go i 25go — o których już wspomniałem — ucierał się cały dzień z Kozakami.... było to

skutkiem: że Płatow dostał znaczne posiłki z Donu, i chełpił się zamiarem ułowienia Napoleona, jakoż tego dnia 25go, całe okolice francuzkiego wojska otoczył obławą, ale wszędzie zwycięzko odparty.

Niewiem, nie pojmuję, co po bitwie małojarosławieckiéj Napoleona nakłoniło opuścić zamiar udawania się na Kaługę, przynajmniéj obrócenia się na Medynę, Juchnow, a choćby i na Jelnie do Smoleńska, ale wracać się do Możajska na tę samą drogę którąśmy tak spustoszoną przebyli... tego nasze umysły pojąć nie mogły! I dotąd nie możemy. — D. 28go przybywszy do Możajska, ujrzeliśmy to okropne pole bitwy pełne jeszcze bolesnych jéj śladów. Już pod Możajskiem niedostawało żywności, moje dwie krowy jedna po drugiéj poświęcone zostały regimentowi. My atoli wkrótce złączywszy się z pułkami nadwiślańskiéj piechoty, urządziliśmy furażerowanie osobne, i codziennie przed wieczorem, kompania piechoty, najwięcéj 2go pułku dowództwa Malczewskiego i oddział jazdy naszéj, zapuszczały się na ubocze i przywoziły mniéj więcéj różnéj żywności dla koni i ludzi.

Pewnego dnia kiedy pułk nasz cały marszerował w po rządku, a szef Chłapowski na czele mojéj 1éj kompanii, przy mnie z lewéj strony, nadciągnął Cesarz konno i podjechał pod lewy bok Chłapowskiego; przywitał się z nim poufale i zaczął z nim mówić; ja się usunąłem przez uszanowanie, i trwała ta konwersacya dość długo. Napoleon miał na sobie szubę zieloną axamitną sobolami podszytą i czapkę podobną, formy w Moskwie używanéj.

Innego dnia, jenerał Krasiński szedł na czele pułku obok mnie, zobaczyliśmy drogę skrwawioną i trupów żołnierzy rosyjskich świeżo zabitych; byli to jeńcy, zdjęci byliśmy zniewagą, jenerał Krasiński udał się galopem do dowódzcy téj kolumny; był to pułkownik portugalski; Krasiński wymawiał mu srogie jego i niczem uspra-

wiedliwione okrucieństwo; Portugalczyk bardzo źle przyjął uwagi Krasińskiego, odpowiadał mu w tonie nieprzyzwoitym; nie był czas ani miejsce do sporu, jenerał Krasiński udał się pospiesznie do sztabu Cesarskiego, i tam doniósł o tem nadużyciu losu jeńców; Cesarz dowiedziawszy się, wysłał zaraz adjutanta swego Gourgaud dla rozpoznania tego wypadku, który tenże jenerał na stron. 200 swojéj krytyki historyi Segura opisuje, oczyszczając nas zupełnie z zarzutu p. Segura, jakoby między eskortą jeńców hiszpańską i portugalską byli także Polacy. A zatem najprzód to twierdzenie jest całkiem mylne, a powtóre, Polacy nigdy się okrucieństwa nad bezbronnymi nieprzyjaciołmi niedopuszczali, i zawsze byli z jeńcami łagodni.

W Dorogobużu, w tem niegdyś nam nieobcem mieście, doszła Napoleona wiadomość, o zaszłem w Paryżu spisku; co go najwięcéj raziło, było to: zapomnienie praw jego syna Napoleona II, powagi Cesarzowéj i konstytucyi Cesarstwa. Ale prócz téj drażliwéj wiadomości, zjawiły się d. 6go listopada mróz ze śniegiem — smutny dowód, żeśmy o miesiąc nadto późno wyszli z Moskwy — wojsko nieopatrzone w ubiór cieplejszy, konie tak od jazdy jak szczególniéj od artyleryi nie kute na ocylach — przesąd Francuzów nie obeznanych z zimą, stał się klęską; kiedy my Polacy na koniach ostro kutych mijaliśmy jenerałów francuzkich galopem, oni zazdroszcząc nie mogli się wydziwić, a działa ich pod każdym pagórkiem doznawały nieprzebytéj trudności i tylko ramionami żołnierzy mogły być na pagórki wyciągane.

Ta mała na pozór okoliczność kucia koni, była jedną z najpowszechniejszych przyczyn straty koni artyleryi i bagażów, a zatem głównéj klęski armii.

D. 9go dochodziliśmy do Smoleńska, słyszeliśmy że to miasto było uporządkowane, zaopatrzone w zapasy

wszelkie, wystawialiśmy sobie, że dość już zbliżyliśmy się do Zachodu, i że tam niezawodnie będą zimowe leże, jeżeli nie dla nas, czyli główněj kwatery Cesarza, to dla jego stałěj i niezłomněj aryergardy — ta błoga nadzieja potwierdziła się w nas, kiedyśmy widzieli Napoleona wkraczającego na czele swojéj gwardyi do Smoleńska i wydającego surowe rozkazy porządku i karności... niestety! niedługo trwała ta pocieszająca nadzieja, bezład, niesubordynacya prawie aż do buntu posunięta, wkrótce te długo i starannie nagromadzone zapasy rozszarpała; jedni brali do zbytku, drugim niedostawało się nic... żeby wyobrazić co się działo, powiemy dla pamięci, że wina bordeaux i burgońskie rozprzedawano butelkami za pieniądze, żeby uniknąć ich poniewierki. Nasz pułk zwłaszcza co do ludzi wypoczął trochę w Smoleńsku i spędziliśmy kilka nocy pod dachem, czego nie doznawaliśmy od niepamiętnego czasu.... ale cóż to było w porównaniu z oczekiwanemi leżami zimowemi?! Atoli nadeszłe z południa niepomyślne wieści, zdaje się że wszelką chęć Napoleona zachowania Smoleńska zmieniły, tak, że wypocząwszy trochę, uporządkowawszy mianowicie cokolwiek artyleryą, opuścił z nami Smoleńsk d. 14go listopada spiesząc na Orszę do Borysowa, to jest do linii Berezyny; marszałek Ney zaś miał sobie powierzoną tylną straż.

Wyszedłszy ze Smoleńska, zacząłem doświadczać, że pomimo dostatecznego ubioru, potrzebuję zaopatrzyć się w lepsze obuwie, jeżeli chcę zachować moje nogi; rzadkiem szczęściem napotkałem żołnierza hiszpana, od którego kupiłem moskiewskie buty; tym byłem winien zachowanie mych stóp, ale musiałem zamienić strzemiona u moich siodeł na kirysyerskie, bo bóty nie mieściły się w zwykłych moich strzemionach.

D. 17go listopada mieliśmy niespodziankę być atakowanymi przez większe siły Rosyan pod Krasnem. Pułk

nasz liczniejszy od wszelkich innych jazdy, pod okiem Napoleona w różnych miejscach tego dnia był użyty, flankierując i stojąc pod armatami nieprzyjaciela, które nam nie mało ubiły żołnierzy i koni, ale których szczegółów już pamięcią nie obejmują — pod Ladami i Dombrowną mieliśmy jeszcze w nocach, w téj porze bardzo długich, allarmowania Kozaków czyli lekkiéj jazdy rosyjskiéj, do odpędzenia dla bezpieczeństwa głównéj kwatery Cesarza, aż przecie dostąpiliśmy Orszy, gdzie już zastaliśmy organizacyą polską to jest na kształt Kstwa Warszawskiego. Bezwątpienia Orsza i Dniepr, powinny były zatrzymać i uporządkować rejteradę francuzką, ale oprócz gwardyi i Polaków, tak się była zakradła dezorganizacya do wszelkich korpusów, że i wypoczęcie w Orszy, nie lepiéj skutkowało jak w Smoleńsku; do tego dodać należy, że coraz gorsze wiadomości od Mińska i od korpusów walczących z Wittgensteinem, nie pozwalały się dłużéj zatrzymywać; chodziło o to, żeby nam nie przecięto komunikacyi przez Berezynę; dążyliśmy więc do Borysowa, i choć my Polacy umieliśmy sobie radzić na noclegach, jak to w Kochanowie, w Tołoczynie, u Francuzów nie widać było zwiększającego się porządku wszystko to jednak nie dochodziło jeszcze, do takiego rozprężenia, jakie nastało po Berezynie. Po doznanych mrozach i śniegach, zdawało się: że z téj strony Dniepru, podniebie było łagodniejsze, ale za to nastąpiły rozciecz i błota, w takim to stanie temperatury dążyliśmy pod Borysów nad Berezynę. Nie mogę teraz twierdzić z pewnością: ale zdaje mi się: że major nasz książę Dominik Radziwiłł. wpłynął na wybór Napoleona przeprawy przez Berezynę pod Studzianką. Segur mówi w tomie II na stron. 240, że zamek, Stary Borysów, w którym Napoleon nocował, należał do księcia Radziwiłła, książę ten, którego Napoleon szczególniéj lubił, jako właściciel zamku albo był przywołany, albo się

sam ofiarował, z radą: żeby uskutecznił przejście Berezyny pod jego wsią Studzianką, gdzie on wskazywał bród; zajęliśmy więc naszym pułkiem Studziankę, i tam parę dni, jeżeli nie kilka, przepędzili. Pierwszego brodu na Berezynie w oczach naszych doświadczał oficer z 8go pułku Łubieńskiego z pomocą kilku ułanów, był to wsławiony później literat rosyjski Bułharyn! ale że pułk rzeczony należał do jenerała Corbineau, więc p. Thiers przypisuje całą zasługę wyboru przejścia Berezyny pod Studzianką, jenerałowi Corbineau i jego adjutantowi Jacqueminot ktorego zowie: „un envoyé du Ciel qui a trouvé miraculeusement un point de passage", zesłańca niebios który cudownie wynalazł miejsce przeprawy.— Znaliśmy jenerała Corbineau, męża zacnego, kiedy jeszcze był szefem szwadronu w pułku strzelców konnych gwardyi, a który miał w komendzie pułkownika Tomasza Łubieńskiego i cały pułk jazdy jego polskiéj; nie sam jenerał ani adjutant jego Francuz, mogli rozpoznawać kraj polski i bieg Berezyny, a jeszcze zawsze zachodzi wielkie pytanie: czy to nie nasz Radziwiłł, według naszego podania, nie przedstawił tę radę Napoleonowi, a ten ją dopiero polecił jenerałom Corbineau i Eble, temu ostatniemu jako mającemu budować mosty na Berezinie; p. Thiers nie był świadkiem tych czynów tak jak Gourgaud; w każdym razie, pierwsza zasługa przeprawy pod Studzianką należy się Polakom, którzy codziennie i nieustające przysługi wyrządzali Napoleonowi, jego marszałkom i jenerałom, służąc narodowéj sprawie, tem gorliwiéj im była trudniejszą i niebezpieczniejszą, a to bez przerwy i do końca.

Przyśliśmy, to jest pułk nasz do Studzianki zgłodnieli, ja sam nie pamiętam w kampanii drugiego takiego tak głodnego dla mnie dnia, jak tylko w dzień bitwy możajskiéj; ale w Studziance, porucznikowie Hemple podratowali mnie i siebie na długo, kupiliśmy u naszego

gospodarza wieprza, kilka gęsi, i upiekli 11 bochenków żytniego chleba; do tego, można było dostać za sztukę złota, napoleona lub nawet dukata, kawał cukru, zwitek herbaty, kwaterkę rumu; w takie zapasy opatrzeni, byliśmy z pierwszych którzyśmy przeszli Berezynę. Przybywszy na most, znaleźliśmy go otoczonym ciżbą włóczęgów rozmaitych mundurów i rang, ale których nie można było rozpoznać z pod wszelkiego rodzaju ubiorów; most był wartą obsadzony która nikogo nie puszczała... trzeba było robić rum; kazaliśmy lance obrócić tylcami do góry, i tym sposobem rozdając razy nieszkodliwe na prawo i lewo, przeszedł pułk powoli w wielkim porządku, tego już niepamiętam czy konno czy prowadząc konie pieszo. — Gdyśmy się uszykowali na prawym brzegu Berezyny, postrzegłem że moi dwaj służący z powodowymi końmi zostali za mostem, udałem się więc za nimi pieszo, i choć nie bez trudności, przeprowadziłem ich całkowicie na brzeg prawy — o ile pamiętam kolega Wincenty Dobiecki doznał trudnéj przez Berezynę wpław przeprawy, ale przyczyny tego wypadku nie są mi wiadome. Na prawym brzegu dostąpiliśmy niezgorszéj kwatery, gdzie nie zbywało na różnych zajściach z oficerami francuzkiemi i z natrętami różnego motłochu, ale te sceny odtąd coraz się pogorszały, jak o tem będzie jeszcze późniéj. Tu tylko nadmieniam, że przejście Berezyny nie byłoby o wiele było tak straszne i w skutkach przerażające, gdyby oficerowie wszelkich broni, byli więcéj dbali o porządek. Nazajutrz 28go była chwalebna bitwa na prawym brzegu Berezyny. Pułk nasz stał na koniu gotów, atoli kirysyery jenerała Doumerc i lekka jazda jenerała Corbineau wydołały zwycięztwu, które było kompletne; w téj bitwie, tak polska piechota Ks. Warsz. jak i legia nadwiślańska okryły się zasługą, ale jenerałowie Zajączek, Dąbrowski, Kniaziewicz i Claparede, 4ch jenerałów dywizyi, zostali ranni. Kiedy tak Polacy się odznaczali

na prawym brzegu Berezyny, na jéj lewym, walczyły równie zaszczytnie, pułki Ks. Warszawskiego z Hiszpanii powracające pod jen. dywizyi Girard, w 9ym korpusie Mar. Victor.

D. 29go opuściliśmy brzegi Berezyny, więcéj nieszczęśliwéj pamięci, przez samowolną winę niesfornych włóczęgów, niechcących ani w porządku czekać ani w porządku przechodzić przez mosty, co ich klęski było przyczyną — albowiem pod militarnym względem, téj przeprawy nie można było nazywać nieszczęsną, lecz przeciwnie nadspodziewanie pomyślną i nader umiejętnie uzyskaną.

Cała ta kampania nosiła w sobie zaród niepowodzenia; najprzód, jak już w ostatnich wspomnieniach naszych o Hiszpanii powiedzieliśmy: z przyczyny niesprawiedliwie i niepolitycznie przedsięwziętéj i niedokończonéj wojny na półwyspie portugalskim i hiszpańskim, a rozpoczętéj zawcześnie wojnie północnéj, niezapewniwszy sobie Turcyi i Szwecyi; z wojskiem nader licznem, ale rekrutami przepełnionem i z różnych narodowości, złożonem, które w sobie przynosiło z daleka, zaród niemocy; niesforności; co innego było jenerałowi Bonaparte z małemi siłami wojować w krajach włoskich, ludnych i zamożnych; co innego z wojskami licznemi, Cesarzowi, zwyciężać bitwami stanowczemi w Niemczech; a co innego zdobywać Polskę na Rosyi, ustępującéj bez bitwy, z zamiarem bronienia się do ostatniego, w krajach bezludnych i klimacie nieznanym; albo raczéj, tak przez mocarza zapoznanym, jak był zapoznał narodowość hiszpańską. — Wszystkie te okoliczności umiejętnie i stanowczo rozwinął historyk Thiers, do niego odsyłamy naszych czytelników, założywszy sobie — jak powtarzamy — nie pisać historyi wojny rosyjskiéj ale tylko wspomnienie o naszym pułku. W skutku więc tych niespodziewanych klęsk, postanowił Napoleon udać się jak najprędzéj do Paryża, by nie popaść w jeństwo Aleksandra

albo nie stradać razem z wojskiem, tak mozolnie a nie gruntownie, przysposobionego sobie Cesarstwa.

Marsz naszego pułku przez Zembin, Mołodeczno do Smorgoni, był coraz znośniejszy! porządek, duch i język; ułatwiały nam stosunki w kraju bratnim, a zima, choć ostra, nie miała dla nas nic zadziwiającego, dla nas cośmy sobie za wzór stawiali, wojny naszych Batorych, Zamojskich i Chodkiewiczów... Zwyczajem naszem, zwłaszcza w marszu wieczornym lub mroźnym, kiedy dla ulgi koniom, albo dla zagrzania ludzi, lub też dla chronienia ich od ospałości na koniach, szliśmy pieszo prowadząc za sobą konie, było: śpiewać marszowe pieśni a najwięcéj krakowiaki; jest to albowiem powinnością oficerów, utrzymywać podkomendnych w duchu wesołości i ufności — pewnego dnia gdyśmy tak szli przez pole ku noclegowi w jakiéjś wsi, a głośny krakowiak rozlegał się po śniegu — słyszymy z daleka głos polski nawołujący: kto to maszeruje? na odpowiedź rezolutną że to 1sza kompania mego dowództwa, zjawia się mój powinowaty Jan Załuski [1]) oficer artyleryi polskiéj, i przybywa z zadziwieniem naszego dobrego humoru... przyjął moją gościnność przez parę dni, ale obowiązek służby odwołał go od nas.... gdyby był z nami pozostał, możeby zbyteczne trudy wojenne, nie były go pozbawiły życia za powrotem do kraju. Ale nietylko my Polacy znosiliśmy w gwardyi z wytrwałością trudy wojenne, ale i Francuzi weterani, znosili te trudy nie mając ich za nadzwyczajne na wojnie; maszerowałem nieraz obok znajomych szasserów, nie ciepléj przyodzianych jak we Francyi, zadziwiających nawet wytrzymałością, i cierpiących tylko, na poniżenie armii, ijéj rozprzężenie, a że to nie było nic tak nadzwyczajnego: przytoczymy z p. Segura przykład jen. Narbonne, byłego ministra wojny za Ludwika XVI, który codziennie siedząc na przeddachu lub

[1]) **Syn Wincentego z Wodyń.**

ławie, kazał się fryzować i pudrować, przy tem zatrudnieniu bawił obecnych swoimi żartami i dowcipem; a który jak mówi p. Gourgaud: „fit la campagne de Russie avec l'activité et l'ardeur d'un jeune homme, "który odbywał tę wojnę z czynnością i zapałem młodego człowieka.

D. 5go grudnia byłem w szwadronie służbowym przy Napoleonie pod dowództwem szefa Szeptyckiego. Biwak nasz był między parkanem a wrotami otworzonemi, stanowiącemi trójkąt z parkanem, ognisko przed nami, był przy mnie porucznik Adam Załuski należący do kompanii Jankowskiego, który prowadził z Zielonką kolumnę ludzi bezkonnych — zażywaliśmy posiłku dostatecznego, tak dalece, że był i plaster miodu na wety — godzina była późna — w tem dają nam znać, żeby szwadron siadał na koń — mniemając że się gdzie pokazali Kozacy, namówiłem Załuskiego żeby — jako nie będący na służbie — nie siadał z nami na koń, i pozostał z porucznikiem Zawadzkim, którego zostawiłem z częścią kompanii mniéj zdolną do nowéj wyprawy — zbiera się więc szwadron i każą nam iść na dziedziniec pałacu, czyli raczéj obszernego drewnianego staroświeckiego dworu — zastajemy już prawe skrzydło podwórza, zajęte przez szwadron strzelców konnych gwardyi formujemy się więc na lewo, ciekawi co to będzie? zajeżdżają dwie karety latarniami oświetlone, wychodzi Cesarz na ganek domu, otoczony wielu osobami i wsiada do jednego pojazdu, kilka osób do drugiego. Strzelcy konne puszczają się w drogę przodem, nasz szwadron za pojazdami kłusem, i tak kłusując pędzimy aż do stacyi ku Oszmianie, na któréj nas obluzowali Lancyery gwardyi holenderskiéj. Pan jenerał Segur, który codziennie widywał Wąsowicza i znał go pierwéj i późniéj, tak referuje o towarzyszach podróży Napoleona: „Lui et Caulincourt s'enfermèrent dans une voiture; son Mame-

Jouck et *Wukasowitch*[1]) capitaine de la garde, en occupaient le siége Duroc et Lobau le suivirent dans un traineau“.— On i Caulincourt zamknęli się w karecie, jego Mameluk i kapitan *Wukasowitsch* zajęli miejsce na koźle, Duroc i Lobau pojechali za nim w saniach. Thiers dodaje jeszcze: Gener. Lefebre des Nouettes; czy za karetą Napoleona były sanie? czy druga kareta, jak ja podaję? nie chcę się sprzeczać i ta okoliczność jest obojętna. Jakkolwiek cały sztab cesarski pochwalał jego odjazd, i król neapolitański ulubieniec walecznych, objął dowództwo z pomocą majora jeneralnego Berthier, oraz wicekróla włoskiego i tylu obecnych marszałków,... nieporządek zakorzeniony, wzmógł się jeszcze po odjeździe Cesarza; codziennie doznawaliśmy sporów i sprzeczek z oficerami francuzkiemi wyższych stopni, nie mogących pojąć żeby był jeszcze pułk wysyłający furyerów za kwaterami... czego my nigdy nie zaniedbaliśmy od Moskwy, bo tak chce służba i porządek.... jednego wieczora ja nie mogąc moich koni własnych pomieścić, mimo zapowiedzenia mego furyera; pozwoliłem sobie usunąć konie zawadzające, które należały do oficera francuzkiego od dragonów; pan oficer przybiega obrażony i wyzywa mnię na pojedynek, (noc była, mróz, i śnieg biały jaśniał pod blaskiem księżyca). Wzywam Macieja Mierzejewskiego na sekundanta, przeciwnik ma swego, dobywamy pałaszy, składamy się... w tem Mierzejewski coś do mnie przemawia i nazwisko moje wymienia... mój antagonista słysząc moje nazwisko, zawołuje: „WMPan się nazywasz Załuski?... ja się z WMP. bić nie mogę... i mówi dalėj: ja teraz WMPana poznaję, byłem u niego w Warszawie, z listem od jego stryja z Gostkowa gdzie tyle doznałem przysługi i t. p.

---

[1]) **Wukasowitsch, nazwisko Francuzom znane, bo takie nosił w kampaniach z Bonupartem jenerał korpusowy austryacki.**

i tak, niewczesna walka, zamieniła się w traktat przyjaźni i nocleg wspólny.

W parę dni po owym nocnem eskortowaniu Napoleona ze Smorgoni, złączył się zę mną Zawadzki... bez Adama Załuskiego! biedny, zbyt do mnie przywiązany, padł ofiarą dla mnie — pomimo prośb i perswazyi doświadczonego Zawadzkiego, oddalił się od niego chcąc mi się przysłużyć jakim lepszym kąskiem... i został przez Kozaków schwytany? czy zabity? nigdy pewności o tem nie było, doszła jednak wieść, że umarł w szpitalu w Mińsku... można sobie wystawić ile ten wypadek przyczynił się do smutku jakim mnię obarczał, zawód wszelkich nadziei.... Pod Oszmianą spotkaliśmy się z pułkownikiem Stokowskim dowódzcą pułku ułanów nadwiślańskich z Hiszpanii przybywającego, którzy eskortowali Napoleona w okolicy Oszmiany, gdzie Kozacy byli bardzo blisko Cesarza, o którym jednak wiedzieć nie mogli — bliżéj jeszcze Wilna, spotkaliśmy się i złączyli z szwadronem naszym 5m nowo uformowanym i przybywającym z Gdańska pod dowództwem szefa Fredry, tam był kapitanem kolega Wincenty Mikułowski. Szwadron ten eskortował także Napoleona, ale że wybrany w paradzie i złożony z młodych ludzi jeszcze niedoświadczonych, dużo ucierpiał, byłto albowiem mróz największy, jakiego doznaliśmy, 22 stopni Réaumura; doktor nasz, nieoszacowany Baron Girardot miał ciągle termometr przy sobie, prawie zawsze obok mnie marszerował i codziennie oba na termometr patrzyliśmy. P. Thiers pisze o 30° mrozu; niewiem wiele podawał stopni, zasłużony i światły przyjaciel naszego pułku i naszych lekarzy, Dr. Larrey? który także termometr nosił przy sobie; ale to wiem: że w naszych polskich krajach, nie bywa mrozu nad 24 do 25°, i że na 30° stopni, nawet w Petersburgu mróz nie bywa, albo kiedy się zdarza, wszelkie czynności ludzi ustają. Fran-

cuzi a mianowicie p. Thiers lubią przesadzić. Zdaje się że 22° mrozu, dla biwakujących, głodnych, źle odzianych i niedbałych o siebie, jest zimnem zabójczém... ale nie jest takiem: żeby przy zachowanych przezornościach nie módz odbywać zimowéj kampanii, a w czasie wojny pruskiéj z r. 1806 na 7my były takie same w okolicy Gdańska i Eylau a może i tęższe mrozy.

Na koniec więc 9go grudnia zbliżaliśmy się do Wilna; już tu w naszéj młodéj a polskiéj wyobraźni nie mogło się pomieścić, żebyśmy się nie mieli zatrzymać, —w rzeczy saméj, gdyby tak francuzcy dowódzcy jako też i urzędnicy polscy, byli dopełnili swoich obowiązków, nie mogło było uledz wątpliwości, że armia w Wilnie zajmie zimowe leże... Przybywszy więc do Stolicy Litwy, udałem się do łazieniek, a oczyściwszy się należycie z pyłu marszowego, ubrałem się od stóp do głów w mundur nowy paryzki, od owéj przeprawy przez Niemen i Wilią, prócz może jednego razu w Moskwie, nie używany... tak wystrojony, wyszedłem na miasto szukać znajomych i szerzyć ducha wytrwałości; wielu napotkałem przyjaciół którzy mnie unikali, częścią ze wstydu, częścią z zazdrości dla gwardyi Napoleona, sądząc że my winniśmy byli faworowi, a nie własnemu staraniu, żeśmy mniéj cierpieli niedostatku od tych co się zaniedbali...

Gdy tak rozpatruję w tłumach snujących się po ulicach, wezwany zostaję do oficera płatnika, który nalega na mnie, żebym podnosił wszystkie moje zaległości, i chce mi je wypłacać w talarach holenderskich Albertusami zwanych... ja pytam się: dla czego tak nagli?... on odpowiada, że Wilno będziemy ewakuować... bolesne z mojéj strony zadziwienie! ledwie się uprosiłem żeby mi nie dawał srebrem ciężaru, by mi konia odpsuł— jak tylko ztamtąd wróciłem, trąbią u nas na koń, składam mundur świeży, przywdziewam marszowy, z kożuchem i płaszczem, i staję na zbiorowisku... dowiaduję się

że król Murat chce ruszać i nas z sobą bierze... tak więc i tu w Wilnie, ostatnie nasze nadzieje spełzły, i musieliśmy wędrować za Niemen, a może i daléj! nie mogłem tego pojmować, ale bo któż mógł wtenczas przewidzieć, odstępstwo Prusaków i inne obroty, wojsk od nas oddzielonych! owo zgoła: zadziwieni, zmartwieni, musieliśmy pod wieczór na całą noc opuszczać to Wilno, do któregośmy z daleka tyle nadziei przywiązywali. Pomijam trudności jakich doznały: armaty, bagaże, skarb Napoleona i t. p. pod ponarskimi pagórkami; słyszałem jakoby jener. Krasiński i część pułku naszego, brała była chwalebny udział w ratowaniu części skarbu... ale że ja się na to niepatrzyłem, i zawsze jako komendant 1éj kompanii prosto niezatrzymując się naprzód marszerowałem, więc nic o górach ponarskich nie wzmiankuję: jak tylko, że ja z moim oddziałem przebyłem je tak łatwo jak każdą inną przeprawę, co i daléj aż do okolic Kowna nie było inaczéj... wszakże będąc już w pobliżu Kowna, zameldowałem się szefowi Jerzmanowskiemu: że mam klacz na 3 nogi rozkutą od owéj eskorty Cesarza ze Smorgoni, i że proszę o pozwolenie jechania do Kowna naprzód, żeby tam klacz moją okuć; nieodmówił mi tego Jerzmanowski, a ja wziąłem z sobą trębacza dobrze w Kownie zaznajomionego właśnie z kowalem; jakoż u tego wychowańca Tubalkaina, nie tylkom klacz doskonale na 4 nogi okuł, ale dostąpiłem: rosołu, pożywienia zdrowego i gościnnego noclegu, atoli nie bez nacisku różnego stopnia wojskowych, których mój trębacz odganiał z rzadkim przemysłem. Taki był mój nocleg na ustroniu od pułku, ale ranek nazajutrz był okropny. Zerwawszy się przededniem z kowalskiego łoża, nie mogłem wyjechać konno na rynek, bo cały był zasłany żołnierzami; gdy zsiadłem z konia i rozpatrzyłem się, poznałem że to byli ludzie częścią już zmarźli częścią upojeni rumem; nędznicy byli rozbili magazyn

rumu, z wielkim kosztem przez Napoleona sprowadzony.... Kowno nie mogło być bronione tylko w razie gdyby król Joachim był się zatrzymał na linii Niemna, lecz ponieważ ta rzeka była zamarzła, więc i ta ostatnia nadzieja nasza zawiodła! musiano więc porzucić, albo rozerwać te zapasy, które w znacznéj ilości i z wielkiem staraniem były nagromadzone; uchwalono zatem że ztąd, korpusy wojsk, w różne miejsca wezmą kierunek, Polacy do Warszawy a gwardye ku Królewcowi.— Następującego wieczora nasz pułk przeszedł Niemen, nocowaliśmy już w Księstwie Warszawskiem. Ja który byłem przebył tę rzekę w 4 konie, wracałem w pięć.... czemuż wszystka jazda nie odbyła téj wojny w takiéj proporcyi! ale mnię czekało na granicy nieprzyjemne zdarzenie: w pierwszéj nocy na prawym brzegu Niemna, oberznięto mi mantelzak z owym mundurem którym byłem się przed kilku dniami świecił po Wilnie, szkoda ta nie była mi wyrządzona przez Kozaków którzy nas unikali, — może nawet przez ziomka....

Ostatki komendy króla Neapolitańskiego zebrały się d. 15go grudnia w Wierzbołowie. P. Thiers pisze o tem: „à dater de ce moment il n'y avait plus un seul corps d'armée. — Tom XIV. str. 668. et la retraite s'acheva par petites bandes, fuyant à travers les plaines glacées de la Pologne devant les dernières courses des Cosaques".

Od téj chwili nie było już żadnego korpusu armii, i rejterada odbyła się małemi kupkami, uciekając przez lodowate równiny Polski, przed ostatniemi zapędami Kozaków.

Inaczéj się wyraża jen. Gourgaud str. 281.: „Troupes qui ont repassé le Niemen à Kowno, à l'epoque du 15 Decembre.... 36,000 hommes, corps Polonais aux ordres du Prince Poniatowski 20,000 [1]). Quantau corps de la

[1]) Le Prince Poniatowski est arrivé á Varsovie le 25 Décembre ramenant 30 pièces de canon avec son corps d'armée, Manuscrit de 1813 par le Baron Fain. Tom 1. pag. 30.

Książe Poniatowski stanął w Warszawie d. 25go grudnia, przy-

Grade, à l'époque de la réunion (le 15 Decembre) à Wirballen ou elle sejourna le 16, elle êtait nombreuse de trente mille hommes. Dans la cavalerie, le Regmt de chevaux légers Polonais comptait seul un effectif de 412 hommes, et plus de 200 chevaux, tous trés bons et de service... un grand nombre des hommes du Regmnt ayant perdu leurs chevaux, s'etaient dirigés pendant la retraite, à travers les bois de Lithuanie sur Varsovie, ou ils arriverent protégés autant par les habitans que par la connaissance de la langue du pays".

„Wojska jakie wróciły z za Niemna z pod Kowna z dniem 15 grudnia... 36,000 ludzi, korpus polski pod dowództwem księcia Poniatowskiego 20,000. Co się tyczy gwardyi, w czasie połączenia jéj d. 15go grudnia w Wierzbołowie, gdzie wypoczęła przez dzień szesnasty, była jeszcze liczną zwłaszcza w ludzi — w jeździe sam pułk Lekkokonny Polski, liczył obecnych 412 ludzi i więcéj jak 200 koni, wszystko w dobrym stanie i zdolne do służby — wielka część tego pułku straciwszy konie, udała się przez lasy Litewskie ku Warszawie, gdzie stanęli tak pod opieką ludności, jako i mowy ojczystéj".

Nie odrzeczy będzie porównać z temi dwoma autorami francuzkiemi; angielskiego Wilsona który mówi, w tableau de la puissance Russe: „ily avait à cette époque dans l'armée d'Alexandre, plusieurs compagnies sans un seul homme, et un grand nombre de bataillons qui n'en avaient pas cinquante".

Angielczyk Wilson mówi, w obrazie o potędze Rosyi: były w owym czasie w armii Alexandra kompanie bez jednego człowieka, a wielka ilość batalionów, co nie miały 50 ludzi.

I niemieckiego autora, ogłaszającego w Wejmar: że Moskalów nie doszło do Prus tylko 20,000 a że w Kaliszu nie zebrało ich się jeszcze tylko 30,000.

---

prowadząc z sobą i z korpusem swoim armat 30. Rękopis o roku 1813 przez Barona Fain tom 1. str. 30.

Niech że więc potomkowie owych rodaków co odbyli wyprawę do Moskwy, czerpią tę pociechę: że gdyby wszystkie wojska Napoleona były się tak w karności i porządku utrzymały, jak my Polacy.... mógł był zatrzymać pod Smoleńskiem, a gdyby był chciał, i pod Dorogobużem, cały nawał wojsk rosyjskich, które nie wiele straszniejsze były dla nas (prócz licznéj artyleryi) jak dla Czarnieckich, Lubomirskich i Potockich pod Połonką i Cudnowem.— Ale i tu względem naszego pułku pp. Thiers i Gourgaud, oba się mylą — pierwszy nieobecny, swym zwyczajem ignoruje, żeby nawet był jaki szczątek *gwardyi polskiéj* Lancyerów polskich gwardyi.... zaś jen. Guorgaud myli się oczywiście, kiedy nam pod Wierzbołowem przypisuje tylko 200 koni... wszak nie daleko Wilna nadszedł nam 5ty szwadron Seweryna Fredra... więc 250 koni, możemy zatem śmiało twierdzić że nas było jeszcze przeszło 400 koni, to jest konnych.

Jakoż kiedy, więcéj z moralnego zmartwienia, jak z fizycznych cierpień, zasłabłem w Prusiech koło Gumbina, przyszedł do mnie na kwaterę, szef ukochany Jerzmanowski pytając mnię: czy będę mógł należeć do Tylnéj straży (aryergardy) armii, którą on obejmuje? odrzekłem ze z żalem wątpię, bo się czuję mocno słabym; jakoż moi mastalerze, nabywszy gdzieś małe sanki, z moich 5 koni, zaprzęgli dwa do nich, i Bartłomiéj mój, Warszawianin, podjął się być woźnicą; zaś mój Jędrzéj Iwończanin, wiódł 3 konie lepsze wierzchowe; z téj szlichtady improwizowanéj, to się stało, żem przyjechał na kwaterę do Amtu pod Insterburgiem, kilka razy do śniegu wywrócony i w wysokim stopniu przeziębiony — wchodzę do dużego pokoju zaludnionego przez Damy i ichmościów, ma się rozumieć Prusaków; widząc zgromadzenie wykształcone, chcę do niego coś przemówić.... a ja niemy! usiłuję się odezwać.... niepodobna.... ja się trwożę... Zgromadzenie się trwoży...

Damy pytają czy nie chcę czego rozgrzewającego.... Kawy? odpowiadam skinieniem, że proszę... siadam... istotnie pokrzepiwszy się czyli rozgrzawszy trochę czarną kawą, odzyskałem głos... można sobie wystawić moję radość... ale całą gościnność gospodarstwa skierowałem do tego, żeby mi jaknajprędzéj dano osobny pokój i łóżko w którebym się mógł położyć... Wieczorem gospodarz, przybył do mnie i mówił: „jak widzę pan jesteś „dużo słaby, niech pan zostanie w moim domu, będę „miał o nim największe staranie, pan nie możesz narazić „się na marsz dalszy bez wyraźnego niebezpieczeństwa“. Podziękowałem z czułością, bom widział człowieka światłego i nieobłudnego... ale odrzekłem: że pomimo jego najszlachetniejszych chęci, musiałbym z czasem stać się jeńcem wojennym.... że więc nie przyjmuję jego gościnnéj ofiary i spuszczam się na łaskę Opatrzności — wkrótce potem nawiedził mnie Wincenty Dobiecki, jadący za kwaterami; prosiłem go tylko, żeby zawiadomił doktora Girardota o moim stanie i że pragnę spotkać się z nim. — Następnie zapadłem w taką niemoc, że ani wątpiłem o nadejściu chwili śmierci; byłem gotów i zrezygnowany, nie pierwszy raz i nie ostatni [1]).

Nazajutrz, o koniach chłopskich, dostałem się do Wielawy, tu złączył się ze mną Dr Girardot i na saniach jechał ciągle już ze mną; nieodzyskałem przytomności aż w Elblągu — ztąd już na bryczkach odwiózł mnie Girardot aż do Bydgoszczy, gdzie z j. Krasińskim razem, chorowałem i do konwalescencyi przychodziłem, w kwaterze komendanta placu pułkownika Bardzkiego..... z Bydgoszczy, urlopem od Marsz. Bessières opatrzony, udałem się do Warszawy ztamtąd przez Kraków do Gali-

---

[1]) **Trzy kroć, cztery kroć błogi zgon tych polskich synów, co polegli na polach ojczystych wawrzynów, co nieschylonych karków nie dali w poddaństwo.....**

cyi, gdzie zaopatrzywszy się w świeże konie, udałem się przed wiosną nad Ren, ale to już należy do r. 1813.

Tym czasem kolega mój Wincenty Mikułowski, według swoich notat mnie udzielonych, złączył się z aryergardą Jerzmanowskiego pod Friedberg czyli pod Friedland, co jest prawie jedno — i potwierdził mi szczegóły téj pamiętnéj tylnéj straży, która od tych miejsc trwała nieprzerwanie aż do Elby. Pułkownik Jerzmanowski wiedząc jako weteran, że żaden żołnierz a tem samem kawalerzysta, nie może służby swéj pełnić a zatem i walczyć, tylko tyle, ile jego komendanci dostarczają mu sposobności utrzymania sił fizycznych, a zapatrując się na klęski armii francuzkiéj z przyczyny zaniedbania przez starszych, staranności o los podkomendnych: postanowił, nocowywać we wsiach porządnych, wśród ilości nieprzyjaciela to jest kozaczyzny lub innéj jazdy... zatarosował przystępy do wsi, i opatrywał je strażą z karabinkami, a zwracał wszelkie staranie, żeby konie przedewszystkiem miały strawę, a ludzie posiłek i wypoczynek — po takim noclegu z rana, sformowawszy oddział swój na koniu, wypadał ze wsi natarczywie na straż nieprzyjacielską, i przebiwszy się przez nią, cofał się za piechotą armii swojéj, flankierując, i ucierając się z jazdą przeciwną; gorliwość Jerzmanowskiego dochodziła do tego stopnia, że jeżeli się zdarzyło, iż w tych codziennych utarczkach tylnéj straży, szwoleżer, jaki przedmiot mundurowy utracił, np. że mu czapka spadła, formowano szwadron i robiono szarżę dla odzyskania straconego przedmiotu, żeby się nieprzyjaciel tym jakoby trofeem poszczycić nie mógł — ten sposób jędrnéj rejterady, taki miał skutek, że Kozacy przestali dokuczać mężnym, od których zawsze bywali gromieni, i przednia straż rosyjska, postępowała za naszą tylną strażą, w rodzaju porozumienia, żeby się nawzajem bezowocnie nie niszczyć; tak więc

nasz pułk zakrywał ostateczną kolumnę armii francuzkiéj aż do Elby, i kiedy Napoleon przybył z Francyi; książe Eugeniusz, który od 16go stycznia 1813 r. objął był komendę, przedstawił mu pułkownika Jerzmanowskiego, jako oficera nadzwyczajnego odznaczenia, któremu winien jest wiele, a szczególnie zachowanie honoru armii.

Pisałem w miesiącu lutym 1860 w Krakowie.

Józef Załuski.

Sprostowanie:

Na stronicy 284 przy końcu wiersza 2go czytaj: Zdanie sprawy urzędowe, nie wspomina dość słusznie, o udziale wojska polskiego w téj bitwie, ani zwraca uwagi na szczupłość tak zwanego: 5go korpusu księcia Poniatowskiego.

PAN SAWA.[1]

I.

Złote słoneczko za świat się chyli,
Za świat, za wody, za szarą ziemię...
Spać biegnie sobie; niech z Bogiem drzémie,
Dość się nabiega przez dzionek tyli.—
Z falą Nidzicy, po mgławéj błoni,
Szkalmierskich dziewcząt piosenka dzwoni,
Jak jéj nie dzwonić? gdy po dolinie,
Tak jéj potocznie, jak po gościńcu;
Kiedy dolina tak ładnie płynie
Z wierzb uplecionym w zielonym wieńcu
Tam w dal ku Nidy, Wisły nizinie,
I w mgłach dalekich wraz z piosnką ginie.

---

[1]) **Z pozostałych rękopismów brata mego, Stanisława Chrzanowskiego, zmarłego 13 września 1849 r wyjąłem i podałem do druku ten mały poemat.**

Leon Chrzanowski.

A stał nad wodą dwór jakiś biały,
Topole w okół dworu szumiały
Srebrzystem liściem ku płowéj wodzie —
Dzwony Szkalmierza w wieczornym chłodzie
Szeroko, dźwięcznie grały po niebie...
Pod topolami, w ciemnym ogrodzie
Bułany konik murawę grzebie.

Lecz nie sam grzebał, bo przed bułankiem
Trójka kozaków z bachmaty stoi,
Bo nad bułankiem, z wiatrem kochankiem
Strzępaty buńczuk firleje stroi...
W okół czeladzi kłębek gawroni,
A dzielność wieje z ludzi i z koni —
O! nie na kulig ztąd ktoś pogoni.

W białym dworze w świetlicy powszedniéj
Smutno, ciemno... Na śmiertelnem łożu
Jęczy starzec biedny... o! nie biedny!...
Człek jak okręt, po żywota morzu
Krąży tylko... dom jego — niebiosa...
Człowiek, to duch... jak niebiańska rosa
Spływa na świat i w życie się wciela —
Rośnie — aż obrazem Stworzyciela
Wzlata w niebo. Skon, to kwiat żywota!
Zorza dni nowych!... choć groźny, straszliwy;
O! bo i Bóg jest groźny w swéj wielkości,
A jak Bóg wielkie są zagrobne niwy,
Krainy nieśmiertelności.
Z grozą więc idziem w ich ciemne wrota..
Zresztą, toć i na tym ziemskim świecie,
Wśród cierni, rosną róże przecie,
I dziwnie to ochmurza żałobą,
Tylu swoich zostawić za sobą,

Co to z niemi przeżyło się mile
I nie jedną, nie dwie piękne chwile!...
Więc i starzec jęczał...

Obok łoża,
Jak lilijka, dziewczątko klęczało,
Śliczne jak na wiosnę wschodnia zorza;
W łzę perlistą wbiło duszę całą
I płakało, tak rzewnie płakało!...
Nad dziewczęciem stanęli dwaj męże;
Obaj dzwonią w staliste oręże:
A był jeden z nich hoży młodzieniec,
I kwitł jako gór tatrzańskich wieniec
Nad podgórskie zielone krainy.
Burka z ramion biegła czarnem kołem,
Oko grało ducha orlim lotem,
Nad wyniosłem, ukraińskiem czołem
Kołpak kwitnął szkarłatem i złotem.
I był drugi mąż chmurnego lica,
Krwawéj duszy — istno błyskawica
Kiedy wyjrzy z sinéj chmur kotliny,
Tyle gromu ryże oko ciska;
Jego miano?... I cóż wam z nazwiska
Matkobójcy — lepiéj niech zaginie
W przeszłych wieków zamglonéj głębinie...
I było głucho, jak na mogile
Minionych czasów, jako na chwilę
Zanim uragan ma huknąć w chmurze...
Cichość złowroga, wróżąca burze
Co światem trzęsą.

Aż zagrzmiał z końca
Butny kasztelan:

„Tak mój mospanie,
Niech to w pamięci Waści zostanie...
Jak mi do dzionka potrzeba słońca,

Sądu bożego w godzinie lichéj,
Kordu do dłoni, do życia pychy, —
Tak jeśli zaraz — dziś — tego ranka
Waść mnie, mospanie, nie dacie dziewki...
Znan Waści Adam... Ho! nie przelewki
Z nim pogadanka, z nim pochulanka!.
Nie wiatr przelotny jemu kochanka,
Co dziś powieje, i dziś jak pianka
Zgaśnie... Waść dobrze wiesz co ja znaczę
W konfederacyi [1])... Ha! i Puławski,
I stu Puławskich bez mojéj łaski,
I wszystkie wasze szable kozacze —
Bez twéj urazy Jespanie Sawo —
Generalności [2]) sto bez méj dłoni,
Swoimi krzyki tyle was zbroni,
Co świat od deszczu wróble swą wrzawą...
Ja chcę — Bóg widzi"...

„„Zlituj się panie,
Sawie jam dziewkę ślubował z dawna —
Nobile verbum...""

„Ha — ha — ha! sławna
Ta konwersya!... Zbyt, zbyt Mospanie!
Łaskawy jesteś na cześć magnata!
Prosząc go w nowe harce trojańskie
Z panem kozakiem z krańczyny świata!...
Ha — ha!... pal diable... chamskie czy pańskie
Wszak serce jedno... równo honoru
Dać córę panu — lub słudze dworu!..."

---

[1]) Konfederacya Barska.
[2]) Generalność — najwyższa władza konfederacyi barskiej.

„„Ja sługa waścin? héj! panie Lachu!!!““
I szabla dźwiękła — w magnata lice
Kozaczych źrenic dwie błyskawice,
Niby dwa noże, wpadły jaskrawo.
Magnat pobladnął z pychy, czy z strachu;
Starzec zajęczał...
„Sawo mój, Sawo!“
Szepnęło dziewczę, rączki złożyło,
Przez mglaną łezkę pojrzało mile,
A oko Sawy, co pierwéj chwilę,
Piorunnym ogniem dziko świeciło,
Patrzy miłośnie z smętnego czoła
Na dziewczę, życia swego anioła.
I było chwilkę w komnacie głucho.
„O! bez urazy mój Atamanie“.
Aż zawiódł magnat szyderczo, sucho —
„Ja nie do aści piłem, mospanie.
Jeśli nie wierzysz, świadczę się Bogiem;
Jam ot tak gadał, że mi nałogiem
Gadać... I gadam po raz ostatni;
Choć niebu jawno ile mi drogim
Afekt jespanów konfederacyi, bratni,
Lecz ja inaczéj, o nie! nie mogę!...
Dasz waść, czy nie dasz dziewki?... i kwita —
O respons proszę, bo komu w drogę
Temu czas, panie!“
„„Rzeczpospolita
Więc Waści cackiem, a chuci Bogiem!...““
„Bogiem, nie Bogiem — a Waści djabli
Do mojéj cnoty, do mojéj szabli?
Waść słuchaj tylko, i zważ poczciwie:
Chcesz Waść dla Polski Ciołka, [1]) Rusinów,

---

[1]) Stanisława Poniatowskiego herbu Ciołek.

Czy też zwycięztwa konfederacyi synów?
Dasz dziewkę? — jak Bóg na niebie żywie,
Za wamim. Nie dasz? — konaj szczęśliwie,
Ale konając sobie i braci
Requiem śpiewaj. Niechaj zatraci
Bóg moją duszę, lecz com rzekł, zrobię;
Pójdę do Ciołka, pójdę do wroga."
„„Czyś waść oszalał?... potomność sroga...""
„Niechaj potomność wrzeszczy tam sobie
Co tylko pragnie, na moim grobie...
Furda mnie wrzaski!... Jakem Maryae
Sodalis, w łeb wezmą wasze konfederacye.
Drewicz ztąd blisko — a gotów w służby —
Zaproszę w tany, zaproszę w drużby,
Zaproszę w drużby z ogniem i mieczem —
W proch was rozdymim —zgromim— wysieczem!".
„„Przez Pana Boga!...""
„Co mi tam z Bogiem!
Czy ona z Bogiem, czyli bez Boga,
Musi być moją... Przed grobu progiem
Zważ więc waść pilnie — niech jak pochodnia,
Polska mym godom nie świeci różą:
Dasz waść, czy niedasz?... Nie gadam dużo...
Prawem czy lewem, na Waści grobie
Małżeńskie łoże uścielę sobie.
A na twą głowę spadnie ma zbrodnia!
Lecz będzie moją — lub będzie djablą...
Dasz Waść, czy nie dasz?..."
I dobił szablą,
W starcu utopił swe oko krwawe.
Sawa miecz chwycił... już — już uderzy...
Wtem go wstrzymało znów dziewcze łzawe.
Starzec gwałtownie porwał się z łoża,
Jakby go ręka dźwignęła Boża;

Suchą dłoń podniósł — groźnie, straszliwie
W zgasłem się oku piorun zapalił.
„„Ha! zdrajco... zbójco!. .““ krzyknął chrapliwie,
W jęku głos skonał — i wznak się zwalił,
Jak głazu okruch — i jak głaz leży,
Patrzy i kona... Źrenica tylko
Tak mu jaskrawo, szklanno świeciła,
Jak na smentarzu pogrzebne świece,
Jak gdyby w niebo wstąpił przed chwilką,
A tu go boska strzała strąciła. —
I dziewcze milczy... tylko mgłą siną
Nibyś jéj blade przyrzucił lice.
Młodzian nie milczał. On na jedyną
Pojrzał raz jeden — raz — oka mgnienie,
Anoć tak pełne w światła i w cienie
Było to błyskawiczne pojrzenie —
Jak kiedy biegniesz, a tu cię nagle
W otchłań bezdenną zbójca potrąci,
I nadziej wszystkich porwą się żagle,
W oku zwiruje, w głowie się zmąci,
I w świat ostatnie ślesz pożegnanie,
W świat taki piękny!...

„O! srogoś panie
Zniszczył mi szczęście... mnie taki luby
Żywot już świtał... Jam przecie ciebie
Nie nienawidził, nie pragnął zguby...
Jam ją miłował!... Ha! niech się stanie...
Ojczyzno, tobie!... panno, tam w niebie,
Znów się zejdziemy... Maryo, na drogę,
Uścisk ostatni... O! nie, nie mogę...
Boże! zmiłuj się... O! bądź mi zdrowa...
W niebie!...“
I uciął — jak życia strona
Zrywa się w piersi, kiedy kto skona —

Tylko zmiął dłonie, tylko nim świeci
Takie coś straszne z życia głębiny. —
Skoczył.
„Jedyny, oh! stój jedyny!...“
Krzyknęło dziewczę. Niech tam Bóg broni
Komu krzyk taki z piersi wyleci..
O! darmo woła — nawet w sto koni
Nie schwyta, kogo rozpacz pogoni.
Dziewczę jak drewno u progu padło,
Nawet nie westchło, nawet nie jękło,
Tylko jak biała lilia zbladło.
Boże! czy serce nieszczęsnéj pękło?...
Magnat się zaśmiał dziko, radośnie —
Szklanne okienko tententem brzękło,
Niby podzwonno, niby żałośnie...
A oko starca, jak lampy oko,
Gdy żródło życia aż do dna spije,
Już, już umiera... i jeszcze żyje,
Jeszcze raz błyśnie światłem szeroko,
Tak i on spojrzał — a w tem spojrzeniu
Dusza z swym całym bólem wyjrzała,
W niewysłowionem, straszném cierpieniu
Biedną sierotę wzrokiem żegnała
I kraj kochany... I krzyżem świętym
Starzec w świat rzucił za tym tententem,
I westchnął ciężko — on córkę pewnie
Bogu poleca, i prosi rzewnie.
I dłoń owisła — spadły powieki...
On już nie cierpi — usnął na wieki. —

II.

Smutno to duszy: kiedy świat jéj stanie
Wielką pustynią, przepaścią bez końca,
Gdy się wypalą wszystkie nadziéj słońca,
Duszę otoczą zwątpienia otchłanie, —
Gdy ziemską czarę spełnisz aże do dna,
I czas za tobą podwoje żywota
Zatrzaśnie, niby śmierć grobowe wrota
Za trupem; a myśl taka już swobodna,
Jak w zgniłéj czaszce, boskości siedlisku,
Ostatni robak, ruiny despota,
Ostatnia iskra w wytlałem ognisku,
Szczęście w ostatniem miłości uścisku!...
Lecz kiedy w wiosny rubinowym świcie,
Zaledwo ci zabłyśnie niby rajskie widmo,
W pośród jasnych zórz szczęścia, twoje przyszłe życie;
Zaledwie śnieżny żagiel twojéj łodzi wydmą
Pierwsze ranne wietrzyki ku skocznéj żegludze
Po czystéj zwierciadlanéj przyszłych dzionków strudze,—
A tu szatan przejrzyste źródło życia zmąci,
I na wieki, na wieki zdepta złote kwiecie,
Z młodzieńczéj piersi wszystek raj wytrąci...
O! smutniéj wtedy młodéj duszy przecie! —

Biedny młodzieniec, rzucił się w wir życia,
A marzył lekko, że świata fale
Przecież wywieją z piersi te żale;
Że w warze bitew, w zwycięztwa szale
Otrząśnie z duszy te smutku powicia.
A jednak długo, długo tłukł się po téj ziemi,
Przecież one z nim wiecznie, i on wiecznie z niemi!
Krom nich, nie dlań świat cały...
Ale ojców ziemia

Śmieje się za to kwieciem; okrzyki swobody
Lecą pod niebo... Czyż niedość nadgrody
Za owe z życiem zrośnięte cierpienie? —
I młodzianowi blask ozłocił lica,
Pojrzał nad gwiazdy, potem w obraz świętéj
Maryi, w anielskich chórach w niebowziętéj,
Co go z nim z domu matka jedyna
W świat wyprawiła jednego syna,
W świat wyprawiła, na Zaporoże,
By między wiarą dzielnymi czyny
Rósł na hetmana wszech Ukrainy,
A kiedyś wiarę wiódł w imie Boże,
Gdy matka Polska, w obyczaj stary,
Zawezwie gromić Moskwę, Tatary.
I już spokojny... tylko mu oko
Dziwnym się jakiemś ogniem wyszkliło,
Rzekłbyś, że pod niem słońce wschodziło;
A to kwiat ducha nad ziemskie kwiaty
Wykwitł tak jasno, cudnie, wysoko!...
I młodzian pogrzmiał w szerokie światy...
Za nim mołodźców dzielne drużyny,
Sire sokoły niw Ukrainy,
Co z za porochów płowéj topieli
Na poratunek Matce zlecieli,
Gdy w Barze po swéj staréj zacności,
Jęła się gromić najezdnych gości.
A jak tam długo z panem Puławskim,
Szybkością gromu, sokolim lotem,
Wczoraj Krakowu, dziś Bugu toniom,
Jutro złocistym podolskim błoniom
Świecili jasno swych szabel blaskiem,
Śpiewali huczno janczarek grzmotem...
Jakie tam cuda, jakie tam dziwy,
W téj pieśni grały, w tych czynach grzmiały?
Popytaj bracie przeszłości siwéj

I barskich dziejów i staréj chwały,
I staréj Polski, co śpi już w grobie,
A z kości wrogów grób wzniosła sobie...
Popytaj bracie... Lechicka sława
Wyśpiewa tobie kto był pan Sawa!...

III.

Szkalbimierz miasteczko czapkami czerwieni,
A ludu jak nabił, a szlachta swawoli;
W szkalmierskim kościele od światła się mieni,
Jak ma się nie mienić, kiedy się to żeni
Kasztelan Leliwczyk z panienką z Topoli.

A pan to kasztelan nie z plewy, nie z pianki,
Pan z rodu i z pychy i z imion i z duszy,
A stąpa jak basza wedle swéj kochanki;
O! świetnym tryumfem zdobył u niéj wianki,
Ma z czego być dumnym, niechaj dmie, niech puszy!...

A ona w tym wirze, jak chmurka bladawa
Na niebie wyszklonem promieńmi złotymi;
W około wre, szumi hulanka jaskrawa,
Ta smutna, lecz stąpa krokami pewnymi.
To dziwno!... któż duszę odgadnie na ziemi?
O! był co odgadnął! pod boczną kaplicą
Stał młodzian, czy żywy? czy posąg młodziana?
Stał w stroju kozackim, ze szklanną źrenicą,
Ależ pod szkłem zimnem to ognie tam świecą,
Jak w głębi krateru ścichłego wulkana.

Czy trup to? o! nie trup!... właśnie sługa Pański,
Zaczynał najpierwsze przysięgi zaklęcie,
Przysięgi tak strasznéj i wraz tak niebiańskiéj,
Co to raj roztrąca, raj marzeń, ułudy,
I drugi znów budzi, jak święto po święcie —
Przysięgi małżeńskiéj. Pan rączkę zuzuli
Przytulił do serca i tuli i tuli
Gdy z pośród radości coś jękło tak łzawo,
Tak krótko, nie głośno, mdlejąco, boleśnie,
Jak czasem dziecinie pojęknie się we śnie,
Gdy przyśni aniołek przyszłe biedne życie;
To on z pod kaplicy.

Cichego westchnienia
Człek żywy nie słyszał. Ha! słyszał pan młody;
Usłyszał i zadrgnął, jak gdyby do wody
Krynicznéj wpadł nagle; o dziwne to drżenia!...
Czy jaka wspominka? wspominka — rzecz głupia!
I jemużby struła niebiosów zaczątek?
Czy taka to straszna na balu twarz trupia?
Toć widział już trupów niejeden dziesiątek!...
Dziś przecież pobladnął i wąsa pojeżył,
A z oczów strzeliły jak dwie błyskawice,
A w piersi jak gdyby mu piorun uderzył,
I jakby bez myśli pobrzęknął w szablicę.
O! dziewcze słyszało — i niby zasłona
Z mgły siwéj upadła na śnieżne jéj lice,
Pierś wzdęła się falą... Ach! mdleje czy kona?...
A właśnie ksiądz zaczął: „Masz wolę Maryo
Wziąść tego za męża?“

„O! nie, nie!“ zabrzękło
Z siniałych usteczek, jak gdyby co pękło
Tam w piersi.

„On gwałtem... o! Matko... Maryo!
Oh! ludzie ratujcie!... Panie, jeśliś bożym
Kapłanem... ah! obroń sierotę... lub nożem
Dobij... ja niemogę!...“

I biedna wybladła,
Zamknęła oczęta — pojękła raz mgławo —
I u nóg kapłana na stopnie upadła,
A mury spleśniałe zatrzęsły się wrzawą;
Kasztelan zzieleniał ze sromu czy z złości,
Zębami zazgrzytnął, i echo przekleństwa
Skoczyło z nad wrzawy — niby z stosu kości
Plugawa ropucha. Aż cisza znów głucha
Usiadła nad ludem.

„Więc nie ma małżeństwa“.
Wtem zagrzmiał głos gromki: „A biada kto zmąci
Wyroki przedwieczne!...“

„„Ha! biada!... pal diable!...
Zrobiłaś, coś rzekła... Lecz biada i tobie!““
Wyzgrzytnął Kasztelan. „„Niech w piekło mię strąci
Bóg czy tam Lucyper... ale i ja zrobię
Com wyrzekł... O! zrobię!...““

I ścisnął szablicę —
I skoczył — i skinął na swego marszałka —
Coś szepnął — coś wskazał — znak krótki, jak pchnięcie,
Dał pięścią i spojrzał piekielno, przeklęcie,
Ten znak i spojrzenie były oracyą
Wymowną dla sługi, i wskazał na śmiałka
Co stał pod kaplicą jak posąg ze stali,
Kasztelan zaś krzyknął: „Requiem tibi konfederacyo!“
W tem szlachta runęła... i niewiem już dalej.

IV.

Wśród gajów złocistych pszenicy, żyta,
Po łanie szkalmierskim dróżyna bieży
W zielone rąbki przykóp uwita;
A krzyż nad drogą ramiona szerzy.
Na krzyżu bocian usiadł, i siedzi,
A dzióbem klechce, głową się biedzi,
Może domawia starych pacierzy.
Ależ pod krzyżem traweczek puchy
Krwawo czerwone — oh! nie od kwieci,
I nie igraszką skopane dzieci!
Przed chwilą łan ów, nie był tak głuchy...
„Ej stary gaduło bystrego oka,
Toć twoja głowa jarkiéj pamięci,
Możeś ty lecąc, gdzie z pod obłoka
Dojrzał, usłyszał, co się tu święci?
Ej! powiedz, wykłap: co się tu działo?...“
„„Ani mię wtedy skrzydło naszało,
Anim wirował wśród chmurnéj toni;
Jam, było, chodzę sobie po błoni,
A tam od miasta pędzi młodzieniec...
Pędził jak piorun, a był wpół blady,
Wpół dziwnie jasnym roziskrzon blaskiem;
Burka mu w locie płynęła kołem,
Szabla w strzemiona dzwoniła z trzaskiem,
Rumak i wicher pędzili społem.....
Jam nad młodzieńcem zatoczył w wieniec
I z wiatrem za nim pognałem w ślady,
Bom go polubił jakoś niechcący;
A dzień był, pomnę, letni, gorący.
Więc tak lecielim, a z chyża, z chyża,
Aż do téj niwy, do tego krzyża.

On skoczył z konia, a ja z obłoku;
On z żarem w piersi, z jasnością w oku
Ukląkł na trawie, w nieba krainy,
Skąd ja przyszedłem, oczami strzelił,
Czy się tam smucił, czy się weselił?
Bóg wie. Leciały chwile — godziny...
A my w milczeniu siedzielim sobie
Pławiąc myśl w dumkach, czy też w żałobie.
Wtem na niebiosach, jak dwa chmur cienie,
Ze dwóch stron naraz tumany wstały,
Z pyłu drożnego, czy ze mgły białéj;
A od tumanów jakby tentnienie
Szumiało z wiatrem brzękiem nielubym.
Jam, jak powszednio, czujny na straży,
Bił w czarne skrzydła, klechtałem dzióbem,
Jam chciał go zbudzić... próżne budzenie,
On śpi klęczący, czy nie śpi, marzy,
Jakto wy ludzie marzyć umiecie,
Jakto zwyczajnie na waszym świecie
Marzyć — a stawiać na wodzie pianki!....
A tamci suną jak szlakiem szklannym —
On śpi bezpiecznie jak u kochanki!
Więc jam podumał: bocian z bocianem,
Człowiek z człowiekiem nie wrogi przecie,
Tu jedno lice — tam jedno pióro;
Więc stałem cicho. Ci lecą tłumem,
A lecą szybko z szczękiem i szumem...
I jakby chmura sępów, jastrzębi,
Tak na młodzieńca nagle runęli,
Zasłoną mieczów całego skryli...
Ich coraz wyżéj — on coraz głębiéj...
Aż nagle szabla błysła... i w chwili
Za szablą głowa i kołpak krasny,
Nad tłumy wykwitł jak kwiatek jasny.

Szabla trzy razy, jak błyskawica,
Smignęła wkoło — i tłum popękał
W sto skorup... chwiał się... i niby lękał
Zrość w jedno ciało... tylko szablica
Stała nad tłumem, dymiąca, krwawa,
Jak piorun w chmurze — w kurzawy cieniu
Stała tak mgnienie... Aże po mgnieniu
Zgasła... i tylko widziałem potem
Jak koń z młodzianem pędził przez niwę,
Wiatry igrały z szkarłatem, z złotem...
Młodzian jak orzeł goni i goni,
Za nim jastrzębi stado pierzchliwe...
Aż zgaśli wszyscy w zielonéj błoni...""
I znów czerwonym zakłapał dzióbem:
Czyli zań stare pacierze pieje?
Czy jakie starsze wywodził dzieje?
Bóg wie. Noc szara całunem grubym
Skryła krzyż stary, drogę i niwy,
On kłapał jeszcze — aż i wnet wieńcem
Zatoczył z wiatrem gdzieś w obłok siwy —
Może pogonił w świat za młodzieńcem?...

V.

Grzmi czarny bór koni tysiąca tententem,
Z Mszczonowa błoń w niebo wionęła pieśń barska,
Jak gromów szlak, sznurem łyskliwym, zaklętym
Leci jak ptak rycerzy drużyna dziarska.....
Hej leci! — a taki to orszak pohoży,
Że oń się aż śmieje ten wszystek świat boży.

Hussarski znak chmurą przegonił po błoni,
Skrzydłem jak sęp płynie w powietrzu z wichrami,
A za nim w ślad szlachty dobornych sto koni,
Sunie jak prąd, a chwali Boga szablami.
A miny tak gęste, tak dzielne bachmaty,
Jak gdyby lecieli zwojować trzy światy.

Hej! któżto, któż sadzi na czele orszaku?
Jak orzeł skał z śnieżnéj gdy runie wierszyny —
Mołodźców stu tuż za nim... czoło w kołpaku,
Piorun mu z ócz, z lica gra dumek seciny.
To barski naczelnik, pan Marszałek Sawa
Z zakroczymską wiarą!... tak grzmi lacka sława!

Moskiewskich rót szyk zwarty, gęsty jak trzcina,
Z mszczonowskich błot wylazł, i groblą się zwija.
„Hej bracia hej!... przed nami Matka Marya!“
Zakrzyknął wódz — i wiara w szable już ścina...
A Matka cudowna, w gwiazdeczki uwita,
Po nad walczącymi z chorągwi wykwita!

Brzmi wrzawa trąb — zwarły się dzielne zastępy —
Janczarki grzmią, bitwa piorunem się pali.....
I w chwili wróg odbity, strącon na kępy
W odmęty błot, jak ćma szarańczy się wali....
Wtem puszki moskiewskie huknęły z zasłony —
O Jezus! Marya! Pan Sawa raniony!

Zraniony wódz!... ach! patrz, on kona czy mdleje?
I polski znak w wiatrów uścisku się chwieje!...
O! przejrzał znów... łza na źrenicy błysnęła,
„O Boże mój! więc nasza Matka zginęła!...
„Ach stójcie! hej za mną!“ Duch zstąpił na lica,
I w dzielnéj znów dłoni pobłysła szablica.

I skoczył w tłum — za nim w lot szlachta się wali—
Złamany wróg... Boże, lecz próżno do Ciebie
Tnąc, modlą się — w trojnasób rośnie Moskali...
I dzielny wódz okiem gdzieś hlanął po niebie,
Ku ziemi opadła szablica skrwawiona....
„Cofajmy się bracia — już bitwa skończona!“

VI.

Słonko biegnie do zapadu,
Złote chmurki grób mu ścielą;
Po krzewinach: gadu — gadu.....
Leśne ptaszki się weselą.

Oj! ptaszynko, bezbożniku
Ty tam śpiewasz z Bogiem sobie,
A pod drzewem na trawniku
Młoda dusza śni o grobie!

Z piersi płynie kraśna wstęga,
Jak z warkocza u dziewicy,
Oko rzuca do okręga
Światłem zgasłéj błyskawicy;

W ustach pali jak w posuszy;
Nad nim wieją wiatry chyże,
Przy nim klęczy druch od duszy,
I pies wierny nogi liże.....

„Toć to na mnie śmierć już wzgląda“ —
Zabrzęczało jak po strunie —
„Młoda dusza życia żąda,
Jak żeglowna łódka ląda,
A tu lodem stygną skronie!.....

„Oh! ty druchu mój jedyny
Wznieś mą głowę, niechaj oko
Bieży, leci w świat szeroko,
Niech leci do Ukrainy!

„Do méj lubéj, pięknéj strony,
Gdziem przechulał młode lata;
Gdzie me stepy, gdzie mój wrony,
Gdzie szeroko jak pół świata,
Gdzie pohożo jak w pół lata.“

I druch podniósł młodą głowę,
Oko biegnie lasem, błoniem,
Wichrem — orłem — orłem — koniem,
Jak po niebie chmury płowe.

I patrz, patrz! już przyleciało —
W ukochanym buja stepie.....
Lice blaskiem rozgorzało,
Jakby nowem życiem wiało,
Myśl sokolem skrzydłem trzepie!...

„Ukraino! mój ty świecie!
Jam tak z serca kochał ciebie;
Krasna Laszko, duszy kwiecie
Tyś mi była słońcem przecie,
Jam tak z Tobą bywał w niebie!...

„Przeleciały szczęsne chwile
Jak po niebie chmury płowe,
Za godzinę — jam w mogile...
O! miłości złote chwile,
Bądźcież zdrowe! bądźcie zdrowe!

„Ja umieram... niech mołojce
Grób wykopią szabelkami;
Na mogile, jako ojce,
Zatkną krzyżyk z skuweczkami
I posieją kwiateczkami.

„Oh! kwiatkami i dębiną;
Niech tak kwiatki grób mój stroją,
Jak Bóg życie mą *jedyną;*
Dęby niech grób z niebem spoją,
Jak łączyła z nieb krainą
Miłość kraju, duszę moją!“ —

„„Nie płacz, nie płacz druchu miły,
Grób wykopiem szabelkami,
Darń zielony u mogiły
Posiejemy kwiateczkami
I kaliną i dębami. —

„„Jak dąb szumny w niebo strzela,
Tak wystrzeli twoja sława;
Poucieka latek wiela,
Nasze groby skryje trawa,
Lecz żyć będzie wiecznie Sawa!

„„Przyjdzie luba na kurchanek,
Uszczknie kwiatek na kalinie,
Z kwiatka splecie krasny wianek,

Żałość z duszy, łza z ócz spłynie,
I poleci gdzie kochanek!

„„Orły bracia na twym grobie
Siadać będą co dzioneczek,
O twéj ziemi będą tobie,
Orle! śpiewać... wiatereczek
Wasze białe duszki obie
Nosić będzie do gwiazdeczek.““

„Bóg płać.... ach! jak cięży głowa...
Jezus Marya!... przebacz winę...
Dziewcze... niebo me jedyne!
Toć ja dla cię, za cię ginę...
Bądź mi zdrowa, bądź mi zdrowa!

„Oh! Ojczyzno... bywaj zdrowa...
Druchu!... słońce!... Boże... Boże!...“
I opadła młoda głowa,
Jako struna pękły słowa,
Lodem skrzepło lice hoże...

Słońce pędzi niby nawa,
Iskrzy srebrem, iskrzy złotem,
Duch pogonił orlim lotem,
Lecz została wiecznie sława.
Tak za kraj swój poległ Sawa!...

VII.

Na mogile kalina
Kwiateczkami szumieje,
Przy kalinie dziewczyna,
Jak perełki łzy leje.
Białe kwiatki u wody
We zdrojowéj kąpieli;
Lecz dziewczęcia jagody,
Bledsze od lilii bieli!...
Tęschno grucha gołąbka
Gdzieś daleko w krzewinie,
Ale tęschniéj z pod rąbka
Z westchnieniami łza płynie,
Biegnie chwila po chwili,
Ona płacze i płacze!
„O! zabili, zabili
Już go tu nie obaczę!
„Lecz obaczę tam w niebie
Me kochanie jedyne...
Boże, weź mnie do siebie,
Niedaj wrogom dziewczynę!..."
I znów biegły chwileczki,
Ona ciągle płakała;
Z boru między listeczki
Kukułeczka kukała.
O! kukała na goście,
To też patrzaj tam wdali,
Przez rzeczułkę po moście
Jakiś butny pan wali.

I przypędził i stanął,
I uwiązał konika;
Ku mogile wźrok hlanął,
Już się do niéj pomyka.
„No cóż? panno miła,
Czyś się namyśliła,
Czyś już porzuciła
Raz te harde hece
I fumy kobiece?
„Przyjęła stateczny
Mój afekt serdeczny,
Który u nóg składam,
Sługą się spowiadam
Pasye mityguję,
A co ostateczny
Respons obliguję.
„Za chama jednego
Dość już łezek ronisz,
Nie obudzisz jego
A urodę strwonisz.
„Jam generał carski,
Królewski kasztelan,
Na mnie wszystkie łaski,
Wszystek urząd przelan.
„Czyś się namyśliła...
Bo jak Bóg na niebie,
Musisz mi być miła!...“
„„Jam się namyśliła,
Pójdź, uścisnę ciebie!““
I gdy całowała
Zdrajcy harde lice,
Z pochew mu wyrwała
Stalistą szablicę.

„„Jam się namyśliła,
Że polskiéj dziewice,
Uczciwsza mogiła,
Niż z zdrajcą świetlice.
„„Chociеś silny z wroga,
Chociaż ty kasztelan,
Ale urząd Boga
Na ciebie nie przelan.
„„Daruj Boże!... jedyny!...
Sawo!"«... I ot za chwilę
Już trup jeno z dziewczyny
Na zielonéj mogile!...
A kasztelan poskoczył,
Lecz już tylko czerwony
Strumień krwi mu ubroczył
Mundurowe galony.
Na sukienek bieliźnie
Karminowy zdrój pała;
Ku niebiańskiéj ojczyźnie
Młoda dusza wzleciała!...
I znów w koło cichutko —
Tylko gołąbka mała,
Jakoś bardziéj tęschniutko
Po dąbrowie gruchała.
Tylko na kalinie
Listki poszumiały,
Jakby po dziewczynie
Drużce zapłakały.
Dzisiaj z nad mogiły
Szumią dęby stróże;
Stopy im owiły
Leśne głogi, róże...

Jak dąb w niebo leci,
Tak i stara sława
Wiecznie Polsce świeci,
Pan marszałek Sawa!
  Jak kwitną tam kwiecie,
  Tak i Polki chwała,
  Co nad wszystko w świecie
  Swą ziemię kochała!

STANISŁAW CHRZANOWSKI.

Z PIEŚNIOKSIĄGU DANTEGO.

SONET.

Tanto gentile e tanto onesta pare.

Tak wstydliwa, szlachetna, postać mojéj Pani
Że jeśli kogo spotka, i raczy powitać,
To język ci strętwieje i nieśmie się pytać,
I żadne oko nieśmie zatrzymać się na niéj.

A kiedy ją pochwalisz głośno przed innemi,
Odchodzi pod uroczym pokory płaszczykiem;
Myślałbyś że istota co zbiegła promykiem
Z niebios, aby cud żywy pokazać na ziemi.

A im patrzysz w nią dłużéj, coraz powabnieje,
Bo przez oczy do serca taką rozkosz leje
Że kto jéj niedoświadczy, ten pojąć niezdoła.

Z ustek jéj się wymyka i jasnego czoła
Duch przepojon miłością, jak słodyczą pszczoła
Który wciąż brzęczy w sercu: Wzdychaj bez nadzieje!

KANZONA.

Jo son venuto al punto della rota.

Stanąłem właśnie w tym punkcie obwodu,
Gdzie, jeżli słońce ma się do zachodu,
Na nieboskłonie rodzą się bliźnięta,
I gdzie miłości gwiazda zasłonięta
Ichże promieniem, co ją tak przyćmiéwa
Że już widzialną na siebie niebywa.
Ow zaś planeta, co mrozy sprowadza,
Całkiem na wielkim łuku się osadza,
Kędy z gwiazd siedmiu niepada nic cienia.,
A jednak żadne wspomnienia
Miłości mojéj niepierzchły z pamięci,
Co u mnie stokroć twardsza od kamienia
Nosi jéj obraz, jak odcisk pieczęci.
Oto się zrywa z pustyń Etyopi
Gdy słońce strefy tamte ogniem topi,
Wicher wędrowny, co wzburza powietrze;
Morzami lecąc tyle mgieł nachwyta
Że jeśli inny wicher go niezetrze
Mgłami półkula nasza jest nakryta;

Te znów ztajawszy spadają białemi
Płatami śniegu, strugami dżdżystemi,
Że aż się wszystko rozpłacze na ziemi.
Lecz miłość, co łowcze sieci
Ściąga z błękitu gwoli tych zamieci,
Zemną zostaje; tak piękną jest Ona
Mnie na władczynię srogą przeznaczona.
Jedne do krain wyniosły się ciepłych
Ptaszki, tu od nas, kędy ustawicznie
Świeci i świeci siedmioro gwiazd skrzepłych —
Inne pomilkły, choć śpiewały ślicznie;
I nie zanucą aż w zielonéj chwili,
Chyba że z bólu które gdzie zakwili.
Wszystkie żyjątka z natury ochotne
Miłośnych kajdan zbyły się w téj tobie,
Bo mróz pościnał ich duchy żywotne.
Ja tylko noszę żar w sobie:
Na moją miłość nie wpływa pór zmiana
Nie od nich zginie, bo nie od nich dana;
Tyś mi ją dała Dziewico wiośniana!
Niegdyś, gdy Baran przewodził na niebie
Pod jego tchnieniem wyklute listeczki
Dziś smutnie dzwonią na swoim pogrzebie;
Nigdzie zielonéj nawet gałązeczki,
Chyba na jodle, sośnie i wawrzynie,
I na tych drzewach których liść nieginie.
Zimowa pora dojęła tak srodze
Że wszystkie kwiaty zmarły na rozłodze
Nie mogąc ścierpieć pocałunków szronu —
A jednak ciernia co kłuje
I w sercu siedzi, Amor nie wyjmuje;
I cierń ten pewnie u mnie przewiekuje
Choćbym się nigdy niedoczekał skonu!
Źródła tryskają wodą co się dymi,
Bo wskróś przejęta wyziewy ciepłymi

Które głąb ziemi pędzi na powierzchnie.
Ot ścieżka, kędym chadzał za pogody,
Dziś już potokiem toczącym swe wody
Póty, aż zima precz od nas nie pierzchnie...
Niwy stwardniały pod szklanną polewą,
Woda się ścięła w skorupę nieżywą,
I tylko spodem rusza się leniwo...
Sam jeden z mojego boju
Kroku niecofam i niechcę pokoju;
Bo jeśli słodkie te męki co znoszę,
O ileż słodsze śmierć mi da rozkosze!
Cóż wtedy zemną stanie się, o pieśni!
Gdy znowu świat się odmłodzi, rozwieśni.
I miłość rosą ze wszystkich nieb spadnie —
Jeżeli w taki mróz luty
Nigdzie, krom we mnie, miłość niewre na dnie —
Więc póki skałą jéj serce — dopóty
Będę jak posąg z marmuru wykuty.

Lucyan Siemieński.

POWRÓT.

DO

C. J. M.

Jakież to niebo nademną jaśnieje?
Kraków, Karpaty, ojczyzna, rodzina!
Czy nowe życie dla mnie się zaczyna?
Czy żar rozpaczy w mem sercu nie tleje?

Już wrócić do was gdym stracił nadzieję,
Gdy smętne czoło pod szronem się zgina,
Promienna szczęściem wybija godzina...
Lecz słońce żywych umarłym nie grzeje.

Ja was widziałem oczyma mój duszy,
W nocach bezsennych, w dzikim oków chrzęście,
Które dziś śpiewny anioła głos kruszy;

Nieraz w mem łonie zakrwawione pięście
Chciały przybliżyć koniec méj katuszy...
Zniosłem mąk tyle: lecz czy zniosę szczęście?

Kraków, 1860.

KRYSTYN OSTROWSKI.

GAZETA CODZIENNA

I

KRASZEWSKI.

Opinia publiczna, jakimś zmysłem tajemnym w pośród podstępnych knowań, zawistnych idoków i rozzłoszczonych namiętności, odkrywa wcześniéj lub późniéj prawdę lub fałsz i stawia je na widoku według ich wartości. Od tego sądu nikt i nic wybiegać się nie potrawi; żadne potwarze jawne, żadne brudne paszkwile, żadne syczenia pokątne, żadne chytre wybiegi nic tu nie poradzą. Na chwilę można temi środkami strategicznemi obałamucić i skrzywić sąd ogółu — ale na chwilę tylko — czas i fakta, czyli po prostu czyny potępianéj fałszywie osoby czy instytucyi zaświadczą za nią, otworzą wszystkim oczy i prawda stanie przed niemi jasna i piękna.

Toć wszyscy wiedzą, że nie raz już na świecie najwznioślejsze zamiary sponiewierano, najszlachetniejsze przekonania błotem obryzgano, najprostsze drogi za kręte i chytre ogłaszano. Na szczęście siła żywotna tkwiąca ciągle we wszystkiem co jest dobrem prawdziwem i pięknem, przemaga zawsze przewrotność i fałsz, a prawdziwą zasługę na wierzch wydobywa. Prawda i to, że nim tak zeszkalowana osoba, tak przekręcony niegodziwie zamiar, dobije się tego uznania, nim się ogół potrafi oświecić o prawdzie, ileż to niesprawiedliwości przenieść ile dokuczliwych napaści wytrzymać, ile złości ludzkiéj przeboleć potrzeba, to każdy wie, ale niech każdego od takiéj walki Pan Bóg obroni. Nie raz tak niepoznany i najfałszywiéj potępiany czy człowiek, czy zamiar, czy chęć, umierają wprzód nim się ich wartość wewnętrzna pokaże; po śmierci przyznają słuszność, ale czyż nie straszna to rzecz zamykać na zawsze powieki z tą myślą, że się było dobrym, że się pragnęło zrobić ludziom jak najwięcéj dobrego, a ludzie na złość uparli się widzieć lub domyślać się wszędzie złego i samolubstwa!

Ludzie stanu, uczeni ważne stanowiska w kraju zajmujący, dziennikarze, słowem publicyści najwięcéj są wystawieni na takie niesprawiedliwe sądy ludzkie, na takie zawistne napady, co się w tych czasach na nowo na Gazecie Codziennéj i na Kraszewskim sprawdziło.

Ciekawa to historya; owóż rozpowiadam ją przez wasz organ, dla tego że jest neutralnem polem, a rozpowiadam, żeby wszystkich oświecić jak się ma rzeczywiście cała ta sprawa, żeby Kronenberga, jako właściciela Gazety, a Kraszewskiego, jako Redaktora pokazać w prawdziwem świetle osobno każdego i w stosunku między niemi dwoma, w stosunku z całą publicznością.— Oczywiście muszę o inne Gazety i o innych Redaktorów zaczepić, muszę dawniejsze fakta wspomnieć,

muszę każde moje twierdzenie innemi pewnikami poprzeć, żeby mi także stronności lub osobistych widoków nie zarzucono, bo wiedzą wszyscy, że jestem przyjacielem Kronenberga, że żyję bardzo blisko z Kraszewskim, ale też za to znam dokładnie cały stan rzeczy i opowiem ją jak napisał parę tysięcy lat temu wielki Tacyt: sine ira et studio, co się tłumaczy po polsku bez gniewu i bez pochlebstwa.

Porozumiéjmy się naprzód co to jest i jaki powinien być publicysta? Publicysta, na to wam każdy uczeń odpowie, dostał nazwisko od łacińskiego wyrazu *publicus* publiczny, to się znaczy, że zajmuje takie stanowisko, że go cała publiczność, mówiąc lepiéj, cały kraj widzi. Podług tego wszyscy właściciele i redaktorowie wszystkich gazet są publicystami.

Teraz znowu skoro cały kraj na publicystę patrzy toć musiał on zająć to stanowisko w skutku jakichciś wielkich zasług i prac, że się stał godnym uwagi całego kraju. Tu znowu żaden z dawniejszych właścicieli, ani redaktorów naszych gazet, takim publicystą nie był, bo że się jest właścicielem gazety i podpisuje się codziennie: Redaktor N. N. to się przez to nie jest jeszcze publicystą, a tylko właścicielem i redaktorem biernym. Inaczéj i Rożbicki byłby publicystą, bo znany jest całéj polskiéj publiczności.

Publicysta daléj, jak to widzimy za granicą, jest człowiek wielkiéj nauki, głębokiego rozumu, a do tego powinno się dodawać serce prawe i charakter nieskażony, — czego jednak czasem brakuje. Taki publicysta jest sędzią wszystkich objawów materyalnych, moralnych i umysłowych całego kraju — jest ich stróżem i kierownikiem. Takiemi publicystami, to jest prawdziwemi publicystami, są ludzie stanu, są ludzie uczenii Profesorowie uniwersytetów, wielcy myśliciele i wynalazcy i dziennikarze. Wszyscy oni zostali publicystam

w skutek wielkich prac, wielkiéj nauki, a następnie wielkiéj pożytkowości dla całego kraju.

Dziennikarze zagraniczni, czy to właściciele, czy też redaktorowie, mniéj więcéj znani są z głębokiéj nauki, a dobrze i stale wytkniętych celów, z przekonań niczem nie przepartych, co ich Gazetom daje właśnie siłę organiczną, znaczenie i charakter. Taką Gazetą polską jest tylko wasz *Czas*, żaden inny polski właściciel ani redaktor gazety takim publicystą nie był, bo żaden nie miał owych przymiotów publicysty, a gazety ich były wszystkie bezbarwne, czysto na zarobek wydawane. Nie można nie przyznać, że chociaż dotychczasowe gazety były najzupełniéj przedsiębiorstwem spekulacyjnem, zawierały one nie raz artykuły, rozbiory i uwagi, cały kraj obchodzące, ale żeby prawdę powiedzieć, to owe artykuły i uwagi nie wychodziły nigdy z pod pióra właściciela lub redaktora, a były napisane przez ludzi po za redakcyą będących, a znanych w całym kraju. Cała różnica tych naszych gazet leży w środkach materyalnych i zabiegliwości o artykuły, a nie w żadnéj naukowéj lub moralnéj a wyłącznéj tendencyi.

Nie lubię tego i nigdy osobistości nie napastowałem, ale tu dla prawdy i słuszności muszę powiedzieć wszystkim, że ś. p. Lesznowski nie był wcale publicystą, że mu do tego bardzo daleko było, że Gazeta Warszawska nie była i nie jest żadnym organem wyłącznych jakichś celów, dążności i zapatrywania się; toż samo i Kuryer, to samo dawniejszy Dziennik krajowy, to samo późniejsza Kronika, to samo dawniejsza Gazeta Codzienna, ale nie to samo dzisiejsza.

Całą zasługą tych naszych dotychczasowych Gazet jest to, że gromadzą u siebie różne wiadomości, że płacą za artykuły, wspierają piszących szczególniéj młodszych, że utrzymują jakiś ruch i budzą życie codzienne — ale na żaden sposób nie można w nich dopatrzeć

owych wielkich zadań po dziennikach rozwiązywanych, owych teoryi w dziennikach przeprowadzanych, owych ideów w dziennikach głoszonych. Wszystko w tych naszych gazetach drobnostkowe, niezupełne, na dziś robione, a często niedokładne, błędne i stronnicze i opryskliwe, dla tego też żadnéj im wyższéj powagi nie przyznaję, bo są czysto spekulacyjnem przedsiębiorstwem, mniéj więcéj szczęśliwie prowadzonem, a nie żadną siłą wielką na cały kraj działającą, zmieniającą dawne lub wywołującą nowe fenomena żywotne.

Każdy znający tę rzecz bliżéj i głębiéj przyzna mi słuszność w tem orzeczeniu o naszem dziennikarstwie. Kto na nie z daleka spogląda i powierzchownie sądzi, albo też do tego jeszcze nie zna się na tego rodzaju przedmiotach, temu one wydadzą się organami, filarami życia narodowego, a następnie ich redaktorowie publicystami.

W takim stanie i takiego znaczenia były nasze gazety, a nad niemi górowała Gazeta Warszawska, bo przyznać trzeba ś. p. Lesznowskiemu wielką zabiegliwość i staranność redaktorską dbającą o swój dziennik jako własność nie zły dochód stanowiącą. Że zaś najwięcéj miała prenumeratorów, ztąd urosła w zarozumiałość, że jest areopagiem, wyrocznią o wszystkich i o wszystkiem. Dziwny to był jéj ton wyrokujący ostatecznie, często obrażający osoby i rzeczy, a prawie zawsze napastujący, ale nigdy w wielkich rozmiarach jedno w drobnostkach codziennych, niby stara komoszka.

Dziś widzi dobrze co się święci, spoważniała tedy stężała w treści, ale pierwszeństwo dawne utraciła, a niezaprzeczenie zdobyła je Gazeta Codzienna.

Te to ploteczki i napaście, a do tego powieści przez Korzeniowskiego, Kraszewskiego i Kaczkowskiego pisane, wyrobiły wielkie wzięcie i jakiś charakter Gazecie Warszawskiéj. Ale wzięcie to i charakter na takich

podstawac hoparty, zaspakajający li tylko ciekawość, bawiący tylko, ale nic nie uczący — nie działający w żadnym kierunku na żaden fenomen życia narodowego, jest tylko efemerydą, ale nie monumentem. Nigdy z własnych ust ś. p. Lesznowskiego nie słyszałem o żadnych wielkich celach jego gazety, o żadnéj nieprzepartéj tendencyi, dla tego też dziwnem mi się wydało owe oświadczenie publiczne dzisiejszéj redakcyi po śmierci Lesznowskiego, że niezmiennie i wytrwale stać będzie przy swoich przekonaniach — a jakich?

Czy będzie rządową, czy opozycyjną, czy demokratyczną, czy szlachecką, czy włościańską, czy za papieżem, czy przeciw papieżowi, czy za, czy przeciw niewolnictwu murzynów, czy za lub przeciw przemysłowi itd. itd. itd. Przekonania takie każdy redaktor mieć może, za granicą każdy mieć musi, ale u nas choćby je miał to ich w gazecie swojéj przeprowadzić nie może bo nie wolno. Jakież tedy przekonania zostaną się redakcyi? Oto moralne i naukowe. Lecz znowu przekonania moralne i naukowe, pod karą obelżywéj głupowatości są u wszystkich normalnie wychowanych ludzi jednakowe i być muszą jednakowe, bo każdy człowiek przy nich sam z siebie silnie stoi i nie potrzebuje na to pomocy gazety. Pokazuje się tedy że owe wielkie słowa są w saméj rzeczy niczem, bo każda gazeta nasza jest tylko różnorodnym magazynem mniéj więcéj dobrze dobranym, a nie reprezentantem jakiejś idei, widoków i przekonań.

Dosyć tego — obróciłem się wyłącznie do Gazety Warszawskiéj, bo była najpowszechniéj wziętą. Dziennik krajowy Henryk Rzewuski tak zeszpecił, że do dziś dnia chociaż się Kroniką przezwał, chociaż już w czwartych jest rękach, nie może się z owego poniżenia podnieść, zawsze jest on niezbitym dowodem, że rozumiemy jeszcze co to jest tendencya, przekonanie; że niechcie-

liśmy przyjąć przekonań Rzewuskiego i że chętnie przyjęlibyśmy i uznali dobre przekonania, gdyby były widzialne. — Kuryer jest sobie gadułą miejskim, warszawiakiem par excellence, on tam pretensyi do organu i przekonań nie ma; jemu wszystko dobre, piękne, uczone, wielkie, sławne. Gazeta Codzienna miała już raz o ile pamiętam wielkie powodzenie. Niedbałością właściciela upadła i nabył ją pan Aleksander Przeździecki. Ja byłem przy nim niby redaktorem przez dwa lata, ale sobie za wielki zaszczyt téj pracy nie poczytuję, bośmy rzeczywiście bardzo licho tę redakcyę prowadzili, a to dla tego żeśmy bardzo skąpi na nakłady byli. — Pan Przeździecki po mojem oddaleniu się ustąpił prawa swoje swoim współpracownikom panu Gregorowiczowi i Psarskiemu, a ci po roku sprzedali ją panu Aleksandrowi Niewiarowskiemu. Dawny autor gwiazdki w Gazecie Warszawskiéj na chwilę podniósł liczbę prenumeratorów nowéj swéj gazety, ale nie umiał się przy nich utrzymać brakiem wytrwałości. Od pana Niewiarowskiego kupił Gazetę Codzienną, pan Leopold Kronenberg i od razu zrobił się wielki rumor w Warszawie.

My tu znamy dobrze Kronenberga; ale i on i wy przebaczycie mi; że go krociuteńko scharakteryzuję, aby wszyscy wiedzieli co on wart. — Leopold Kronenberg urodził się żydem, ale się wcale po żydowsku nie wychowywał, nie ma też w nim ani śladu żydowskiego charakteru. Od młodości chodził do szkół publicznych u Pijarów, od młodości przyuczył się być obywatelem kraju, a późniéj porzucił swoją kastę, bo wiedział że nie przypada zwyczajami i obyczajami do polskiéj ludności, a dla tego jest odłączoną od praw i towarzystwa polskiego.

Wszystkie salony i najwyżej położone osoby, wszystkie towarzystwa dobroczynne i naukowe przyjęły Kronenberga między siebie, bo poznały w nim poczciwość,

prawość i przywiązanie do kraju, czyli po prostu uznały go Polakiem. Co więcéj Kronenberg jest dobroczynnym jak nikt drugi, nawet między najbogatszemi panami polskiemi. Nie robi tego z próżności, bo o tem nikt nie wie i po gazetach o tem nie piszą, ale wspiera potrzebujących dla tego, że ma serce dobre. Gdyby przyzwoitość pozwalała, mógłbym wam wiele szczegółów nawet o mnie samym na dowód przytoczyć, ale to Kronenberga wartości nie podniesie, a może nie jeden obdarowany skrzywiłby się na to. Przyjął on religią chrześciańską sam przez siebie, z własnego przekonania że jest wyższą od innych i że bałamuctwa talmudyczne nie przypadają już teraz do pojęcia i godności człowieka i do stanu jego oświaty.

Kiedy Gazeta Warszawska obudziła kwestyę żydowską ze stanowiska narodowego, Kronenberg był wtenczas w Petersburgu i nic o tem nie wiedział. Powróciwszy do Warszawy mocno zganił krok żydów co to adres do Lesznowskiego wystósowali, żądając odwołania zaczepki. Wiecie, że sprawa ta poszła na drogę sądową i dotąd ukończoną nie została. Czytaliście wiele rozpraw o tym przedmiocie w Petersburgu, w Paryżu, w Bruxelli drukowanych, ale nie wieleście się z tego nauczyli, bo to wszystko retoryczne figliki i wykręty a rzeczy nie ma. Jak tylko żyd urodzony w Polsce będzie mówił jak ja po polsku, będzie się ubierał jak ja, będzie jadł i pił co ja jem i piję, i będzie jak ja wychowany, a nadewszystko będzie kochał kraj rodzinny i nie będzie znać na nim owego brudnego szachrajstwa, to jest mi równym i powinien mieć wszystkie prawa jakie ja mam. Jeżeli mu jednego z tych warunków braknie (a nie wchodzę tu w to co lub kto mu przeszkadza do nabycia owych warunków) będzie zawsze pośmiewiskiem.

Są ludzie źli, zazdrośni i niechętni, co nawet jawności nie chcą widzieć; są jakieś tu w Warszawie pokątne

praktyki przeciw najlepszym ludziom. Skoro Kronenberg kupił Gazetę Codzienną, a chciał ją nabyć przed trzema laty jeszcze, kiedy kwestya żydowska nikomu w myśli nie powstała, zaczęli owi źli ludzie i głośno i pokryjomu puszczać gadaniny a nadewszystko bili w to, że chce mieć swój własny żydowski organ. Jak miałem honor powiedzieć, Kronenberg nie jest żydem ani z religii, ani z wychowania, ani z przekonania, ani ze sposobu myślenia i postępowania; jest poczciwym pod każdym względem człowiekiem i zacnym obywatelem kraju. Jego kwestya żydowska nic a nic nieobchodzi i kupując Gazetę nie miał wcale zamiaru interesa żydowskie popierać, a po prostu chciał przysłużyć się krajowi, o ile będzie w jego możności, najlepszą gazetą i w tym jedynie celu a nie w żadnym innym robi ogromne nakłady na format dogodniejszy, na współpracowników najzdolniejszych, na korespondentów znanéj nauki i wartości, na wiadomości starannie zbierane a ważne koszta te są tak wielkie, że ledwie 5000 prenumeratorów pokryć je potrafi. Pan Bóg dał mu szczęście na innéj drodze, chce za to całemu krajowi dać dobre pismo i nie ogląda się na żadne zyski ani ma na celu jakieś tajemnicze zamiary.

Kto inaczéj utrzymuje ten jest kłamcą i potwarcą.

Kronenberg zajęty swojemi finansowemi i przemysłowemi obrotami, nie mógł i nie umiałby być redaktorem swojéj gazety; to też zaprosił na redaktora pana Kraszewskiego dla tego, że nazwisko jego między piszącemi jest najpopularniejsze w Polsce. Chciał tym sposobem dać rękojmię publiczności, że mu chodzi tylko o dobrą gazetę, a nie o żadne żydowskie czy bankierskie teorye.

Kraszewski sam przez siebie przemyśliwał już o założeniu sobie peryodycznego dziennika, podobno nawet robił jakieś propozycye hrabiom Branickim, i hrabiemu

Leonowi Łubieńskiemu. Odezwa tedy Kronenberga była mu na rękę i chętnie przyjął redaktorstwo. W jakim zaś duchu je przyjął przytaczam na dowód ustęp z listu Kraszewskiego do Kronenberga pisanego z dnia 24go marca 1859 r.:

„Opowiedział mi pan X... o projekcie Pana Dobrodzieja, którego myśl potrzeby wydawania pisma odpowiedniego wymaganiom epoki i redagowanego sumiennie a bezstronnie najzupełniéj podzielam. A że od dawna miałem projekt, przy sprzyjających okolicznościach, urządziwszy majątek mój, wynieść się do Warszawy, projekt ten w samą porę dla mnie się nadarza. Nieodbiegam więc wcale od tego i owszem pragnę i życzę abyśmy do skutku rzecz doprowadzić mogli. W téj chwili nadto jeszcze mało nad szczegółami myślałem, abym się o nich obszernie mógł rozpisać, wyrażę tylko co pobieżnie na myśl mi przychodzi a głównie zda się ważnem. Nabycie pisma wskazanego znajduję dobrem... Gdy się rzecz ustali pomyślimy o powiększeniu formatu. Co się tyczy ducha ten musi być katolickim bez ultramontanizmu, narodowym i postępowym zarazem — ślacheckim o ile ślachta jest przewodniczącą do postępu i czynną — ale lud i jego dobro oraz wszystkich klas społecznych zgodę, porozumienie, miłość i zjednoczenie mającym na celu. Zresztą co do ducha odwołuję się do przekonań w pismach moich objawionych. Dziennik będzie odbijać zasady, jakim całe życie służyłem. Potrzeba aby było w jednym ręku i pod jednym kierunkiem wyłącznym; ale od przyjęcia rady i uwagi, gdy rzecz tego wymagać będzie nie odbiegam, zawsze warując sobie niezależność moich przekonań.“

Wiedzieliśmy o téj umowie naprzód i myśleliśmy sobie, że to będzie dobrze kiedy Kronenberg zostanie właścicielem, a Kraszewski redaktorem Gazety Codziennéj. Kronenberg człowiek bogaty, z najlepszemi dla kraju

i piśmienictwa polskiego chęciami, Kraszewski pisarz znakomity, który nigdy w żadnéj swojéj pracy nie objawił nic takiego, coby najmniejsze podejrzenie na niego ściągnąć mogło o niestosowność lub złą wiarę albo krzywe jakieś nauczania; to też cały kraj lubił go i szanował. Z tego zlania się kapitału tak chętnego i zdolności pisarskiéj tak czystéj i powszechnie uznanéj, najlepsze dla Gazety i kraju muszą wyniknąć skutki i wyniknęły. Każdy rozsądny człowiek, nie płytko widzący rzeczy na swojem zdaniu polegający, a nie słuchający byle jakich podszeptów, zgodzi się ze mną na to, że taka firma daje zupełną pewność, że Gazeta będzie dobrą i bardzo pożyteczną dla czytającéj publiczności.

Wtem kiedy Kraszewski przyjechał do Warszawy dla ostatecznego porozumienia się z Kronenbergiem, ludzie którzy niedowierzali jeszcze rzeczywistości téj umowy, którzy mieli zapewne interes w rozerwaniu téj spółki, a szczególniéj Gazeta Warszawska mocno się poruszyła tym krokiem Kraszewskiego, bo traciła najczynniejszego i najpopularniejszego współ-pracownika. Skoro przypuszczenia stały się pewnością, wnet u jednych interes, u drugich zawiść a u innych jeszcze prosta brudna chętka szkalowania rozwiązała języki i pióra i daléjże wygadywać i roznosić po mieście a potem po całym kraju wszelkiego rodzaju napaście na Kraszewskiego i na Kronenberga. Nasełano mu ciągle to osoby z dobremi niby radami, to listy bezimienne ostrzegające go, że opinia publiczna potęgi go skoro się z Kronenbergiem zwiąże, powiedzą po prostu wszyscy że przyjął służbę u żyda: taka była w ogóle treść tych przyjacielskich rad i ostrzeżeń.

Ale Kraszewski za dużo ma rozumu żeby pozwolić działać na siebie tym wrzaskom i sykaniom, a za dużo zasługi i wyrobionéj już opinii o sobie w całym kraju, żeby na chwilę mógł przypuścić, że publiczność polska

uwierzy w te kłamliwe szkalowania. Przyjął tedy redaktorstwo z tem przekonaniem, że daleko więcéj zrobi dla piśmiennictwa i dla kraju będąc redaktorem niż podrzędnym chociaż znakomitym współ-pracownikiem Gazety Warszawskiéj; — przyjął je z tem przekonaniem, że razem z Kronenbergiem będą mogli doskonałe pismo peryodyczne utworzyć i rozwinąć do możliwéj u nas potęgi.

Powiedziałem już wyżéj, że w duszy Kronenberga nie było i nie ma żadnych tajemnych zamiarów w nabyciu i silnem rozwijaniu Gazety Codziennéj, a szczególniéj nie było i nie ma żadnéj teoryi judaizmu do popierania, a li tylko najszczersza chęć żeby krajowi dać jak najlepszą Gazetę. Gdyby nawet miał jakieś wyłączne cele, to przecież wszyscy uwierzą temu, że Kraszewski, jako redaktor główny, musiałby o nich wiedzieć, żeby w ich duchu pismo prowadzić; a i na to zgodzić się wszyscy muszą, że gdyby te cele Kronenberga były koteryjne, poziome, kastowe lub egoistyczne, toby z pewnością Kraszewski do nich nie przystał i redaktorstwa nie przyjął. Nie na służbę do żyda, ale na ciężką służbę piśmiennictwu i krajowi poszedł pomagać swojem nazwiskiem i pisaniem poczciwym chęciom i zamiarom Kronenberga.

Z tego połączenia się tych dwóch ludzi, wyrobiła się teraźniejsza Gazeta Codzienna, najlepsza ze wszystkich, tego jéj najzawziętszy nieprzyjaciel nie zaprze. Że publiczność poznała się na niéj, tego dowodzi liczba prenumeratorów już 4000 wynosząca. A z pomiędzy 4000 prenumeratorów czyż dojrzał kto kiedy jakieś tendencye żydowskie, czyż wyjrzała kiedy w jéj kolumnach choćby najmniejsza koteryjność, czyż dopatrzył się kto w niéj czegoś skrzywionego lub osobistego. To też myśleliśmy, że takie pismo jedynę dotąd, co się ośmieliło w imieniu własnem i od siebie przemawiać do całego

kraju artykułami, tak nazwanemi wstępnemi, a pełnemi prawdy i dobrych chęci, (podług mnie artykuły te wstępne nie dosyć silne, za bardzo miękkie) że pismo tak starannie i sumiennie wydawane, i tak czytane, zaświadczy o znaczeniu i zamiarach właściciela i redaktora i zdawało się nam, że cały kraj przyznał obom to czego warci za takie nakłady i pracę dla dobra całego kraju podjęte.

Nie! zawiść złośliwa, osobiste interesa i widoki, rozniosły po całym kraju, szczególniéj pomiędzy obywatelstwem, między szlachtą, tę potwarz, że Kronenberg ma jakieś żydowskie zamiary, a Kraszewski znaczeniem swojem wspierać je będzie! Znaleźli się ludzie małowidzący, znaleźli się krzykacze namiętni co w niebo głosy wołać poczęli, że Kronenberg bankier, bogacz; w duszy żyd pismo żydowskie założył, a Kraszewski shańbił się przyjąwszy redaktorstwo takiéj Gazety. W imieniu najczystszéj prawdy, w imieniu zdrowego rozsądku, w imieniu wszystkich, którzy czytają Gazetę Codzienną pytam się czyż takie namiętne krzykanie, takie mowy mniéj niż błache, nie są krzywdą i hańbą dla ogółu, który im pozwala odzywać się w pośrodku siebie?

Tak jest! powtarzam to i nie cofnę nigdy tego co powiem, że to jest głupota jawna takie o Kraszewskim, o Kronenbergu i o ich Gazecie zdanie wydawać, a niegodziwość zdanie takie rozszerzać.

Wiecie dobrze, że odbyło się w lutym w Warszawie ogólne zebranie Towarzystwa Rolniczego, że było na tem zebraniu około 2000 członków. Podług ustawy Towarzystwa każdy kandydat powinien być przedstawiony przez dwóch członków i balotowany naprzód na okręgowem zebraniu, a potem na ogólnem. Okręgowe zebranie z Warszawy znające dobrze Kraszewskiego i Kronenberga, widzące w należytem świetle całą tę sprawę o Gazetę, jednomyślnie przyjęło Kraszewskiego na

członka i dało tem dowód wyższéj rozwagi i poczucia sprawiedliwego sądu. Przedstawiony potem do balotowania na ogólnem zebraniu dostał aż 140 czarnych gałek; kto je wrzucił niewiadomo, ale za co je wrzucił to rzecz ciekawa. Zaraz z początku zjazdu słyszeć się dawały, najwidoczniéj podburzone przez jakieś interesowane stronnictwo, owe pełne uprzedzenia, niechęci a dosyć błahe wymyślania na Kraszewskiego. Przez szacunek dla Towarzystwa powtarzać ich nie będę, tak były niedorzeczne, a wszystkie mniéj więcéj powtarzały, że trzeba dać uczuć Kraszewskiemu, że jest pod strażą opinii publicznéj że źle, niegodziwie zrobił połączywszy się z żydem. Ot, przyczyny czarnych kresek.

Szlachta polska znana jest z tego, że fanaberyjnie sądzi ludzi i rzeczy; niech jeden krzyknie to Sokrates, Katon, wszyscy za nim chórem Sokrates! Katon! Niech jeden znowu krzyknie: Zdrajca! łotr! dalejże wszyscy wołać: zdrajca! łotr! Ktoś jakiś, albo głupiec, albo zawistnik, tu w Warszawie krzyknął: żydowska gazeta, a Kraszewski żydowski sługa, zaraz przybyli z daleka ziemianie, nie znający nic a nic, ani ludzi, ani stanu rzeczy zawołali: a tak! żydowska gazeta! Kraszewski żydowski sługa! nie przyjąć go do Towarzystwa! rzucić czarne gałki!

Trzeba wam wiedzieć, że dwa lata temu Kronenberg jednozgodnie przyjęty został na członka towarzystwa, a teraz Kraszewski za to, że się z nim w najlepszych zamiarach połączył, miał być odrzucony. Gdzież zdrowy rozum! gdzież logika? Co więcéj obok téj kwestyi żydowskiéj, która w końcu niedorzecznością swoją nudzi i ginie odzywały się gdzie niegdzie głosy na Kraszewskiego za to, że porzucił Gazetę Warszawską, że podrzędne miejsce zajął, że dla tego nieszlachetnie z Lesznowskim wyszedł. Stosunków Kraszewskiego z Lesznowskim nie znałem, ale zawsze przyznaję Kraszewskiemu najzupeł-

niejszą wolną wolę w działaniu i nie ma nic nieszlachetnego względem Lesznowskiego i Gazety Warszawskiéj.

Że oddaleniem się Kraszewskiego ze swojemi pracami z jéj kolumn dużo straciła Gazeta Warszawska, to prawda, ale czyż go kupiła na zawsze, czy pogwałcił jakie warunki umowy, czy poszedł za większym materyalnym zyskiem? Także nie! Jakie stanowisko zajął Kraszewski, to z listu wyżéj przytoczonego osądzić możecie. Że za materyalnym zyskiem nie gonił to wam dowiedzie sama umowa z Kronenbergiem w któréj wyraźnie stoi że za swoje prace drukowane w gazecie, będzie brał jak zwykle 10 gr. od wiersza a za samo redaktorstwo bierze udział w zyskach jakie gazeta przyniesie. Nie ma tu ani wzmianki o owych bajecznych pensyach 40 czy 30 tysięcy złotych wynoszących. Jedna też tylko rzecz kłopocze mnie trochę. Jeżeli oprócz stosunków pisarza i honoraryum wywiązały się między Kraszewskim i Lesznowskim bliższe serdeczne stosunki, „jeżeli byli sobie więcéj niż znajomymi, jeżeli przez 10 lat współpracownictwa zeszli się bliżéj aż do przyjaźni, czego nie wiem — w takim razie, a i to z pewną jeszcze oględnością, możnaby mieć za złe Kraszewskiemu, że porzucił przyjaciela i jego sprawę. Zresztą któż nie wie ile to przyczyn najróżnorodniejszych wpływa na zbliżenie się i rozłączenie ludzi?

Całą tę sprawę przywiódłszy do ostatecznego a najprostszego zrównania, pokaże się:

1) że ludzie są źli i niesprawiedliwie o bliźnich sądzą.
2) że niesprawiedliwie osądzili Kronenberga i Kraszewskiego.
3) że interes osobisty i zawiść najważniejszą w tym sądzie odegrały rolę. Że namacać prawie można zkąd te potwarze wyrosły.

4) że Gazeta Codzienna jest najlepsza, że ją powszechnie czytają i chwalą; a zatem nie ma w niéj tego co jéj a priori zarzucano.
5) że Kronenbergowi za staranność i nieżałowanie kosztów nakładowych; a obom za najlepsze chęci dla całéj publiczności, wdzięczność i szacunek się należy, a nie kłamliwe szkalowania i czarne kreski.
6) i ostatnie, że inne gazety, zamiast lichéj broni napaści pokątnéj, lub zazdrości złośliwéj, niech się starają iść na równi z Gazetą Codzienną, pracą, doborem artykułów i prawością, a będzie i nam i im lepiéj.

Michał Gliszczyński.

PTASZKI
PODŁUG ARISTOFANESA

NAPISAŁ

GOETHE.

Osoby.

Burzycki.
Dudas.
Puhacz.
Papuga.
Chór ptaków.

Dolina otoczona lasem i skałami, na których szczycie ruiny.

Dudas. (*Z jednéj strony na wierzchu skały*). Oh! niebezpieczna ścieszka —! o! nieszczęsna droga!

Burzycki. (*Z drugiéj strony skały — ukryty*). Pst! znów go słyszę! Hop!

D. (*odpowiada*) Houp!

D. Na jakążeś zbłąkał się skałę?

D. Oj! biedaż mi, bieda!

B. Cierpliwości! mój przyjacielu!

D. Utkwiłem w cierniach i głogu!

B. Tylko powoli!

D. O jakiż śliski, zwodniczy ten mech! zawraca mi się głowa; spadnę w przepaść!

B. Tylko spokojnie! spuść się na dół! Tu widzę łączkę!

D. Spadam — lecę!

B. Tylko cicho! Zaraz idę!

D. Oj jéj! spadłem!

B. Poczekaj! ja cię podźwignę!

D. (*leżąc na ziemi*) O zwodzicielu! Włóczęgo — Szyjołomie oby cię Bogowie! zaprzepaścili!

B. Czemu wrzeszczysz?

D. Przeklinam cię!

B. (*raczkuje na szczycie skały*). Otóż tu jest Muscus cyperoides politrichocarpomanidoides.

P. Dobije mnie!

B. A tu Lichen canescens figerrimus, co za nędzna figura!

D. Potrzaskałem wszystkie kości!

B. Widzisz jaką pociechą i podporą jest umiejętność! I w nadpowietrznych sferach i na najszorstszéj skale człowiek umiejętny znajdzie zabawę (*zajęcie*).

D. Obyś na dnie morskiem układał zbiór muszli, a ja tam był skąd przyszedłem.

B. Słabyżeś! a przecież tak czyste tak lekkie jest to górskie powietrze.

D. Ani je piersmi zachwycić.

B. Zauważałeś, jaki przecudny widok?

D. Cóż mi on pomoże?

B. Zimnyś jak głaz.

D. Gdy mnie dreszcz przejmie: teraz całym w potach.

B. To zdrowo; (*schodząc*) ręczę ci ześmy w właściwem miejscu.

D. Wolałbym, żebyśmy byli na dole.

B. Wszakżeśmy szli najbliższą drogą.

D. Najprostsza, ale o kilka godzin dłuższa. Z utrudzenia i bólu, ani się ruszyć mogę! Ach! ojojoj!

B. Przecież nierozpadłeś się w kawałki (*podnosi go*).

D. Oby każdy szukający szczęścia w zmianach, takie jak ja zrobił doświadczenie!

B. Upamiętaj się! Upamiętaj się!

D. Przynajmniéj mieliśmy co jeść i pić.

B. Umbu! Z cudzéj kieszeni, lub z cudzego stołu!

D. W zimie niezaznaliśmy chłodu.

B. Dopókiśmy w łóżkach leżeli.

D. Ani trudów; a pewnym ludziom gorzéj było jak nam, co jak szalcni uganiamy po świecie, by jakieś urojone dziwadła w najdziwaczniejszy sposób pochwycić.

B. (*ku widzom*). Nasze dzieje w tych krótkich zawarte słowach: Niebyło sposobu dłużéj osiedzieć się w mieście. Bo, chociaż wcale skromnemi były nasze żądania, to i tych nawet niezaspokajano; — prace nasze płacono sowicie, lecz my tem potrzeb naszych pokryć niemogli. Żyliśmy właściwym nam trybem, a rzadko znaleść mogliśmy odpowiedne nam towarzystwo. Słowem wzdychaliśmy do jakiéj nowéj krainy, kędyby była inna postać rzeczy.

D. A idąc tą drogą przedziwnieśmy sobie byt polepszyli!

B. Skutek uwieńcza zabiegi. Wielkie zasługi, w nowszych czasach rzadko już zostają w utajeniu; — są dzienniki które bezzwłocznie każdy czyn wzniosły uniešmiertelniają. — Słyszeliśmy, że na szczycie téj niebotycznéj góry puszczyk mieszka, którego wszystko niezadawalnia; dla tego mu też ogromne przyczytujem

umiejętności. — W całym kraju słynie pod imieniem: „Krytyka“. Całe dnie przesiaduje w domu, badając to, co wczoraj inni zdziałali, a zawsze nierównie rzutniejszy, jak każdy wracający z sali obrad publicznych. — Domniemywamy się, że wszystkie miasta, chociaż w nocy tylko, jak ów diabeł kulawy — zapewne zwiedził, a więc będzie nam mógł wskazać miejsce, kędyby się przyjemnie żyć dało. — Patrz! patrzno tam, jakie to prześliczne muzy! Istotnie! jakby je Rusałki wyczarowały!

D. Już znowu się unosisz nad kupą starych kamieni?

B. Nieochybnie on tam mieszka. — He! he! puszczyku! he! he! panie puszczyku! Niemasz nikogo w domu?

Papuga. (*Występuje i gada chrapliwie*) Panowie! Moi Panowie! Jak mam zaszczyt? zkąd przybywacie? Jakaż miła niespodzianka?

B. Przychodzim poznać pana Puszczyka.

D. Prawieśmy karki poskręcali, by pozyskać zaszczyt służenia mu.

P. Czegóż się nieczyni dla poznania tak wielkiego Męża? Miłem będzie Panu mojemu, przybycie wasze.— Jakkolwiek tego nieokazuje, bardzo lubi, by go odwiedzano.

B. Czy Waćpan u niego w obowiązku?

P. Tak to, dopóki mi się zdawać będzie.

D. A jakże się Wać Pan zowie?

P. Zowią mnie: Postępowiczem;

B. Postępowiczem?!

P. A z rodu jestem — papuga!

B. Tobym się łacniéj domyślił.

D. Kontentże Waść z Pana swego.

P. Ot tak, tak. — Już tośmy jakby stworzeni jeden dla drugiego. — On po całych dniach bez ustanku myśli — a ja — zupełnie nic niemyślę; on wszystko rozbiera, osądza a to mi wcale nie na rękę, bo już ja tego

niepotrzebuję robić. — A jeśli mnie co tak serdecznie cieszy — jeżli się tego na pamięć wyuczę i przez cały dzień z tem noszę, to też wieczorem idę do niego, i pytam go: a warteż to co?

B. Ależ się tu musicie okropnie nudzić?

P. A gdzież tam, my tu o wszystkiem wiemy.

D. Ale co porabiacie przez dzień cały?

P. Ej! tak oczekujem przyjścia wieczora.

B. To zapewne macie jeszcze jakie osobiste passyjki, zamiłowania?

P. Już to moja passya — słowiki — skowronki i wszystkie ptasie śpiewaki! Całe godziny — w dzień i w nocy stoję i słucham ich śpiewu, a takim szczęśliwy, tak się unoszę, że niekiedy myślę, iż mi pióra ulatują. — Na nieszczęście i pan mój przepada, za temi stworzeńkami — tylko w inny sposób; — kędy które z nich dopadnie; łaps! trzyma za łebek i skubie. — Zaledwo na usilne me prośby dozwolił, by tu na górze żyło ich kilkoro, a właśnie te nienajlepsze.

B. Wypadałoby remonstrować.

P. To nic niepomoże, gdy on głodny.

D. Więc mu Waść inny żer podsuń.

P. I to się robi, o ile można, i z tem też właśnie moja bieda. Gdyby to zawsze myszy dostać można! — On znajduje, że myszy równie delikatne jak skowronki, a najpiękniejszego skowroneczka połknie jak myszkę.

D. I czemuż mu waść służy?

P. Kiedy już jest moim Panem.

B. Jabym go tu zostawił na górze w tem jego pustkowiu, a tam na dole wyszukałbym sobie takie ładne, lube cieniste drzewko — pełne słowików, nad którémby setki skowronków unosząc się śpiewało; i tam żyłbym sobie rozkosznie.

P. Ach! żeby to tak już było!

D. To uwolń się od niego.

P. Jakże to sobie począć?

B. Czy tak doskonale karmi, że kędy indziéj, lepszéj znaleść nie można strawy?

P. Uchowaj Boże! ja tę odrobinę — sam sobie wyszukać muszę. — Gdybym ja kości i szkielety mógł spożywać; bo te tylko z swoich zostawia obiadów.

B. Otóż to zowię posadą nielada! — Lecz wreszcie chcielibyśmy poznać tego Pana, co godny mieć tak wiernego sługę.

P. Tylko cicho, cicho. byście go nieobudzili! bo w marzeniach zaniepokojony, jak dzieciuch kaprysi — lecz zwykle jest wcale poważnym mężem. — Otóż słyszę, że się właśnie przebudziwszy z drzymki poobiedniéj trzepocze; — więc w dobrym będzie humorze; — zaraz go zawiadomię. — Mój drogi Panie! uniżenie proszę, przybyło tu parę arcyuprzejmych przybyszów! — Niebo osłonione chmurami — niebędzie razić wżroku.

Puchacz. (*występuje*). — W jakiem przedmiocie, żądają Panowie usłyszeć me zdanie?

B. Nie tak zdanie, jak radę!

Papuga. To właśnie jego forsa. — Niezdarzyło mi się widzieć, aby on każdemu — cokolwiek zrobi — potem własnym jego nosem niewskazał co lepszego.

Puchacz. Dobréj rady chcecie, moi Panowie?

B. Albo i wiadomości — jak to tam pan nazwać woli.

Papuga. Tem będzie mógł Panom służyć; on o wszystkiem zawiadomiony.

Puchacz. Tak jest, ja mam korespondencye z wszystkimi malkontentami całego świata; otrzymuję więc najskrytsze wiadomości — papiery i dokumenta; i z rozmów takich tylko ludzi można się szczeréj prawdy dowiedzieć.

B. Naturalnie!

D. Bezwątpienia.

Papuga. O! niezawodnie.

Puchacz. Trwożyć ptastwo to serdeczna moja rozkosz! I każdemu z nich jakoś ckliwo, gdy mnie i z najdalsza zwietrzy. Wtenczas to wrzaski, piski, krakanie, a jak swarliwe stare baby, ani się ruszą z miejsca, kędy ich kto droczy. — Ale też ten i ów wié dokładnie, żem mu jego pisklęta zanatomizował, by mu okazać, że należało im mniéj wiotkie lota, silniejsze dziuby i kształtniejsze łapki sprawić.

D. Więc my szczęśliwie dobry skład zdybali; boć szukamy — miasta, państwa, kędyby nam lepiéj było, jak w owem z któregośmy przybyli.

Puchacz. Jeśli się dowiedzieć chcecie kędy jest gorzéj tobym mógł łacniéj tem służyć. Bądźcie przekonani, że żaden naród na całym świecie nieumie sobie postąpić a żaden król rządzić.

B. A przecie wszyscy jakoś żyją.

Puchacz. To właśnie najgorzéj! Ale cóż was wypędziło z ojczyzny?

B. To wcale nieznośne urządzenie. Uważ WPan. Czyśmy w domu siedząc luleczkę kurzyli, czy poszli łyknąć dobrego starego winka; — to zupełnie nikt naszych trudów wynagrodzić nam niechciał. Cobyśmy robić największą mieli chętkę, to najsurowiéj było zakazane, a było tylko spróbować — to za najlepsze chęci jeszcze nas karano.

Puchacz. Ależ bo to moi Panowie! zdajecie się mieć jakieś dziwne pojęcia.

D. O bynajmniéj! największa część naszych przyjaciół podziela to nasze zdanie!

Puchacz. Ależ jakiegoż to miasta szukacie właściwie?

B. Niezrównanego! takiego coby to było miękko, dobrze wyścielone; kędyby zawsze było błogo, szczęśliwie!

Puchacz. Ależ, bo są różne rodzaje szczęścia.

B. A więc szukamy miasta, kędyby codzień nieochybnie na wyborne obiadki zapraszano.

Puchacz. Hm.

D. Takiego miasta, kędyby znamienici ludzie, korzystne położenie swoje, z nami pospolitszemi chętnie podzielać chcieli.

Puchacz. He!

B. Właśnie takiego miasta kędyby rządzący czuli, co lud co biedaków dolega.

Puchacz. Dobrze!

D. Tak jest! takiego miasta, kędyby majętni ludzie chętnie od setki płacili, by tylko ich kapitały wziąść — do przechowania.

Puchacz. Tak!

B. Miasta, kędy entuzyazm żyje, kędyby człowiek skoro raz co dobrego zrobił, albo dobrą książkę napisał, natychmiast uzyskał prawo żądania *przez resztę żywota*, by mu wszystko, co pragnie, bezpłatnie dostarczano.

Puchacz. Waćpan literatem, pisarzem jesteś?

B. A! zapewne.

Puchacz. Waćpan też?

D. Tak jest! jak wszyscy moi współobywatele.

Puchacz. Więc przed mój trybunał należycie!

D. Gdybyś pan zechciał użyć wpływu swego, by nam lepiéj płacono.

Puchacz. Nie troszczę się o to.

B. By z dzieł naszego nakładu, przedruków nierobiono.

Puchacz. To mnie nieobchodzi.

D. Miasta kędyby ojciec i matka tak okropnie się nie krzywili, gdy się człek do ich nadobnych zbliży córeczek.

Puchacz. Jak?

B. Miasta, kędyby małżonek, o utrapieniach życzliwego bezżennego młodzieńca, miał przecie zdrowe pojęcia!

Puchacz. Co?

D. Miasta, w którem szczęśliwy autor, ni szewcom, ni krawcom, ni rzeźnikom, ni szynkarzom opłacać by się niepotrzebował, w któremby się nadobna lubcia z wdziękami swemi gwałtem narzucała, bo tam kiedyś serduszko jéj wzruszyłem.

Puchacz. A cóż wy to sobie myślicie? Do kogożeście to przyśli.

B. Jak to?

Puchacz. Kędyż znajdę słowa, któremibym swawolę waszą zdołał wyrazić?

D. Kędy indzièj, był na doręczu zapas nielada! —

Puchacz. Haniebnie! a co gorzéj szkaradnie! a co jeszcze gorzéj bezbożnie! a co najgorzéj (bezrozumnie) głupio!

B. Na najwyższym stanął szczeblu.

Puchacz. Dla was niema innéj drogi, tylko albo do domu — waryatów — albo do domu poprawy.

(*Odchodzi*).

Papuga. Ależ na Boga! Panowie! co robicie? Tak rozsądnymi ludźmi być się zdajecie, a mój pan taki rozsądny mąż!

B. To też rozsądni ludzie właśnie najmniéj się między sobą zgodzić mogą.

Papuga. Taki poważny mąż ptak — ptaków!

B. O! tak! on? istny dudek, bo się w błocie gnieździ.

D. Raczéj kukułka, bo w cudzem gnieździe jaja niesie.

Papuga. Moi Panowie! okropnie cierpię.

B. My także — głód i pragnienie.

Papuga. Ach! cierpienia moje, nierównie są sroższemi ! bo są cierpieniami duszy. Czyż to być niemoże, by tak zacni, tyloma darami wyposażeni, tak znamienici mężowie, w jednym celu działać i połączeni Dobre, Doskonałe utworzyć zdołali.

B. Jakoś się to tam zrobi.—Myślę atoli, tymczasem ratując honor domu co nam przedstawicie.

Papuga. Panowie zdają się być szczególnymi znawcami. Niezechcąż mi łaskawie pozwolić, bym się z swojemi słowiczkami i skowroneczkami mogła popisać.

D. Wiatr i piana!

Papuga. No! usłyszycie moich lubych, najmilejszych, chwile nasze wieczną radością wieńczączch śpiewaków

B. Postępowiczu, kochany Postępowiczu!

Papuga. O ty mój maleńki, ruchliwy, lekkoskrzydlny świergoczący—czystodźwięczny skowroneczku, ty gościu świeżo zoranéj grzędy, niech usłyszym twój głosik, wzbudź w nas podziw i radość!

B. Doskonały do napisania ody na cześć miernéj śpiewaczki.

(Za sceną śpiewa skowronek — tymczasem Papuga swe uniesienie, a słuchacze zdziwienie okazują).

Papuga Dzięki ci! niezmierne dzięki!

B. Głód niezmierny głód!

D. Pragnienie, niezmierne pragnienie! Niemasz tu gdzie w pobliżu jakiego źródła?

B. Niemasz tu kędy borówek, malin, czernic — choćby głogu, by czemkolwiek zapełnić otchłań mego żołądka?

Pap. Posłuchajcieno jeszcze słowiczka mojego, błogo czarującego śpiewaka, ożywiciela nocy! Wzbudź, wywołaj uśpione uczucia! ożyw rozkoszą puch każdy, i przetwórz mnie od szpony do dziuba w istne uczucie!

. Czy tylko nierozwlekłe będą te trele?

Pap. Właśnie to jest jego forsą. — Jak się słowiczek rozśpiewa, to mu chyba kark trzeba skręcić, chcąc przerwać urocze tony.

(Słowik za sceną, śpiewa długo tkliwą aryję).

Pap. Brawo! brawo! mój słowiczku! To mi wyraz! rozmaitość!

B. Istna komedya niemiecka! końca jéj trudno doczekać!

D. Wcale ładny jego głosik — chciałbym go też z bliska zoczyć.

Pap. Na dobitek jeszcze rondeau, najmilszego skowroneczka. W jego śpiewie, ręczę panom jest coś humorystycznego.

(W ciągu śpiewu skowronka B. *takt wybija — wreszcie tańczyć zaczyna).*

Pap. Na Boga! któż takt wybija? na wyraz uważać trzeba!

B. W muzyce takt tylko słyszę, to jedno nogi porusza.

(Śpiew nieustaje, B. *skacze).*

D. Głód mnie już w szaleństwo wprawia.

(D. *poczyna skakać, Puchacz występuje wołając):*

Puchacz. Niekończąże się te wrzaski?

(B. pochwyca Puchacza, D. Papugę i zmuszają ich tańczyć; gdy skowronka śpiew skończony, B. i D. klaszczą w dłonie wołając):

Brawo! brawo!

(Za sceną powstaje wrzawa)

D. Cóż ja słyszę! jakiż to wrzask! jakie szumy!

B. Wszystkie gałęzie ożyły.

D. Słyszę piski i krakania, widzę niezliczoną zgraję ptastwa się skupiającego.

(Niebawem ptastwo występuje).

B. Jakaż to pstra, śmieszna gawiedź! Same błyszczaki! Zwietrzyły nocnego wroga swego, potężnego krytyka!

D. Cóż to za dziwaczny grzebień! jak się to stworzenie gapi!

B. Ów się śmieszniéj wyczupirzył, to też pocieszniéj wygląda.

D. Patrz! ów trzeci jaki sensat! Już walną składają radę.

B. Zanim na jedno się zgodzą, to dobre nastaną czasy.

D. Biada! tłum się mnoży, skupia; złowrogim przylot drobiazgu! Jakto drypta, jak się dziwi, podskakuje, płoszy, wraca! Biada nam! biada! przepadniem! Cóż to za zgraja stworzeń szkaradnych! Jakże ohydna śmierć nam zagraża, od nieprzyjaciół (obmierzłych) plugawych.

B. Co ci się marzy. Mnie chętka bierze zpożyć kilkoro.

D. Śmiałki zawsze kończą smutnie. Historya przykład podaje. I ty zginiesz i ja zginę, niedoznawszy z tego i najmniéjszéj przyjemności.

B. Czytałeś Regula dzieje?

D. Niestety!

B. A Cicerona?

D. Czytałem!

B. Niekażdy mąż wielki naturalną śmiercią umierać musi.

D. Gdybyś mi pierwéj był to powiedział!

B. Zawsze jeszcze dosyć wcześnie.

D. Na tóżeś mi dawał takie nauki? Zawsześ mnie upominał, że człowiek tak żyć powinien, jakby stu lat chciał dożyć? że zawsze porządnym, umiarkowanym— powściągliwym i pod wszelkim względem skromnym być powinien? Nieprzyrzekłeś mi prawéj i nadobnéj żonki, jeśli się tak sprawować będę, jak się nasi panicze niesprawują? A teraz tak haniebnie mam zaginąć? Gdybym pierw był o tem wiedział, tobym tę odrobinę méj młodości przecie jakoś był użył.

B. Nieżałuj, żeś był cnotliwym!

D. Knują zdradę, ostrzą dziuby, ścieśniają szeregi — uderzą na nas.

B. Zabezpieczże sobie plecy, ściągnij czapkę na uszy i broń się — rękawem. Każdy zwierz i błazen, każdy otrzymał od Bogów właściwe sobie środki obrony.

Ptak pierwszy. Nietraćcie ni chwili! To oni! najniebezpieczniejsze wrogi nasze! To ludzie!

Ptak drugi. Ptaszniki? Nieprzebac zcie żadnemu z nich uderzcie na nich rączo; połączonemi siły.

Chór ptaków:

Wykłujcie, wydrapcie, rozrwijcie, rozdróbcie
Rozrzućcie, rozszarpcie, zapamiętałym
Przeklętym ptasznikom
Niezwłocznie oczy bezecne!

Potem uderzcie i bijcie lotami,
Ich lice, i niecne ich usta,
Co nas na zgubę wabiły;
Tłuczcie, mordercze ich skronie,
Aż się słaniając powalą.
Zazdroszcząc jeden drugiemu,
Drzyjcie się, szarpcie łakomie,
O te ich oczka ponętne!
Miotając temi kąskami,
Powoli je spożywajcie!
Dalejże za tym przysmakiem.
Szczęśliwy kto go skosztuje!

D. Któż téj zgrai opór stawi?

B. Jużci nie gołemi dziesięcio palcami. Najlepsi jenerałowie wielbią okopy. Oto tu, mój przyjacielu! jest zbrojownia naszego starego wielko i szklannookiego krytyka. Te sprzęty i zbroje właśnie nam pożądane. Oto jedna, druga i trzecia bella.

(B. i D. księgi i belle jedna po drugiéj znoszą i wystawiają rodzaj barykadów. Na bellów zewnętrznéj stronie napisane być może jakiego oddziału umiejętności są w nich dzieła).

Wszystko nowe dzieła! które powonieniem krytycznie rozbierał. — Oto wielkie encyklopedyczne słowniki, istne kramy literackie, z których każdy w potrzebie w porządku abecadłowym za szelążka nabyć może. — Z dołuśmy zabezpieczeni, bo te drobne napastniki zdają się chcieć na nas uderzyć z najniebezpieczniejszéj strony Trzymaj! trzymaj silnie.

D. Czy jeszcze mam znosić? Ej! powoli się szańcujem w obec naszych nieprzyjaciół.

B. Milczno milcz! to homerycznie!

(Niżéj wyrażone przedmioty, powinny być kolosalne i wpadające w oczy, szczególniéj pióro i kałamarz).

Najprzód weź ten kij sękaty, którym krytyk młode owady odrazu tłucze na miazgę! Weź ten batog, którym on uzbrojony przeciw swawoli, grubiaństwo, grubiańszem czyni! Weź tę dmuchawkę, która szanownym osobom gdy ich dosięgnąć niemoże, do ich peruk kulki gliniane posела. Tem się więc broń przeciw każdemu w sposób właściwy. Weź ten kałamarz i to wielkie pióro, i pierwszemu jasnopióremu gdy się do ciebie zbliży, pomaż skrzydła; bo kto się nielęka niebezpieczeństwa, obawia się być obryzganym. Trzymaj się tego! Nic się niebój, a jeżeli weźmiesz cięgi, pomnij, że tak mężnym jak i tchórzom pewną ich porcyę Bogowie wydzielili.

D. Jam cały sercem.

Chór:

Wykłujcie, wydrapcie, rozrwijcie, rozdzióbcie,
Rozdrapcie, rozszarpcie zapamiętałym
Przeklętym ptasznikom
Bezzwłocznie oczy bezecne.

Pap. Rozważcie przyjaciele moi! Usłuchajcie słów rozumu.

Ptak pierwszy. I tyś tu? Rozedrzeć najpierw zdrajczynię!

Ptak wtóry. Ona ich wprowadziła; wraz z niemi umierać musi.

Ptak trzeci. Przeklęta gaduło!

(*Dziubiąc odpędzają Papugę*).

B. Zdają się niezgadzać. Niemożna im dać odetchnąć.

D. Daléjże! daléj.

B. Ta nacya w dzieciństwie jeszcze. Wiem to od żeglarzow, że podobne ludy pozorną (ułudną) szlachetnością najłacniéj oszukać można. Ja kij rzucę, i ty rzuć batóg! Widzisz jak spoglądają, jak się dziwią?

D. Widzę jak dzióby ku nam zwracają; i grożą srogiem rozszarpaniem.

B. Składam pióro — odsuwam kałamarz — burzę warownie!

D. Czyś oszalał?

B. Wierzę w ludzkość.

D. Między ptakami?

B. Najpierw.

D. Co z tego będzie?

B. Tajnoż ci że obecność wielkiego męża, zjedna mu wszystkich nieprzyjacieli.

D. Jeżeli są głupcami!

B. Dla tego właśnie ja też spróbuję.

D. A więc wreszcie rozpoczynaj!

B. (*występuje*) Tylko na chwilkę, to nagłe, do niechybnéj zaguby wiodące postanowienie wstrzymajcie rozwagę, a wieczną okryjecie się sławą, skrzydlate narody! wy szczególniéj, którzy wśród waszego rodu tem się chlubnie odznaczacie, że nietylko z krzykiem, z wrzaskiem tam i sam latając, powietrze zapełniacie, ale obdarzeni będąc niebiańskim darem mowy i wyrazów zrozumiałych zgromadzać się — wspólnie naradzać i działać zdołacie. Dar to wielki staréj parki, każde przedsięwzięcie

bezrozważne na zgubę znajomych czy nieznajomych podjęte, może nas okryć zakałą, przeciwnie wielce chwalebnie, chociażbyśmy postanowienia nasze za słuszne uznawali, słuchać upomnienia tych, którzy dokładniéj obeznani z tajnemi nam okolicznościami rączym postanowieniom naszym korzystniejszy kierunek nadać umią.

Ptak pierwszy. Dobrze mówi.

Ptak drugi. Wcale ładnie!

Ptak trzeci. Raczéj treści, niż słów słuchajcie!

D. Tu tak zupełnie się dzieje, jak kiedy Francuz w pośród nas (Niemców) się zjawi.

B. Albo wirtuoz wśród dyletantów.

Ptak trzeci. Niedajcie im prawić! pełncie postanowienie wasze. Kto słucha wywodów — podaje się w niebezpieczeństwo ustąpienia.

D. (*do B.*) To ci nic niepomoże.

B. Posłuchaj jak im zaśpiewam (*do ptaków*). Ten szkodą goni, kto czyni co nagle. Jesteście w oczywistem niebezpieczeństwie, wyrządzenia sobie samochcąc ogromnéj szkody — bo w skutek nieporozumienia, zamierzacie zabić waszych krewnych, waszych najlepszych przyjacieli.

Ptak pierwszy. Z nikim z ludzi niemamy ni pokrewieństwa ni przyjaźni. Zginiecie; dobrześmy to rozważyli.

B. A przecie się mylicie; jużci by zupełne niepodobieństwo przewidzieć i rozważyć, tego od żadnéj rady spodziewać się niemożna. My tu zdajemy się być wam nieprzyjaźnymi, a istotnie jesteśmy najlepszymi, najszlachetniejszymi, najbezinteresowniejszymi przyjaciółmi. My niejesteśmy ludźmi — my jesteśmy ptakami!

Ptak drugi. Wy ptaki? Co za bezczelne kłamstwo? Kędyż macie pióra?

B. Pierzym się właśnie. Wszystkieśmy postradali.

Ptak czwarty. Do któregoż rodzaju liczyć się śmiecie?

B. Żeglarze przywieźli nas od południowego zwrotnika. Ten oto jest... otahaitski pośmieciuch podług Lineusza(!)

Monedula riparocandula; a ja jestem z wysp Przyjaźni, krzykuń wielki, jest i mniejszy, ale tamten wcale nie tak rzadki.

Ptak pierwszy. (*Do innych*). Jak wam się to zdaje?

Ptak trzeci. Wygląda zupełnie jak — kłamstwo.

Ptak czwarty. A jednak może być prawdą.

B. Ludzie nam wolność wydarli! — Niegdyś siadywaliśmy, kołysaliśmy się na gałąskach, odziubywali ananasy — gryźli pestki z wisien — łakociki pisango i siemię.

Ptak pierwszy. Ach! jakież to smaczne być musi.

B. Wrzuceni do klatek ochydnych! na nudnych okrętach! Towarzystwem naszem, kapitan ponury, i maitki gbury, strawa zła, smutno, tajemną zawiść podsycające życie.

Ptak drugi. Pożałowania godni.

B. Przybywszy do Europy — jakby potwory byliśmy podziwiani — od osób znamienitych podług upodobania — od mieszczan za cztery czeskie, od dzieci za cztery centy — od uczonych i artystów — gratis.

Ptak trzeci. I mnie też już raz tak mieli!

B. Mniemali, żeśmy obłaskawieni, bośmy, złamani głodem, nie tak jak z razu dziubali i drapali lecz migdałki i orzeszki z rąk ślicznych dam przyjmowali, i po zauszka zwolna skrobać się im pozwalali.

Ptak czwarty. To też zapewnie przyjemne.

B. Próżne zabiegi! My w sercu jak Hanibal, lub jak zemsty chciwy na scenie angielskiéj, nieugięci uciskiem, bez uczucia wdzięczności dla tyrańskich dobroczyńców knuli podwójny, tajemniczy wielki zamiar — względem naszéj wolności i ich zagłady. — Jeśli wolno skromności zwrócić uwagę na własne czyny; o! to mi pozwólcie napomknąć, że każdy skrzydlaty więzień, szczęśliwym się czuje, skoro się drzwiczki jego więzienia otworzą, i nić wstrzymująca go pęknie — a on chyżym polotem

oczom się wrogów usunie. — Lecz my, innego będąc sposobu myślenia gardziliśmy łacną sposobnością zyskania wolności.— Inne zamysły zapełniały piersi nasze, i czekając, pełni otuchy siedzieliśmy spokojnie na bancikach naszych.

D. Pióra rość mi poczynają, jeżeli wkrótce niezakończysz, to się w ptaka przeistoczę.

B. Kto chce zmyślać, powiadają, musi pierw to w siebie wmówić! (*do ptaków*). A co codziennie w oczy nam wpadało, była ich zarozumiałość, ich głupota, ich niezdatność do przedsięwzięcia czegokolwiek, ich próżniactwo, ich rubaszne gwałtownictwo, ich niezgrabne oszustwo. Ach! jakżeśmy często w skrytości wzdychali. Maże to plemie niegodne by go ziemia żywiła, zdradą Prometeusza zyskanego panowania nadużywać, i nieoddać je pradawnym panom — najpierwszemu narodowi?

Ptak pierwszy. Któ jest tym pierwszym narodem?

B. Wy nim jesteście! Ptaki są najpierwszym, prastarym rodem, przeznaczonym od losu być panami Nieba.

Ptaki. Nieba?

B. I ziemi!

Ptaki. I ziemi?

B. Nie inaczéj! Tak jest!

Ptaki. Jak to?

B. Bo nietylko ludzie, ale i Bogowie zatrzymują wam prawnie należącą spuściznę waszą. — Oni zasiedli ojców waszych trony, a wy tymczasem biedni wygnańce, jakby pojedyncze odrośla starego korzenia, na własnéj ziemi, jakby w obcym ogrodzie, jakoby chwast we wzgardzie i poniewierce.

Ptak drugi. Rozczula mnie.

B. Poglądając na was, łzawią mi się oczy. — Królewicz, którego rodzice tronu i korony pozbawieni zostali, a on dla osobistego bezpieczeństwa w walącéj się lepiance rybackiéj żyć nędznie zmuszony — szczęśliwym

przypadkiem, przyjacielowi domu — zacnemu Jenerałowi został odkryty; a ten śpieszy, by go wyszukał — rzuca mu się do nóg — o! nie! nie z większem wzruszeniem uścisnąłbym kolana zapoznanego wzniosłego tego dostojnika, nie z większym prawdziwszym zapałem ofiarowałbym mu życie, wierność i mój majątek, jak się ku wam zbliżam, i od dawnego czasu po raz pierwszy, pełen otuchy i nadzieje zbolałe me serce odsłaniam.

D. Milczą. Łkają doprawdy, ocierają sobie oczy. — Jeszcze rozczulić się dadzą! Takie publikum warte — całusa.

Ptak pierwszy. Niespodzianie nas oświecasz.

D. Takie zupełnie stroją miny, jak bażanty, gdy je przy latarni strzelają.— Jak się ty wywiniesz; w ladaco (trudną) wplątałeś się sprawę.

B. Uważaj, nauczysz się czegoś! — (*do ptaków*). Wiadomo wam będzie, zapewneście czytali!

Ptaki. Myśmy nic nieczytali.

B. (*pochwyca tok mowy w tym samym tonie*). Zapewneście nieczytali, ani wam też wiadomo, że w skutek odwiecznego losu, ptaki są najstarszymi.

Ptaki. Jak nam to dowiedziecie?

D. Ja sam ciekawym.

B. Wcale nietrudny dowód! — Wieszcz Periplectomenes opisując początek wszechpoczątków tak mówi: „I na łonie praświata wewnętrznie pełnem porodów, „leżało jaje początku ruchu i życia czekając“. A więc zkądże się wzięło jaje, jeśli je ptaki niezniosły.

Ptak trzeci. Ogromne musiało być to jaje.

D. Oczywiście ptaka roka, lub latającego smoka.

B. Nie na tem jeszcze koniec, słuchajcie daléj: „A na noc oczekującą — miłość pierwotna i ciepła. Spuszcza się lekko na skrzydłach, i mnóstwo jestestw się lęgnie“. Jasno więc widzicie, bo zkądżeby miłość skrzydeł do-

stała, jeżeli nie od ptaków? — a znowu jakże od ptaków, gdyby ich pierwéj niebyło? — a jeśli pierwéj istnieli, są od miłości starszymi; — a nawet wielu to twierdzi, że miłość sama jest ptakiem. — I cóż wy na to? Co więcéj prastarych Bogów i Boginie, Noc, Ereba, Ziemię przedstawiają wieszcze z skrzydłami; a jeśli który tak ich nieprzedstawia to się oczywiście myli; bo jeśli, jak wam to właśnie dowiódłem, od ptaków pochodzą, to jużci muszą mieć skrzydła.

D. I jasno, i zwięźle.

Ptaki. O nauko oczywista! o pomniku naszéj chwały!

B. Skrzydła ma też czas! to jest Saturnus! — Wtóry ród Bogów panujących, z waszego pochodzi plemienia; jego żona zapewnie niemiała skrzydeł, tak też powstały ostatnie bastardy, Jowisz i jego rodzeństwo i dzieci. — Nie byli obdarzeni skrzydłami, a losy i ptaki nienawidzili ich! — Te więc bastardy jęły się pochlebstwa, biorąc ptaki za swych ulubieńców; by zapomnieli, że mają prawo panowania; Jowisz wziął orła, Junona pawia, kruka Apollo, Wenera gołębia.— Ukochanemu synaczkowi swemu, słynnemu szalbierzowi Merkuremu sam Jowisz dwie pary skrzydeł wynegocyonował. — Umieli się też postarać o skrzydła, dla Zwycięztwa, dla Horów i Snu.

D. To prawda; jam ich wszystkich widział tak wyobrażonych.

B. Co więcéj? Amorka, tego to ptaszka nielada, zdobiła para tęczowych skrzydełek. — On, co jest panem i bogów i ludzi, bezprzecznie jest ptakiem.— On dzierży pradawną władzę plemienia waszego. — A tak więc tylko od ptaków miłość swą wzięła potęgę; — a co jeszcze uwagi godniejszem — to także chcę wam powiedzieć.

Ptak trzeci. Mów daléj! Niezostawiaj nas w niepewności.

D. To zwię prostotą dziecięcą! — Ei! sieci tylko sieci — żaden z nich by mi nie umknął.

B. Gdyby Prometeusz, jako mądry przezorny ojciec miasto słynnemu słomieńkowi, swemu człeku był dał skrzydła, nierównie większą krzywdę byłby Bogom wyrządził! ale też i wam, przyjaciele moi! Dla tego też dziękujcie Losom i Przodkom waszym, że zćmili zmysły jego; bo jakkolwiek w przeróżnych sztukach celowali ludzie, to sztuka latania — jest dla nich daremnem życzeniem, próżnem usiłowaniem; — Niepomni wszystkich swych zalet, stają zrozdziawionemi gębami, gapią na was i zazdroszczą wam, gdy się z niebotycznych skał wznosząc nad nieprzejźrzanemi bujacie lasami. — Wody niewstrzymają kochanków, z rybami pójdą w zawody, lecz wasze Państwo dla nich nieprzystępne, a umiejętności waszych nikt z śmiertelników niepojmie. — Największą dla nich rozkoszą gdy we śnie latać mniemają; a tkliwsi z każdego kąta wśród westchnień ciągle wołają: „Gdyby ptaszkiem być — dwoje skrzydeł mieć!“ — ale nic z tego.

Ptak czwarty. Wrogi nasze zazdroszczą nam.

D. Każdy zazdrośnik wrogiem.

B. Ale w głębi ich serca przewaga zaszczytów waszych niestarcie wyryta; i każde ich pokolenie, nie wiedząc sami o tem, gnie się kornie przed pradawnem prawem wszechwładzy waszéj, przynajmniéj figurycznie.

Ptak drugi. Niepraw nam zagadek! Jasnego chcemy wyrażenia; nielubim namyślać się i zgadywać.

B. Tak jest! Wszystkie ludy oddają wam zgodnie cześć bogom i królom należną. — Mniemają, że niezmiernie wiele mają wyobraźni; a jeśli najcelniejszych wśród siebie z czemś godnem chcą porównać, to się wyżéj niewzniesą jak do — orła. Zwiedziwszy prawie świat cały powinniście wiedzieć —

Ptaki. My nic zgoła nie wiemy.

B. Nigdyżeście niesłyszeli, o owem potężnem mieście? Zawojowało ono świat cały potenczas znany, — a w mieście tem mieszkali tak doskonali ludzie, że każdy późniejszy bohatyr i każdy mąż wielki, życzył sobie, któremu z ich burmistrów, a przynajmniéj ławników — być podobnym; — Rzym to, ów wolny Rzym co królewskiego nad sobą nieścierpiał ponowania, na drągu usadowił orła, a u stóp jego senat z ludem w pokornym napisie (*monogramie*)! — Tego to orła na drągu, nosili Rzymianie przed wojskiem, i szli za nim z odwagą i uszanowaniem, jak jego syny i słudzy. Tak zaszczytnie postępują z wami, a wy — równie jak młodziuchny następca tronu — zdajecie się niepojmować wcale, jakiemi to wrodzonemi zaszczytami wyposażyli was bogowie. Pozwólcie więc łaskawie, że dla wskazania wam tego, użyję na wskazówkę — waszych nosów.

Ptaki. Czyń co, i jak chcesz.

B. Dawnoć to, bardzo dawno, jak z potęgi Rzymu i jego świetności zaledwo kilka cegieł pozostało. — Ale inne narody hołdy wam téj czci oddają, która was nigdy minąć niemoże. — Na północy jest teraz wyobrażenie orła, w najwyższéj czci i uszanowaniu, wszędzie je zoczyć możecie; jakby przed świętym lud korne bije pokłony, choć go byle bazgracz namaże, lub byle partacz ustruże. Czarny — korona na łbie, rozdziawił dziubas, wywiesił język czerwony, i parę gotowych szponów wyciąga. Tak broni dróg, i jest postrachem przemytników i zbiegów. — Ktokolwiek nań spojrzy, wnet go dreszcz zgrozy przejmuje. — Cóż dopiero mam mówić o dwugłowym?

Ptak pierwszy. Nieprawcie tak zaszczytnie o tym orle, my za nim nieprzepadamy wcale.

B. Zaszczyt to wspólny wam wszystkim. — Bo gdy książęta i królowie, siebie i swoich od reszty pospolitszych szczególniéj chcą wyróżnić, to wybierają jakiego

ptaka, i wyszywszy postać jego złotem i srebrem, na piersi noszą. — A nawet, przymocowują was na złote lub diamentowe krzyże (największa to chwała jakiéj ktokolwiek dostąpić może) i noszą was przyczepiwszy do dziurki guzikowéj w bliskości serca.

Ptak drugi. Cóż nam nada ta cześć doczesna, to próżne uszanowanie przez które raczéj samych siebie niż nas wysławiają? Bogi i ludzie posiedli państwo nasze, a my jak obcy przybysze błąkamy się pomiędzy niebem i ziemią.

B. Bynajmniéj, moje dziateczki! Władzęście im zostawili; lecz ojczyzny waszéj — lecz państwa waszego zająć niezdołają.— Wolne są jeszcze jak były pierwotnie.

Ptaki. Wskaż je nam.

B. Idę z wami.

Ptaki. Wiedź nas tam!

Ptak trzeci. Jestże tam siemię? są że migdałki?

Ptak czwarty. Wszak i robaczków przecię niebraknie?

Chór.

Wiedź nas tam wiedź!
Tam będziem skakali,
Pełni radości,
Łakocąc furgali;
O szczęśliwości!
Migdałki chrupać,
I siemię łupać,
Dzióbać robaczki,
O to niefraszki!
Wiedź nas tam wiedź!

B. Wszak w niem jesteście!

Ptaki. On szydzi z nas bezczelnie!

P. Przystąpcie bliżéj! — Stańcie tu! a teraz obejrzejcie się! Spojrzyjcie do góry! Cóż tam w górze widzicie?

Ptak pierwszy. Obłoki, i rozpostarte niebo odwieczne.

Ptak trzeci. Wszakże ono nie od wczoraj?

D. I ja tak sądzę! Nielękam się też jeszcze o niego.

B. Tam na wysokościach, jak to jest wszystkim wiadomo, od wielu tysięcy lat mieszkają bogowie. — Spoglądnijcie na dół cóż tu widzicie?

Ptak drugi. Między niebem i ziemią?

B. Nie inaczéj.

Ptaki. No! cóż? jużci — nic niewidzim.

B. Nic niewidzicie! a toście prawie tak ślepi jak ludzie! — Niewidzicież téj bezmiernéj przestrzeni rozleglejszéj niż górne i dolne sfery — tego ogromnego kraju, który z wszystkiem graniczy, tego powietrzno wodnego jeziora, które wszystko otacza, tego eterycznego przybytku, tego wśród światów ogromu umieszczonego państwa.

Ptaki. Cóż to wszystko ma znaczyć.

B. A cóż ma znaczyć? Powietrze! — Któż je zamieszkiwa, jeżeli nie wy? kto w niem żegluje? któż buja w tym przestworze, wzlatując z miejsca na miejsce? — komuż? jeżeli nie wam należy.

Ptaki. Ani nam to na myśl padło.

P. A latacie w niem.

Ptaki. Ależ jak to począć sobie.

P. „Połączonemi siłami" to wielkie dzieło, rozpocząć należy, założyć miasto, mocnym murem cały eter otoczyć, utworzyć wojsko regularne; dobrze obsadzić granice, zaprowadzić cła, akcyzę, i tak wyżywienie bogom i ludziom utrudnić.

D. Tam będzie mnóstwo urzędów do rozdania; będę mógł wszystkich mych przyjacieli i krewnych umieścić.

Ptak drugi. Ale Jowisz grzmieć będzie!

B. Niedamy mu błyskawic z Etny, chyba za ogromną opłatą wywozową, a zbudujem też wieżę piorunową. — Dla orłów, rzecz to wcale nie nowa. — Nieprzepuścim i kadzeń ofiarnych, bez opłaty cła przewozowego.

Ptak trzeci. Ale czy oni spokojnie na to patrzeć będą?

B. Wy niewiecie co się tam w górze dzieje. — Ubezpieczeni staremi od dawna nienaruszonemi prawami siedzą ospale na tronach swoich, odwykli od wszelkich trudów, i stawienia odporu, znienacka więc napaść i łacno pokonać ich można.

Ptak czwarty. Lecz ludzie? ich proch, kule, sieci?

B. Ludzie? Oni w kłopotach nielada! Między nimi wojen, utarczek, szykanad bez liku; nikt z nich daléj, niesięga myślą, jak do dzisiaj; — a choć który z ich sąsiadów ubezpiecza się i zbroi, niełacno dostrzega w tem coś złego. — Jeśli się nam sprzeciwią to ich przemożem, jeśli się poddadzą — to wcale dobrze dziać się im będzie; lepiéj niż teraz! — Postąpim sobie z niemi, jak każdy zdobywca, żyjących zabijem, dla dobra ich potomstwa.

Ptak czwarty. A przystanąż na to?

B. W naszym są ręku. — Odkupim od Bogów deszcz, założym wielkie cysterny i pojedynczo wynajmować je będziem ziemianom w czasie posuchy, ile który z nich do pola lub ogrodu potrzebować będzie. To jest tylko zarys planów mych wielkich; — bo szczegóły nieprzejrzane. — Krótko mówiąc, będziecie Panami! — Z Bogami postąpim sobie jak z starymi krewnemi — którzy z wygnania wrócili, z ludźmi, — jak z zawojowanym krajem, z źwierzętami — szczególniéj z insektami, które w państwie naszem żyć muszą, jak z niewolnikami n. p. tak jak Turcy z Rajasami; — Anglicy z Indyanami.

Ptaki. Tylko natychmiast — natychmiast.

B. Zaraz, zaraz! ale to tak prędko nieda się uskutecznić. Rozważcie dobrze! Wybierzcie z tuzin, lub ile chcecie z grona waszego, na wasz koszt, którzyby to wielkie dzieło „połączonemi siłami“ dokonać się podjęli.

Ptaki. Bynajmniéj! Tyś nam plan podał, ty go wykonaj! — Bądź nam doradcą, przewodnikiem wodzem!

B. Zawstydzacie mnie.

D. Namyślasz się?

P. Bądź spokojny, los nasz już zabezpieczony.

Ptaki. (*wskazując* **D.**) A ten? co po nim? Maż tu zostać? Przydaż się on na co?

P. On jest niezbędnym!

Ptaki. Cóż ty umiesz — ? w czem lud przewyższasz?

D. Umiem świstać!

Ptaki. Ślicznie, ślicznie! o jakiż to przedziwny — niezbędny obywatel.— Od dziś my ludem szczęśliwym! — (do **B**). Ty nami rządź, a on niech śwista! Już nam na niczem niezbywa!

P. (*zawstydzony*). Czy tak być ma?

Ptaki Przyjmujesz?

P. (*kłania się*).

Chór.

Dotrzymaj słowa!
Dzierż kraj panowanie,
My twoimi poddanymi,
Uczyń nas dumnym Bogom,
Dumniejszym ludziom równymi.

EPILOG.

Pierwszy co treść téj pociesznéj gawędy
Arcydowcipnie na scenę wprowadził,
Był Arystofan, Gracyj pieszczoch psotny.
Jeśli zaś wieszcz nasz, który szczerze pragnie,
W podobny sposób i śmiech na godzinkę,
Jak i na chwileczkę rozwagę w was wzbudzić,
W tem albo owem niechcący przewinił,
To was najszczerzéj, ustami mojemi
O przebaczenie łaskawe uprasza.
Będąc słusznymi, przyznać mu zechcecie,
Że skok z Atenów aż do Etherburga
Jest istnem salto mortale.
Oraz zapewnia was, że osławione
Żarty owego znanego psotnika
Z taką skromnością i dobrodusznością
Wznowił, że pewną nadzieję mieć może,
Zyskania waszych najłaskawszych względów.
Chciejcież rozważyć, wszak rozwagi chwilka,
Każdemu z ludzi przydatną być może;
Że równa sprawa z żartem jak i raną,
Którą zadając, mimo szczerych chęci,
Rozmiaru, ściśle oznaczyć nie można.
Teraz w krótkości poniekąd wstęp tylko
Całego dzieła, na próbkę podajem;
Ale jeśli się podobać wam będzie,
Nieomieszkamy, ile zdolność starczy,
Dalszy tok sprawy téj, jakkolwiek dziwnéj,
Jednak istotnéj — obszerniéj wyłożyć.

LESZEK KOŻUCHOWSKI.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

O LITERATURZE LUDOWEJ

i

WYCHOWANIU LUDU.

Nigdy tyle, co dzisiaj niezajmowano się pisaniem dla ludu; chociaż rzeczywiście trudno wiedzieć jakie jest praktyczne zastósowanie tego wielkiego słowa. Jeżeli przeznaczeniem tych pism oświecać ogładzeńszych mieszkańców miast i miasteczek, rzemieślniczą klasę, tož sługi i czeladź domową, która ocierając się o dwór zaczerpnęła z jedynego źródła oświaty, i po większéj części umie czytać, lub rozumie co jéj czytają — to mogą się stać dość pożyteczne, przez umiejętny wykład obowiązków stanu i zatrudnienia, przez umoralnienie i oświecenie w przedmiotach odnoszących się do życia i do wznioślejszych celów, ku jakim człowiek zmierzać powinien. Lecz w takim razie byłaby to zaledwo połówka

tego znaczenia jakie do wyrazu *Lud* przywiązujemy; co się niezgadza z intencyą piszących w duchu ludowym, ci bowiem wyłącznie zdają się mieć na myśli lud wiejski: malują jego obyczaje, zatrudnienia, chwytają sposoby mówienia, wyszukują strony idealnie pięknych charakterów i szlachetnych postępków; słowem romansową sielanką chcą go nietylko w oczach warstw wyższych, ale w jego własnych uzacnić. Niema nic w tem nagannego, bynajmniéj; ale też znowu niéma nic tak godnego podziwu. Piśmiennictwu tylko przybywa nowy rodzaj, tak samo jak przybył w epoce romantyzmu, gdy opiewano zamki, rycerze błędne, turnieje, olbrzymy i karły zaczarowane.

Utylitarna, praktyczna strona tych pism ludowych, w każdym razie najważniejsza, wydaje się mi być jeszcze bardzo wątpliwą.

Dla czego? Odpowiedź na to krótka: bo lud wiejski wzięty ogółem nieczyta, nielubi czytać, niechce czytać; nieczuje potrzeby oświecania się. Jest to zapewne stan tylko przechodni, odnoszący się do obecnego pokolenia a w części i do pokolenia idącego po nim; niewidać bowiem żeby około młodych latorośli więcéj było pieczy, lub żeby mądra i głębsza myśl przewodniczyła wychowaniu ludu wyzwolonego z tylo wiekowéj opieki. Surowizna naturalizmu zdaje się więcéj przemagać niż kiedykolwiek. Wpływ zatem pism robionych wprost dla ludu, i tych które polecają go opinii, lub na nim opinię swoją gruntują, nieprzechodzi po za sferę zwykłych czytelników. Wszystkie jednakże mają to dobre, że zwracają nań uwagę, zniewalają zajmować się nim, aby się wcielił w ogół narodu, czyli mówiąc wyraźniéj żeby wszedł na drogę cywilizacyi nowoczesnéj. — Sama myśl zwrócona ku téj stronie, daje rękojmię że środki mogą się znaleść skuteczniejsze, niż dotychczasowe, przez pismo.

Bywają położenia, osobliwie w chwilach przesileń społecznych, kiedy dawne węzły osłabły lub się porwały— że lekkim, niekosztownym środkiem, który może być skutecznym w normalnym stanie, niewiele da się wykonać. Dzielność wpływu pisanego słowa niezaprzeczona w naturalnym rzeczy porządku, staje się bardzo wątpliwą, kiedy ma iść w zapasy z surowemi żywiołami, które żeby w ład przywieść czegoś więcéj potrzeba jak drukowanéj bibuły po najtańszéj cenie. Zastanawiając się nad tem, zawsze mi staje w myśli ów średniowieczny, urodziwy, bogaty, wykształcony młodzieniec, co wziął za panią swoich tajemnych myśli — Ubóstwo, co ukochał ludzkość ukrzyżowaną, cierpiącą, wzgardzoną, i zrzuciwszy publicznie szaty swojego stanu, przywdział płaszcz żebraczy. Tłum widząc go przechodzącego boso, w biednem odzieniu, po placu miasta którego był ozdobą, poczytał go za szaleńca i ciskał nań błotem i kamieńmi. A tymczasem robiąc się ubogim i zakładając zakon poświęcony dobrowolnemu ubóstwu, uświęcał ten stan najbardziéj poniżony i wzgardzony między ludźmi, i pokazywał przykładem że w nim można znaleść pokój, godność, szczęśliwość. Przez tę ofiarę ukoił nienawiści ubogich godząc ich z majętnymi, i że tak powiem zazdrość i łakomstwo w sercach podkopał. Stara wojna między tymi co posiadają, a tymi co nieposiadają, straciła swoją zaciętość, przez co wzmocniły się osłabione węzły społeczności chrześciańskiéj. — Ów tedy szaleniec — a był nim ś. Franciszek z Assiżu, stał się najgłębszym politykiem — bo kiedy Platon niemógł znaleść pięćdziesiąt rodzin gotowych przystać do jego idealnéj republiki, cichy sługa Boży w ciągu lat dziesiątka liczył pięć tysięcy zaciężnych pod chorągiew tego szczytnego heroizmu, co w wieku niezgód i nienawiści umiał w ogniu miłości Boga zapalić miłość do ludzi.

Na wielkie choroby, wielkie lekarstwa; dla tego dałem ten przykład, żeby pokazać różnicę środków; a tem samem niełudzić się wątpliwym wpływem pism popularnych na wychowanie i ukształcenie ludu wiejskiego. Co więcéj, odważyłbym się nawet utrzymywać, chociaż to na paradox zarywa, że ten zwrot piśmiennictwa do popularyzowania się, więcéj uszczerbku, jak rzetelnéj przynosi korzyści przynajmniéj dla literatury.

Rozumiem to w ten sposób. Większa część piszących zasadza popularne pisanie na tem, aby okruszynki swojéj wiedzy, swoich pojęć, rozrabiać w powodzi słów bez barwy i życia, w mniemaniu że natem zasadza się warunek jasności, niezbędnéj dla prostaczków. Ależ zaniedbane, nudne tłumaczenie się nie jest jasnością; jak również używanie sposobów mówienia tak zepsutych jak n. p. na Szlązku, nierobi ludowego stylu nader ponętnym. Kto czytywał *Gwiazdkę Cieszyńską*, mógł się o tem przekonać. Nadto jeszcze wiele osób nabrawszy mylnego przekonania, że dla ludu trzeba tak pisać jak się gada, chociażby od gadaniny puchły uszy, — pisze co pióro przyniesie, niezastanawiając się nad tem że dla prostaczków, dla których jedna książka może wystarczyć na całe życie, trzebaby owszem ważyć każde słowo, aby się niestało zgorszeniem, każdą myśl roztrząsać w sumieniu aby była dobrą przed Bogiem i ludźmi, a udzielając wiadomości, wybierać takie co dają i zewnętrzne i wewnętrzne światło, co prostują mylne fakta i zdania a pod żadnym warunkiem fałszywych nierozszerzają Nieradbym przytaczać przykładów, i wytykać podobnych błędów, bo każdy światlejszy czytelnik, mający znajomość kraju i jego historyi sam z łatwością na nie napadnie, tak są uderzające. W krajach, gdzie wpływ popularnych książek i dzienników, nie jest bez znaczenia, podniesionoby zaraz te niestósowności; u nas to uchodzi płazem, bo we wpływy tego rodzaju niewiele wierzymy,

choć je popieramy. Najlepsze intencye mało tu pomogą, kiedy się rzecz rozbija o zupełnie inne usposobienie wiejskiego ludu; co pokazuje, że środek oświecenia go przez pismo, nie jest u nas tak praktycznym ani korzystnym jak gdzieindziéj być może. Nietrudno tu o dowody, wszakże jeden przytoczę, bo mi się wydawał bardzo gruntowny.

W okolicy górskiéj, gdzie lud w przyrodzenia bystrzejszy, mający nawet wiele pociągu do porządniejszego życia; polerowniejszy bo znający świat daléj, niż za granicę wioski; przytem umiejący czytać, bo we wsi jest szkoła — znalazł się ksiądz interesujący się szczerze umoralnieniem i oświatą powierzonéj mu trzódki. Niewątpię że takich duchownych, i takich dawnych dziedziców, niebrak po różnych stronach kraju; a chociaż nie siedzą gęsto, jednak tu i owdzie spotkasz człowieka co myślą i sercem ogarnia tych maluczkich aby w nich zaszczepić miłość Boga i ludzi. Ów tedy ksiądz pragnąc przyjść w pomoc swoim parafianom, przyjechał do Krakowa, wybrał u księgarza najpożyteczniejszych jakie sądził książek dla ludu, i z całym zapasem wziętym na kredyt, powrócił do domu. Co daléj się stało? powtórzę wyrazy jego listu: „Na kazaniu w niedzielę zapowiedziałem z ambony że przywiozłem z Krakowa książek do czytania, a ktoby chciał takowe kupić, dostanie je po niższéj cenie, i z dogodną każdemu wypłatą. Było tam wiele książeczek przystępnych najuboższéj kieszeni; wiedziałem bowiem z doświadczenia że wieśniak tylko na książkę od nabożeństwa wyłoży większą sumę. Po nabożeństwie zebrał się u mnie ludek gromadnie, chwytali książki, sylabizowali, i pobrali niektóre z tym dodatkiem: na bórg dobrodzieju, niemam przy sobie.— Dawałem chętnie z przestrogą: że niepowalaną przyjmę napowrót. Otóż po tygodniu, na następną niedzielę, odnieśli, ale nie pieniądze, tylko książki, mówiąc: niema

tu w tem nic; szkoda kilka groszy, bo cóż to z tego? Mocno skonfundowany, poodbierałem książki i westchnąłem, że ten sam lud któremu wódka niedroga, chociaż dla niéj rujnuje nieraz całe mienie, ten sam lud gdy mu przyjdzie wydać kilka krajcarów za książkę budującą, skrytykował ją, że w niéj nic niema. A jednak na każdym odpuście widzisz chłopków naszych oblegających stragany przekupniów i przepłacających takie ramoty, jak: Płacz ś. Ojców, Echo piekielne; Rozmowa Bartosza z gorzałką itp.“

Cóżby o tem myśleć? Jakie wyciągnąć wnioski? — Oto że nawet w okolicach, gdzie włościanie najbardziéj są posunięci w oświacie, to jest umieją czytać i ruszać się, — nauczanie ich za pomocą książek znajduje opór w nich samych. Jeszcze niedoszli oni do tego aby w rubryce ich wydatków mieściła się pewna kwota na książki, w czem nie są gorsi od wielu rodzin szlacheckich, gdzie ten artykuł niestał się dotąd domową potrzebą. Jeżeli zaś, jak powiada ów duchowny, lubią nabywać u przekupniów niedorzeczne szpargały mające ustaloną wziętość, to w pewnym względzie naśladują także klasę ucywilizowaną, która wielce smakuje w lekkiem, często gorszącem piśmiennictwie francuzkiem.

Dla tych więc okolic gdzie jest pociąg do kształcenia się między ludem wiejskim — a są to nieliczne oazy— wydawanie książek popularnych i dziennika, miałoby korzystne zastósowanie, o tyle, o ileby takowe przychodziły za darmo. Ten rodzaj ofiary nie jest u nas rzadkością. Nietrudno znaleść- obywateli powodowanych żywą miłością wiejskiego ludu, zawsze gotowych obdarzać go dobremi książkami z którychby się budował i oświecał w najniezbędniejszych rzeczach. Książka otrzymana darem, może rozbudzić potrzebę późniejszego nabywania jéj.

Jak zaś dalece nie jest obcą między nami myśl wychowania i wykształcenia wieśniaka, do tego nowego peryodu cywilizacyi świeckiéj do jakiéj przeszedł zbiegiem niezależnych od niego wypadków — mamy liczne dowody w ogłoszonych nagrodach za najlepsze książki popularne. Przed rokiem hr. Piniński oznaczył premium za napisanie popularnych dziejów; teraz znowu p. Michał Mrozowicki ogłasza podobny konkurs do napisania dziełka dla ludu. — Pierwsze zadanie rozwiązanem zostało, lecz czy w sposób odpowiedni? Nieumiem powiedzieć, z tego jedynie względu że niewiem jaki skutek wywiera ta książka, czy ją wieśniak czyta z zajęciem; czy ją rozumie? Bo że jéj niekupi dla nieprzystępnéj ceny, to więcéj niż pewność. Pozostaje droga ofiary, o którą jak mówiłem, nietrudno u nas.

Tutaj przychodzi mi jeszcze jedna uwaga co do praktycznego rozpowszechnienia dobrych pism. Mam to przekonanie że gruba księga, wymagająca wiele czasu, aby ją przeczytać, zawsze będzie dla klasy pracującéj fizycznie, mniéj dogodną jak krótki jaki traktacik dający się prędko skończyć i łatwo objąć. Głowy nienawykłe do myślenia, niełatwo znoszą natłok faktów lub wyobrażeń przewijających się w książce, osobliwie historycznéj; im potrzeba całości skończonéj, a prostéj; jednéj prawdy, któraby się zobrazowała że tak powiem, w jednym rysie. Dla tego forma czasowego pisemka, może byłaby stósowniejszą niż książka, zwłaszcza jeżeliby umiano zainteresować wieśniaka aktualnością, którą bardziéj się interesuje, niżby się zdawało. Podczas przeszłorocznéj wojny we Włoszech zdarzyło się, iż niektóre gminy zaprenumerowały sobie *Czas* i czytywały go przez ciąg trwającéj kampanii. Pismo to niemające ani ceną, ani sposobem pisania pretensyi dziennika ludowego, było przecież w ręku wieśniaków, z tego jedynie względu że opowiadaniem zdarzeń na polach

bitew gdzie walczyli synowie lub krewni naszych włościan, pobudzało ich ciekawość. Na téj opierając się próbie, bo tu metoda doświadczalna więcéj waży niż najpiękniéj osnuta teorya — byłbym za formą małego dzienniczka, któryby żywotnych i bieżących pytań dotykał, niepomijając i takich przedmiotów coby działały na uszlachetnienie uczuć, podniesienie myśli nad zwierzęcy poziom.

Dzwonek wychodzący we Lwowie, bez pochlebstwa nazwałbym najlepszem z pism jakie były w rodzaju popularnym. Powiastki są tam krótkie, żywo opowiedziane, z sensem praktycznym; mogłyby one korzystnie wpływać na umoralnienie, gdyby mieć przekonanie że się dostają do rąk wiejskiego ludu. Nierzadko też spotkać się tam z lepszą znajomością natury wieśniaka; jego wyobrażenia, wady, narowy, dobre i złe skłonności są żywcem pochwycone, i sprostowane w sposób zrozumiały dla niego. Bywają tam i drobne wiadomości o przypadkach pożarów, o wdzięczności włościan ku dawnym panom, o zręcznych rzemieślnikach wiejskich i inne rzeczy bieżące. Czegoby życzyć należało to dobrych rad gospodarczych; to zrozumiałych wyjaśnień niektórych rozporządzeń rządowych; między innemi wytłumaczenie znaczenia gminy i urządzenia jéj — kiedy takowe nastąpi.

Wszystko to może zainteresować — a to najgłówniejsze zadanie aby znaleść sposoby zainteresowania pogrążonych w ciemnéj bierności. O każdym zaś przedmiocie należy dawać wiadomość zupełną i dokładną — a bynajmniéj taką jaka była *O chowie koni* p. Krzeczunowicza, gdzie redakcya odesłała swoich czytelników do samejże książki. Jeżeli to w rzeczy saméj praktyczna książka, lepiéj daleko było zrobić z niéj dobry wyciąg.

Niebrak u nas — jak się pokazuje, chęci i sposobów dzielenia się z włościaninem wszystkiemi zdobyczami

umysłowemi, toż wyobrażeniami i uczuciami moralnemi, jakie wielowiekowa kultura rozwinęła w klasach wyższych. Upatruję tylko niedostateczność jedynego środka najwięcéj używanego, jakim jest słowo drukowane. Prawda, że ten środek ma za sobą praktykę w innych krajach uznaną; lecz co tam dobre jest dla ludu wiejskiego oddawna w innych warunkach i inaczéj usposobionego, to u nas nie na wiele może być przydatnem; a ma to jeszcze do siebie, że pozornem zajęciem, uwalnia niejako od użycia dzielniejszych i gruntowniejszych, a nawet naturze ludu wiejskiego odpowiedniejszych środków. Pochopne do pisania pióro naślizgawszy się po papierze, jestże w stanie mierzyć się z pracą ustnego praktycznego nauczania, jaka zawsze ciężyła na stanie duchownym, któremu winien lud nasz wychowanie swoje robiące go najlepszym ludem, dopokąd niezmieniło się jego położenie? Można śmiało powiedzieć, że jeden tylko kościół zrobił naszego wieśniaka uległym, cierpliwym, wierzącym, bogobojnym; on utrzymywał w nim cnoty towarzyskie, on kazał szanować rodzinne związki, wpajał ludzkość; bojaźnią kar wiecznych powściągał namiętność i występne skłonności... W okresie wyzwolenia go z pod opieki dziedzica, téj cywilnéj powagi, zachwiała się i powaga duchowna. Wpływ kościoła ustąpił przed świeckiemi wpływy państwa.... Dziś w szkółce wiejskiéj zamyka się przyszłość ludu; jak go tam wychowają, takim będzie.

Niedarmo szkółki elementarne poczytywano zawsze za najważniejszy przedmiot obchodzący zarówno ludzi stanu, jak tych, co mają pośredni lub bezpośredni wpływ na koleje społeczeństw. Jeżeli bowiem początkowe nauczanie jest dobrze kierowanem, jeżeli religia i obyczajowość mają tam przewagę, wyjdą z nich oświeceńsi i mniéj występni ludzie, chociaż w skromnym swoim za-

wodzie zaledwie będą mogli zatrzymać tę odrobinę wiedzy, jaką w młodocianym wieku nabyli.

Jeżeli z trudnościami trzeba walczyć aby szkółkę założyć i zniewolić wieśniaka do posyłania dzieci, to nierównie trudniejsze zadanie, znaleść zdolnych i w obowiązku sumiennych nauczycieli. Kto się temu z bliska nieprzypatrzył, niedomyśli się nawet, żeby pokazywać litery, wykładać pierwsze zasady katechizmu i moralności, uczyć pisania i rachunku było tak wielką rzeczą. Tymczasem codzienne doświadczenie przekonywa, że te szkółki pod opieką świeckich rządów rzadko gdzie odpowiadają swemu przeznaczeniu.

Nauczanie dziecka wymaga daleko więcéj pracy, rozsądku, taktu, niż go mogą mieć ludzie oddający się stanowi nauczycielów wiejskich. Po większéj części bywają to zdesperowane istoty którym się niepowiodło w najskromniejszych zawodach, ekonomów, pisarzów gorzelnianych i pokątnych, a nawet lokajów. — Pewnego razu spotkałem takiego nieszczęśliwego jak stojąc przed gankiem narzekał że próbował różnych funkcyi, a nigdzie niemógł zagrzać miejsca, chociaż ani pił, ani się dopuścił żadnego występku. — Cóż zrobisz ze sobą? zapytałem. — Chyba pójdę na nauczyciela do szkółki; zdaje się że to będzie właściwa dla mnie posada, bo już godzinami uczę chłopskie dzieci czytać i pisać i dobrze mi idzie. — Patrząc w twarz jego obumarłą, napiętnowaną idiotyzmem, i na ten uśmiech głupkowato-melancholiczny wdzięczący się do bakalarskiego zawodu, zadumałem się nad przyszłością całéj generacyi wioskowéj, którą ten człowiek wychowa, i przyszedłem do przekonania że owa dziatwa pozostawiona matce naturze daleko lepiejby się wychowała. — Dla tych to przyczyn większa część szkółek niczem nie jest tylko zbiegowiskiem dzieci, które wrzeszczą, płaczą, czytają, piszą, ale się nieoświecają.

Wiemy jaka jest trudność w znalezieniu ludzi religijnych i moralnych w téj klasie co się poświęca zawodowi nauczycieli elementarnych. Zazwyczaj kiedy wszystko inne zamknięte przed nimi, bakałarzują, żeby nie umrzeć z głodu. Gorszące życia przykłady wymowniéj działają na umysły uczniów, niż najszczęśliwiéj aplikowane sposoby łatwego nauczania. Zresztą, choćby taki nauczyciel dla własnego interesu, lub z obawy utracenia posady, odznaczał się gorliwością w przestrzeganiu porządku, i w udzielaniu nauk — to prędzéj późniéj, kiedy się zabezpieczy w opinii, wziętość sobie pozyska, a i grosz jaki złoży — pofolguje i sobie i dzieciom, i goniąc zyskowniejsze cele, szkołę zaniedba, a przynajmniéj nigdy się na nic niezdobędzie, coby wymagało jakiegokolwiek poświęcenia się dla szkoły; — a właśnie żaden obowiązek tyle co nauczycielski, niewymaga większych usiłowań, cierpliwości, pilności, chyba jedna piecza około chorych Już poznano się na tem we Francyi, i ucieczono się do jedynego sposobu zaprowadzenia kongregacyi religijnych mających na celu wychowanie i uczenie ubogich dzieci. Któż niewié że płaca nie jest dostatecznym środkiem do wzbudzenia w sercu człowieka odwagi oddania się zawodowi pełnemu trudów i przykrości? Że do tego stanu potrzeba zaprzania się, nie ze światowych, lecz z nadziemskich płynącego pobudek. Kościół obfity w miłosierne zakłady, sam jeden potrafiłby wydać ludzi poświęcających się wychowaniu i uczeniu dziatwy wiejskiéj. — W dzisiejszym stanie społeczeństwa ani myśleć, żeby w innéj jakiéj klasie znalazła się dostateczna liczba nauczycieli wiejskich coby umieli łączyć przymioty swojego stanu, z nienagannem życiem, i światłem uczuć chrześciańskich. — Powierzając nauczycielstwo członkowi kongregacyi religijnéj, niema obawy aby młode serca skażone zostały niewiarą, lub zgorszone przykładami zepsucia, i złych nałogów. —

Zakonnik podległy niezmiennéj regule, władzy przełożonych, pilnowany przez swoich towarzyszów, zmuszony jest dobrze się prowadzić, nawet wtedy, gdyby niesłuchał przestróg własnego sumienia. Pod takim przewodnikiem i dziecko od lat najmłodszych przywyka uważać czynność nauczycielską nieodłączną od obowiązku religijnego, a przytem uczy się co mu wiedzieć potrzeba w jego zawodzie doczesnym, jak również zaciąga obowiązek czuwania nad dusznem zbawieniem. Błogie te zasady i nawyknienia wpojone dziecku, choćby odbiegły w dalszym ciągu życia pod naciskiem namiętności i złych przykładów, choćby umilkł głos anioła lat dziecięcych, to w późniejszym wieku po wielu doświadczeniach, na zgliszczach namiętności, tem pewniéj puszczą dobre ziarna, raz w jego sercu zasiane.

Rzuciłem tę uwagę o szkółkach elementarnych i o nauczycielach, w téj myśli, aby pokazać od kogo zawisło przyszłe wychowanie i cywilizacya wiejskiego ludu. Jest to tak ogromne zadanie, że zadrukowawszy choćby największą ilość papieru, i rozpuściwszy za darmo cały rozum najlepszych autorów, nie byłoby takowe rozwiązane, nawet w drobnéj cząsteczce. Czemu? Oto bo wrażenia które prosty człowiek przyjmuje przez pismo, są przemijającéj natury; przeciwnie te, jakie wyciska na nim pierwotne wychowanie, zostają na całe życie. Oto nareszcie, że na pisma bywają pisma. — Moralizujesz, starasz się oświecić, przekonać, unieść ku dobru i cnocie; jużci się zdaje że masz czytelników po sobie— kiedy ukazuje się przewrotne jakie pisemko podkopujące najświętsze zasady, a że tyle mieści się w niem bezczelności i złéj wiary ile właśnie potrzeba aby prostakom głowę zawrócić — więc i robota twoja zburzona. Nieprzeczę, pisane słowo mogłoby zbawienne przynosić owoce prowadząc daléj dzieło pierwotnych szkółek — ale gdzie rękojmia, że wszyscy ci co biorą pióro i piszą

dla ludu, mają uczciwe zamiary i głębokość religijnych przekonań?—Obawa to niepłonna i nie daleko szukać dowodu — dość wspomnieć na ową kilkokartkową legendę latającą po odpustach i cudownych miejscach, która w szacie pobożnéj modlitwy dawała absolucyę na występki i zbrodnie. — Zapewne zwierzchność każdego kraju duchowna i świecka czuwa aby się coś podobnego nie działo — lecz złość ludzka ma zawsze swoje sposoby, które jednakowoż mniéj byłyby szkodliwemi jeśliby znalazły odpór w umysłach religijnie oświeconego i wychowanego ludu.

Lucyan Siemieński.

KRONIKA.

Kraków w lutym.

Cicho i głucho przeminął karnawał. Zbyt ważne i poważne były to czasy, aby zachęcały do głośnych zabaw; lecz za to post daleko więcéj był ożywiony, a lubo nie bawiono się, wszelako zajęcie obudzone zjazdami obywatelskiemi podniosło o wiele więcéj umysł, niż nawet wesołość i rozrywka. Zresztą, czyż kiedy wesołość panuje na salach zabawy? Te konwencyonalne zebrania, na które się uczęszcza, te również konwencyonalne tańce w których młodsze pokolenie bierze udział, niemają w sobie iskry wewnętrznego ognia, któryby cały umysł zajmował i całemu ciału ruch nadawał. Dziś rozmawia się tylko ustami, a tańczy się nogami. W rozmowie pewne utarte już wyrażenia, pewne formułki, pewne dowcipne słówka z ostatnich felietonów francuzkich pamiętane, przesuwają się tak jak owe karty jednéj talii, — które się tasują za każdem rozdawaniem, by nie szły ciągle jednym porządkiem. W tańcu nie inaczéj idzie: ani w nim charakter tanecznika ani jego zwinność i zręczność niemoże wyjść z za obrębu wskazanego pra-

widłem. Pod naciskiem téj ujednostajniającéj rutyny zniknęły najpiękniejsze cechy dwóch najwymowniejszych mimicznych tańców: poloneza i mazura. Ależ nie o karnawale mówić tu należało.

Posiedzenia towarzystwa naukowego — posiedzenia towarzystwa rolniczego — posiedzenia towarzystwa ogniowego nastręczały bardzo rozległy i wielostronny przedmiot zajęcia w ciągu ubiegłego miesiąca. Dwa ostatnie przewyższały oczywiście pierwsze ważnością swoją bezpośrednią, bo dotykały najżywotniejszych interesów prywatnych i publicznych, a jako nastręczające pole do zapasów i wymiany zdań i przekonań, podniecały do żywszego myślenia zobojętniałe i zaspałe w długiéj bezwładności umysły, rozwiązały usta długiem milczeniem skołczałe, a ztąd bez względu nawet na swój cel i przedmiot wyłączny, miały także ogólniejsze społeczne znaczenie. Tam gdzie się paręset ludzi z różnych stron kraju zbierze, by się o wspólnych naradzić potrzebach, mimowolnie owionie ich duch życia publicznego, choćby zakres ich obrad był jak najbardziéj ścieśniony, choćby się ograniczał na przedmiotach najmniejszéj wagi, byle one wszystkich zarówno obchodziły. Czemże bowiem jest życie publiczne, jeżeli nie przeniesieniem osobistych spraw swoich do wspólnego ogniska całéj społeczności. W miarę tego jak sprawy te rozleglejszy ogarniają horyzont, rozprzestrzeniają się rozmiary życia publicznego, ale prawdziwa jego cecha nie zmienia się. Zindywidualizowanie tylko spraw swoich, odosobnienie ich od spraw cudzych, jest przeciwstawieniem tego życia i prowadzi do zbezwładnienia. Taka bezwładność z osamotnienia pochodząca ogarnęła od dawna najgłówniejszą klasę narodu, właścicieli ziemskich. Przestawszy być instytucyą, i to nie od teraz, nie od lat dwunastu, lecz odkąd zaparli się życia publicznego i dla miłego wywczasu po burzach politycznych zeszłego wieku zbyli się obowiązków obywatelskich, — odżyć powinni w stowarzyszeniach, by w nich nabrać poczucia do nowych a odmiennych obowiązków, i stać się w dzisiejszéj społeczności napowrót działaczem w zakresie wskazanym sobie celami stowarzyszenia i powołaniem socyalnem.

Przeobrażanie społeczeństwa odbywa się przez wszystkie wieki: tam stopniowo i zwolna, gdzie umiejąc poj-

mować i rozumieć ten prąd przez Opatrzność wskazany nadają mu reguralny kierunek; indziéj zaś gdzie mu stawiają zapory i groblami powstrzymać chcą strumień spokojnie płynący, to gdy się nagromadzi do tyla wody, iż groble przerwie i obali zapory, przemiana następuje nagła i pochód swój naznacza zniszczeniem. Taką różnicę przedstawia historya Anglii i Francyi; a kraj nasz mógłby także smutne nastręczyć przykłady i objaśnienia téj teoryi.

Stany jako korporacyc zniknęły, miejsce ich zastępują stowarzyszenia, które tem się tylko od tamtych różnią, że są dobrowolne, gdy tamte były obowiązkowe; że te łączą, gdy tamte wykluczały; że te mają wspólność dobra na celu, gdy tamte miały na celu odrębność.

Restauratorowie średniowiecznych form nie pojmują ducha jaki je ożywiał, a który inaczéj się dziś tylko przedstawia na zewnątrz; poznać go więc nie mogą, że odmienne przybrał nazwisko i odmienne przywdział odzienie, i mniemają, że to coś nowego ten społeczeński żywioł tegoczesny. Szanujemy postacie przodków aż do ich zwyczajów powierzchownych, aleć w imie téj czci dla nich nie podgalamy głów jako oni, bo wewnętrzne ich przymioty i cnoty, a nie odzież ich lub moda były ich wyższości oznaką.

Trzeba odszukać na nowo tę nić duchową która przerwaną została między przeszłością a teraźniejszością, bez względu na to, że inna jéj barwa. Nić ta ciągnąca się przez wieki, ma w każdem nowem pasmie odmienną barwę; kto zaś niedostrzegł, jak jedna barwa stopniowo w drugą przechodziła, ten nadaremnie szukać będzie wątka.....

Wiedeń w lutym.

Karnawał jak zwykle, skończył się weseléj niż się zaczął. W ostatnim tygodniu było balów publicznych i prywatnych więcéj jak w całym miesiącu. Chciano jakby powetować stratę lub zapomnieć choć na chwilę o troskach codziennego życia. Temci lepiéj, komu się to

udało. Lecz miarkując po twarzy tańcujących, widzieć było można, że niejeden wśród najweselszéj nocy myślał posępnie o jutrze. Czy w bieżącym ogólnemu rozmyślaniu poświęconym miesiącu znajdzie się jaki sposób, jeśli nie zaspokojenia wszystkich, to przynajmniéj rozweselenia i pocieszenia niektórych, to się późniéj pokaże.

Wracając do balów, najwyższe w nich pod każdym względem trzymały miejsce bale dworskie. Był to od lat kilku pierwszy rok, w którym pyszne pokoje cesarskie mogły zabłyszczeć całym urokiem właściwego tym sferom życia. W latach przeszłych stawały temu na przeszkodzie, stan zdrowia N. Pani lub żałoby familijne. W tym roku N. Pani była prawdziwą tych zabaw duszą. Na balach małych, ożywi ła wszystko swą wesołością. Tańczono zwykle do późnéj nocy. Były oprócz tych balów mniejsze jeszcze wieczory tańcujące i dwa bale tak zwane bale dworu czyli ceremonialne, gdzie liczba zaproszonych była podług wymagalności towarzyskich, a nie podług chęci bawiących się, zakreśloną.

Arystokracya poświęciła ostatnim tchnieniom karnawału dwa wieczory. Bal u księstwa Schwarzenbergów celował jak zawsze nad innemi, nawet we współzawodnictwie z balami księstwa Lichtensteinów. W tym roku pałac tych ostatnich pozostał głuchym w żałobie po stracie swego właściciela. Pyszne salony pałacu księstwa Schwarzenbergów wydawały się przeto jeżeli nie bogatszemi i nie lepiéj oświetlonemi niż zwykle, to daleko przyjemniejszemi. Liczba zaproszonych prawie zawsze ta sama, wyjąwszy naturalnie, zmarłych lub nieobecnych w stolicy. Było więc około 500 osób. W tak skróconéj edycyi *Almanaku Gotajskiego* i przy ogólnéj redukcyi urzędników, wypadło z téj liczby wielu w przeszłym roku zaszczyconych zaprosinami. Czy reprezentanci rozmaitych emancypacyj i stróże wolności myślenia, pisania i zarobkowania zajrzą kiedy w te pańskie salony? to kwestya trudniejsza może do rozwiązania, niż tyle innych, które na rozwiązanie już od dawna i niecierpliwie czekają. Wszakże rozpaczać nie potrzeba, gdyż już w niemniéj pięknych i bogatych, lubo wprawdzie margrabskich salonach Pallavicini widziano niektóre ślady téj swobodniejszéj i równiejszéj w upraw-

nieniu salonowem przyszłości. Wiedeń, który za modami Paryża tak się upędza, przyjmie z czasem i tę modę. Trzeba tylko, aby ci co tego pragną, stali się tak potrzebnymi i pociągającymi, iżby się bez nich jak w Paryżu obejść salony nie mogły. Między balami publicznemi, kilka zasługuje na wspomnienie. Były to jak każdego roku, bale uczącéj się młodzieży, a niektóre bardzo ładne. Że policzyćby się mogły do najweselszych, to wątpliwości niepodlega. Tańczono zwykle na takich balach noc całą, zapominając nieraz o jedzeniu, co w Wiedniu, dla dyrygujących komitetów jest nie tylko korzyścią, lecz prawdziwą pochwałą. Tu bowiem na najwspanialszych nawet balach, wieczerza zajmuje główne miejsce. Ktoś powiedział słusznie „że Wiedeńczycy tańcują aby jeść, i jedzą aby tańczyć". Jest to główna, zwłaszcza publicznych balów podstawa.

W teatrach nic nowego, gdyż taka nowość jak „*Favorite*" pod nazwiskiem „Eleonory", w tutejszéj tylko operze do nowości policzyć się może. Pani Czillag śpiewa główną rolę dobrze: lecz sama jedna — reszta nie zasługuje na wzmiankę. Biedny Fernando wygląda jakby uciekł z bitwy pod Tetuan. Balet zupełnie chory. Panna Couqui zastępuje wszystkie swe rywalki i śmieje się głośno z ich przygód. Publiczność poważa w tych przygodach dobroć serca i cieszy się za odebraniem wiadomości, że się wszystko szczęśliwie skończyło.

W Burgu tymczasem grają smutne dramata lub nudne komedye. Ale za to wszystkie aktorki, nawet mężatki są zawsze na scenie.

Paryż w lutym.

Stało się. Stosownie do dekretu cesarskiego, przyłączenie Wielkich Księstw Passy, Neuilly, Bellville i Batignolles do Paryża jest faktem dokonanym. Wielkie to dzieło spełnionem zostało bez kongresu europejskiego — same narady Prud'homów mu podołały. Mur ściskający stolicę wyrzucono jak pasek z którego wyrosło dzie-

cię — rogatki znikły jak stary przesąd, a stolica Francyi jednocześnie z swym handlem rozpowita, ujrzała w okół siebie niezmierzone okiem horyzonty wolne, których widok zwykł straszyć słabych, co o własnych siłach chodzić nieumieją — co wolą trzymać się choćby spruchniałéj podpory, niż stać o swojéj mocy — co gotowi przystać na wszelki stary systemat, byle nie myśleć, byle nie awanturować się po drogach postępu nie wyjeżdżonych ciężką, sześciokonną karocą odwiecznéj rutyny — co nakoniec jako *ultima ratio* niedorzeczności wszech-innowacyj, wołają: „tego nigdy nie było!“

Cóżkolwiekbądź, stało się. Teraz już zarogatkowe tyrsysy nie będą mogły wyrzynać kochanych imion na korze lasów Bellvillu; łąki wnet przemienią się w ulice — murawy w bruki — drzewa w kominy; lasu trzeba będzie szukać daleko... Rada Miejska dwa tylko toleruje: Buloński i Winceński — ale i te do Paryża przenieść kazała. Teraz dzięki jéj rozsądnym planom, nie będziemy widzieli innych lasów w departamencie Sekwany, tylko te, które w kominkach naszych spłoną.

Drogie Berangerowi, Rossiniemu i wszystkim co ich nie znają, cieniste szpalery Passy, niebawem zastąpione zostaną cynkowemi dachami i płóciennemi markizami; łupek i cegła błyszczeć będzie w słońcu tam, gdzie teraz ruchome namioty z liści się kołyszą. Passy ogołocone z drzew, stanie się smutne i brzydkie — ale tak chce Rada miejska — uderzmy czołem przed jéj wolą, bo ona wie co czyni, i nieubłagana jest jak przeznaczenie.

Ale cóż się teraz stanie z poetami?

Odpowiesz mi na to zapewne, że artyści, wieszcze i wszyscy kochankowie natury, mogą rozpuściwszy skrzydła czy nogi, ruszyć daléj, o kilka mil od rogatek szukać potrzebnéj dla siebie ciszy. Fontainebleau jeszcze nie przyłączone do Paryża, *prowizorycznie* swój las ich kaprysom poświęci.

Tak zapewne — pobiegną tam wszyscy wolni; ale co poczną ci których fatum oddało z domami w ręce hałaśnéj stolicy? Wielu w paryzkich Mohikanów pobudowało sobie chaty za rogatkami, i sądząc że są w dziewiczych lasach Ameryki, poczęło opiewać wiejskie rozkosze — pisać pożegnalne hymny do Paryża —

naśladować słowami słodkie pienie słowika, litować się nad mieszczanami, gadać im o wszystkiem co żyje i kocha w naturze — o wszystkiem, co w pierzu lub bez pierza, wolno sobie lata pod gołem niebem — o wszystkiem co się tam łączy bez grzechu; poczęto już nawet poetyzować kosa, owego leśnego gamena, co gwiżdże kiedy zakochani koniugują pół głosem słowo *kocham;* poczęto podsłuchiwać i zdradzać przysięgi składane pod cieniem wiązów, których smutne szumy napróżno nie wesołą przyszłość przepowiadają głuchym na głos rozsądku kochankom...

Te i tym podobne bukoliki stały się specyalnością osiadłych za rogatkami wieszczów; panowie ci uważając wysławianie wioski za jedyną przyczynę swego istnienia, coraz mocniéj wpadali w kaznodziejski zapał — a w tem ich kot złapał — to jest przyłączono ich do Paryża.

Okropność! Zaprawdę, los paryzkich Wirgiliuszów godny pożałowania... nie każdy bowiem schwytany gotów uciąć połę byle odzyskać wolność — jeden żałuje sukna, drugi nie ma nożyczek — trzeci ma zasady — i siedzą płacząc nieboraki.....

Pomiędzy schwytanymi za połę poetami przez miasto od którego niby uciekali, jest Jules Janin. Napisał on w Passy najgrubszy tom pożegnań stolicy — zapalił się nawet tak dalece, że w swoich „*Contes du Chalet*“ poprzysiągł nigdy nie zajrzeć do miasta. Chociaż zrządzeniem okoliczności nie dotrzymał słowa, sławny krytyk francuzki ładną napisał książkę. *A propos* cienistych drzew Passy (nad które, mówiąc między nami, wielki feletonista przekłada zawsze dekoracye przedstawiające ogród), Janin opisał wszystkie sławne figury, które pod temi drzewami lubiły się przechadzać. W „*Contes du Chalet*“ wśród lasku Passy mieści się cała galerya portretów bohatyrek i bohatyrów wielkiéj rewolucyi, oraz sławnych późniéj we Francyi osób. Mirabeau, Barnave, Kamil Desmoulins, Andrzéj Chénier, Maria Antonina, Panie Roland, Staël, Tallien, Récamier — późniéj Delfina Girardin, George Sand, Rachel, i inne ozdoby domu Moliera, tam myślały, pisały, studiowały role, i ztamtąd swe najlepsze wywoziły natchnienia.

Nie można było piękniéj w pamięci młodego pokolenia uwiecznić, wnet mającego zniknąć gaju — jak to uczynił Janin. Stało się to bezwiednie, ale książka jego ma teraz daleko więcéj wagi niżby jéj posiadała gdyby Passy nie miało, jak Pompei zawiane popiołem Wezuwiusza, przepaść w paryzkiéj kurzawie. „*Contes du Chalet*" przypominać także będą autorowi chatkę, którą sprzedać musi *pour cause d'utilité public* — a teraz kiedy znów zamieszka na *Rue du Bac*, nad owym rynsztokiem, którego pani Staël zawsze żałowała — wonne to wspomnienie więcéj mu niż kiedykolwiek się przyda.

Tak to wszystko zwykle wbrew woli ludzkiéj dzieje się na świecie. Janin, co niechciał wrócić, wraca, a druga sława literacka Francyi, Lamartine, mimo najszczerszych chęci, na bruk paryzki powrócić nie może. Dobra jego, po raz setny wystawione na sprzedaż za milion dwakroć pięćdziesiąt tysięcy, nie znalazły nabywcy. Jest w tem jakaś wyższa wola, bo cała ta summa wraz z półmilionową składką, jeszczeby długów poety nie pokryła — a pozbywszy się własnego dachu, musiałby daléj w paryzkiéj mansardzie na opłacenie procentów pracować. Słychać, że dla spłacenia najdokuczliwszych dłużników, Lamartine podjął się za 25,000 franków ułożyć dramat ze swéj powieści „Genowefa, czyli historya służącéj".

Broszury *ont fait leur temps*, jak mówią Francuzi — wychodzą jeszcze, ale już niczyjéj uwagi nie zwracają. Ostatnią z głośnych była broszura Villemaina. Jakiś filozof francuzki (nie Cousin) powiedział: *L'homme absurde est celui, qui ne change jamais.* — Villemain wychodząc z téj zasady, uznał za stosowne złożyć w końcu swéj świetnéj karyery ten wymowny dowód swéj dorzeczności. Zestawiając dawniéj wygłaszane teorye wieczystego sekretarza akademii z dzisiejszemi, możnaby spisać bardzo ciekawe rozdziały do obszernéj historyi ludzkich metamorfoz — ale nie podzielając zasady francuzkiego filozofa, historyi zmienników dotykać filozoficznie nie podobna, a inaczéj..... przestrzeni brak — a może i słuchaczy. Ograniczam się tedy na dalszem przytaczaniu faktów, zostawiając do nich komentarze, czytelnikowi.

Biskup Orleański Dupanloup, w czasie swego pobytu w Paryżu, dokąd przybył między innemi w celu popie

rania kandydatury ojca Lacordaira ubiegającego się o krzesło po Tocquevillu — odebrał na schodach Instytutu wyznanie wiary pana Cousin. Stosownie do zwyczaju przyjętego przez kodeks kryminalny, sławny akademicki filozof odpokutował grzechy na miejscu swego przewinienia.

Oto deklaracya, którą Cousin złożył w ręce kolegi-biskupa; podaję ją dosłownie, jako dokument należący do historyi Akademii francuzkiéj z roku 1860. Wymieniwszy zwykłe komplementa, tak mówił Cousin:

...„Filozofia materyalna i bezbożna może być obojętną, może nawet przyklaskiwać uszczuplaniu i poniżaniu papieztwa, gdyż papieztwo nie jest jéj wcale potrzebnem do nauczania ludzi, że dusza jest wynikiem ciała, i że niema innego Boga prócz świata. Ale filozofia spirytualna zupełnie innem okiem patrzy na to co się dzieje. Jeżeli nie jest zaślepiona najgłupszą pychą, musi widzieć, że po za szkołą, w rodzaju ludzkim spirytualizm jest reprezentowany przez Chrystianizm — a chrystianizm wybornie jest reprezentowany przez kościół katolicki; że więc Ojciec Swięty jest reprezentantem wszelkiego porządku intellektualnego i moralnego.

„Uważam powyższe twierdzenie za niezbite, i podejmuję się dowieść go zwycięzko każdemu — byleby przeciwnik przypuszczał Boga prawdziwego, obdarzonego mądrością, wolnością i miłością. Oto dla czego, wielebny Prałacie — wybacz poufne wyrażenie — oto dla czego, trzeba mi dla dobra rodzaju ludzkiego Papieztwa dość mocnego ażeby było niezależnem. Chcę żeby było silne, chociażby nawet czasami miał na tem ucierpieć wasz najniższy sługa i kolega. Jakkolwiek Rzym położył na indeksie moją książkę: „*Du Vrai, du Beau et du Bien*“, zależy mi na tem, żebym mu pozostał wiernym, i bronię go moim sposobem, w imie filozofii.

„Cóż by się stało żebym do was mówił dziś jako liberał, taki jakim zawsze byłem w obec mego kraju? Cóżby się stało, żebym do was mówił jako stary i wierny przyjaciel Włoch? ... Ale nie chcę dłużéj zatrzymywać cię, dostojny Prałacie, na tych schodach — proszę cię tylko, jeżeli będziesz pisał do Rzymu, żebyś oświadczył Ojcu Swiętemu, że choć niegodny, ośmielam

się w téj opłakanéj okoliczności stanąć w szeregach jego najjawniejszych obrońców".

Wnosząc z giętkości akademika-filozofa, można przypuścić bez grzechu, że Cousin mówiąc do włoskich liberałów, wyrecytowałby im ten ustęp ze swego ostatniego dzieła, ustęp streszczający zasady, które w ojczyznie dały mu sławę jakiéj dotąd używał:

...„Narody są wolne! — woła pan Cousin już nie na schodach — należą same do siebie; naturalnie nie należą do żadnego pana, do żadnéj rodziny, do żadnéj dynastyi. Nikt nie ma prawa nad niemi. Prawdziwą legitymistycznością rządów jest zaspakajanie ludów. Jak na ziemi wszystko zrobione dla człowieka — tak w narodzie wszystko zrobione dla narodu. Jest on obowiązany czynić ze swéj wolności rozsądny użytek; ale jest obowiązany tylko przed samym sobą: Wszechwładztwo jego wolności zatrzymuje się tylko przed wszechwładztwem rozsądku" . . . .

. . . .

Dramat ogrodnika nicejskiego „Penelopa normandzka" do najlepszych teraz w Paryżu się liczy. Dowiódł on: 1° że autor jest równie silnym dramaturgiem jak subtelnym romansistą; 2° że aby dobrze zbudować sztukę i zacisnąć węzeł intrygi, nie koniecznie potrzeba pierwéj sto dramatów przedstawić, że przeciwnie, zaleta zwana wprawą, częstokroć do spowszednienia talentu się przyczynia; 3° że ośm lat samotności i dobrowolnego wygnania na które się autor skazał, nie przyćmiły oryginalnego talentu ani stępiły dowcipu, którym Karr zawsze śród najdowcipniejszych błyszczał — że takim jest jakby te ośm lat spędził w centrum wszech-ruchu i ognisku wszech-życia, w Paryżu.

„Penelopa normandzka", dramat przypominający najczarniejsze utwory romantyczne, zaczyna się wesoło jak miła komedya. Sztukę tę przerobił autor ze swéj powieści pod tym samym tytułem; powieść powszechnie znana uwalnia mnie od szczegółowego opowiadania. Treść taka: Żona kapitana okrętu, zostawiona przez rok cały sama w domu, przeniewierza się mężowi, właśnie z człowiekiem którego on odjeżdżając za opiekuna jéj zostawił.

Ponieważ, jak mówi przysłowie: najciężéj zacząć, pójdzie się daléj — ów Jago wkrótce widzi się porzuconym dla drugiego kochanka, pana Reneusza, paryzkiego trefnisia, który nad morzem kanikułę spędza. Mąż, szlachetny i poczciwy marynarz, któremu obaj kochankowie nie warci rzemyka zawiązać, przybywa w trzecim akcie, i zastaje w domu podwójnie wiarołomną żonę — czyli, jak powiada Karr, szukający porównań w ogrodzie: cudzołostwo *flore pleno*.

Zemsta zdradzonego przez wszystkich męża, zajmuje drugą połowę sztuki: pojedynkuje się z obydwoma rywalami i wychodzi zwycięzko. Koniec na scenie inny jak w romansie. Tam, jeden z kochanków rani śmiertelnie męża, który nie chcąc z nim zostawić nieukaranéj żony, konając zarzuca jéj na twarz chustkę zmaczaną witriolem i tym sposobem powab jéj zabiera z sobą do grobu.

Teatr nie znosi takich okrucieństw; tu więc mąż zostawia żonę wyrzutom własnego sumienia; nierozgrzeszywszy, porzuca wiarołomną, odpływa na dalekie morza bezpowrotnie.

Karr przywodzi na myśl Niceę. Projekt przyłączenia Sabaudyi i Nicei do Francyi jest może najżywotniejszą teraz kwestyą w Paryżu. Zaokrąglenie to uśmiecha się Francuzom przywykłym od dawna uważać Niceę za swój dom zdrowia. Obaczyć Neapol i umrzeć — woła poeta; obaczyć Niceę i wyzdrowieć — mówią lekarze. To też co rok udaje się tam z Francyi mnóstwo chorych; za choremi ciągną zdrowi — dość że nie minie lato, a każden nie przykuty do swego bruku Paryżanin, o Alpy się obetrze.

Skutkiem tak częstych komunikacyj, Paryżanie przywykli uważać ów raj ziemski za rogatkę Francyi; ponieważ teraz cofnięto rogatki aż po fortyfikacye, uznali za rzecz stosowną, żeby i tę graniczną rogatkę posunąć aż do morza Śródziemnego.

Czy się to życzenie spełni — dotąd niewiadomo — tem bardziéj, że w Nicei pod tym względem chęci bardzo są różne: zamieszkali tam Francuzi są za anneksyą, a Włosi przeciw. Pierwsi utrzymują, że ponieważ Nicea po wszystkie czasy żyła z Francyi, czas żeby też i Francya korzystała z niéj trochę. Włosi przeciwnie, opiera-

jąc się na ukochanych przez Francuzów powabach tego miasta, pragną używać ich wyłącznie.

Prócz tych interesów ogólnych, są jeszcze prywatne powody wpływające rozmaicie na chęci mieszkańców nadmorskiéj oazy — są interesa własne skłaniające ludzi na tę lub ową stronę.

I tak, zduni naprzykład, gorąco pragną przyłączenia do Francyi, bo to uwolni ich raz na zawsze od kłopotania się o paszporta, które co rok brać muszą jadąc do Paryża stawiać piece.

Oberżyści znów, wolą zostać Włochami, żeby nie zmieniać kuchni, i gotować daléj swą bezecną *Olla Potrida*, którą pod pozorem cudzoziemczyzny, drogo sprzedają Francuzom.

Tenorowie w tym kraju urodzeni, słuszną czynią uwagę, że póki są Włochami, cała Europa o nich się dobija i złotem ich talenta płaci — skoro zostaną Francuzami, najpiękniejsze *ut dieze* nie przyniesie im złamanego szeląga. Ci podobno najsłuszniejszy mają powód protestowania przeciw anneksyi: jest ona dla nich kwestyą życia lub śmierci.

Najmocniejszą opozycyą stawia w téj sprawie Francyi, ogród Alfonsa Karra. Podobno wszystkie kwiaty oświadczyły swemu ogrodnikowi że niechcą utracić włoskiego słońca. Mianowicie laur niechce słyszeć o oderwaniu Nicei od włoskiéj ojczyzny — i ma do tego słuszne powody; na cóż powiada, zdałaby się praca całego mego życia, te zielone gałęzie które na wieniec dla Garibaldego przygotowałem.

Jeden tylko słonecznik oświadcza się za wcieleniem — dla tego że ubrany przez naturę w narodowe Austryi kolory, jest wystawiony we Włoszech na nieprzyjemności.

Cała ta komplikacya interesów publicznych i prywatnych, sprawia, że Wiktor Emanuel nie może nastarczyć czytać listów, któremi go co dzień zarzucają Nicejczycy. Biedne też to królisko! Nie ma dziś pod słońcem człowieka, do któregoby ludzie mieli więcéj uraz, pretensyj i interesów jak do niego. Nawet tak dobrze wychowana osoba jak *Gazette de France*, turbuje go niegrzecznie. Teraz naprzykład, nie może strawić bażantów, które posłał Garibaldemu i ciągle do nich powracając, rozmaite z tego faktu wyciąga wnioski.

Trzeba wiedzieć, że gazeta owa zwykle z potraw poznaje sympatye lub skłonności polityczne ludzi stanu, instytucyj i potencyj: powiedz mi co jadasz a powiem ci czem jesteś — to jéj zasada. I tak, jeżeli Havin, polityczny redaktor *Siècla*, jadł beefstek na śniadanie — to znak że *Siècle* zbliża się do Anglii; jeżeli Pêne, paryzki kronikarz *Norda*, u Véfura kazał sobie podać węgorza z tatarskim sosem — to dowód, że Rosya z Szachem Perskim w zgodzie; ilekroć lord Cowley poczęstował Veuillota lodami, był to nieomylny dowód oziębienia stosunków Anglii z Rzymem.

Oxford w lutym.

Kilka miesięcy temu pewnieście słyszeli, jaki popłoch panował w Anglii z powodu bezbronności jéj brzegów, niedostatecznéj liczby wojska i floty na odparcie ataku, gdyby Napoleon III w śmiałości swych przedsięwzięć chciał ją nagle najechać. Wielom wydawało się wtenczas, iż huk armat nieprzyjacielskich już dochodził do uszu z nad brzegów morskich, iż warownie licho opatrzone waliły się w gruzach, a roty konnicy francuzkiéj tratowały kwitnące niwy spokojnéj wyspy. Przestrach i i trwoga ogarnęły wszystkich jéj mieszkańców. Ciało prawodawcze suszyło sobie głowy, niewiedząc czego się jąć, i w jaki sposób odwrócić tak grożące niebezpieczeństwo. Lecz gdy reprezentanci narodu namyślali się, jakieby były najlepsze środki do obrony kraju, tymczasem ogół narodu, ile miał wśród siebie żywiołów szlachetnych i niepodległych, wystąpił ze zwykłą sobie śmiałością, ofiarując swe usługi na obronę własnych swych ognisk, swych rodzin i swobód; a gdyby tego potrzeba było, chciał okazać nawet całéj Europie, że Anglia i Szkocya mogą jéj wręcz zapowiedzieć: „*Nemo nos impune lacesset*“. Nikt, kto nas obrazi, nieujdzie bezkarnie.

Niebawem od jednego do drugiego krańca Anglii jak wiadomo, potworzyły się liczne oddziały zbrojnych ochotników. Najmniejsze miasteczka mają teraz kompanie

własnych strzelców, podobnież cechy rzemieślnicze i różne korporacye krajowe. Liczba ich stanowi stutysięczną armię, ćwiczącą się i ekwipowaną bez kosztu dla rządu, i w każdéj chwili gotową na odparcie, zkądbądź, obcego najazdu.

Z wielu tych oddziałów ochotników, batalion, jaki uniwersytet oxfordzki od ośmiu miesięcy z młodzieży akademickiéj uformował, zasługuje na szczególną wzmiankę. Był on jednym z najpierwszych, bo najdawniéj się zawiązał, i odznacza się równie pod względem żywiołu z jakiego jest złożony, jakoteż pod względem energii z jaką się czynności w nim odbywają. Nigdzie może więcéj jak w nim nieuderza, ile wyższość edukacyi usposabia człowieka do wykonywania zręczniéj nawet sztuk mechanicznych. Dziwić się trzeba, z jaką łatwością ludzie poświęcający się zawodowi naukowemu, jak akademicy, pojmują mechanizm musztry, jak rychło się organizują, i ze spokojnych anachoretów przetwarzają się wkrótce na wyrobionych żołnierzy. Prawdziwie sami starzy oficerowie nie mogą się dość nadziwić, i dają się często z tem słyszeć, jak mogą ci, co przed tygodniem, a może i w całem życiu niemieli w ręku karabina, na słowo komendy maszerować szeregami, odbywać z precyzyą wszelkie części ręcznéj musztry i wykonywać inne obroty. Lecz to może się stać tylko wtedy, kiedy równie podwładni jak oficerowie posiadają wyższe wykształcenie, i kiedy jedni jak drudzy z gorliwością chcą dopełnić swego obowiązku, najwięcéj jednak zależy od oficerów, którzy prawie wszyscy u nas są *„classmen“*, to jest tacy, co osiągnęli wysokie stopnie naukowe. W Oxfordzie bowiem pierwszeństwo, które gdzieindziéj przyznaje się bogactwu lub urodzeniu, daje się jedynie nauce.

W téj chwili oddział uniwersytecki złożony dopiero z 440 ochotników, ale codziennie się zwiększa. Wymienię tu niektóre z jego urządzeń i przepisów. Nowo zaciągający się obowiązany jest przez ośm dni bez przerwy przychodzić na plac musztry dla nauczenia się marszu — dwie godzin każdego dnia. Gdy się wprawi, daje mu się *enfield*, strzelba z bagnetem. Z nią znowu odbywa co drugi dzień ćwiczenia, dopóki się nieprzyuczy; poczem wcielany bywa do kompanii, a takich jest już cztery, wkrótce zaś będzie ich sześć. Miejscem na po-

cząstkową musztrę bywa zbrojownia, a większe manewra odbywają się we wspaniałéj alei zwanéj Broad Walk, lub też w którym z obszerniejszych ogrodów uniwersyteckich. Widok tych obrotów z pośród wysokich rozłożystych drzew i zarośli, i téj zbrojnéj młodzi przeciągającéj kolumnami i formującéj się w szeregi przed starożytnemi murami gotyckich budowli, sprawia wrażenie trudne do opisania, budzące w wyobraźni raczéj obroty wojenne feudalnych wieków, aniżeli tegoczesnych żołnierzy. Sam ubiór ochotników uderza osobliwością. Mundury jasno-szare, lekkie i wygodne w marszu, lecz odmienne od innych krojem, zakrawające na cudzoziemskie; czapki błękitne z białem obszyciem i bronzową trąbką na przodzie, z podłużnym daszkiem dla ochrony oczu. Tunika zapina się na bronzowe guziki, jest nieco niebiesko szamerowana z tyłu, z przodu zaś nic, prócz pasa rzemiennego przez piersi i drugiego na biodrach z kieszonkami z żółtéj skóry. Guziki cechowane złożoną na krzyż strzelbą i napisem: O. U. R. C. (Oxfordzkiego uniwersytetu strzelecki korpus) literami staroświeckiéj angielszczyzny.

Spodnie obszerne, buchate, nakształt noszonych przez zuawów, równie jak mundury szaraczkowe z wypustkami niebieskiemi, spadające nieco poniżéj kolan. Od kolan zaś bóty z żółtéj skóry zwane *knickerbockers*, w których śmiało można brnąć przez kałuże i błota bez zamaczania nogi. Oficerowie nieróżnią się ubraniem, noszą tylko niebieskie szarfy na piersiach. Ci co odbierają broń od rządu, mają długie enfieldzkie strzelby ze zwyczajnym bagnetem; lecz formuje się jedna kompania która własnym kosztem chce się uzbroić w krótki enfieldzki sztuciec z bagnetem szablastym (*sword bayonet*). Przeszłego kwartału najmował oddział uniwersytecki muzykę od milicyi hrabstwa oxfordzkiego, teraz ma swoją, utrzymywaną własnym kosztem, i z nią wychodzi na paradę. Jedna wielka parada przed parą tygodniami odbyła się przed zesłanym od rządu jenerałem, podczas któréj oddział ochotników akademickich przechodził przez wszystkie zwykłe wojskowe ewolucye, wykonywając je z jak największą precyzyą, tak, że weteran ów nie mógł się ich odchwalić. Miasto Oxford wystawiło także własny oddział ochotników, wynoszący teraz 100 ludzi, ale mun-

dury ich inne. Z początku miano zamiar połączyć ochotników miejskich z akademickimi; lecz ci niezgodzili się na to połączenie, bo Toga a Miasto (*Gown and town*) niecierpią się, jak były od wieków, tak są i teraz w bezustannéj z sobą wojnie.

Oddział ochotników uniwersyteckich ma swój komitet gospodarczy, zarządzający wszystkiemi jego potrzebami. Ogólne potrzeby opędzają się składkami od samych ochotników. Na zasiłkach tych kasie niezbywa, zwłaszcza, że między ochotnikami jest wielu należących do zamożnych familij, i nawet do najwyższéj arystokracyi angielskiéj.

Miesiąc temu, oddział akademicki — jak wyżéj wspomniałem — liczył 440 ochotnika. Rozeszła się była wtedy wieść, że jak dójdzie do 500, wtenczas może książę Walii, następca tronu, będący współuczniem ich, zostanie ich pułkownikiem. Liczba ta dotąd już się dopełniła, a co było pogłoską, teraz się w saméj rzeczy sprawdza, na wielką radość i zaszczyt dla ochotników. Książę Walii reskryptem Naj. Pani z dnia 2go marca, zamianowany został pułkownikiem uniwersyteckiego oddziału strzelców.

Królowa Wiktorya oceniając zapał narodu, z jakim na samą myśl niebezpieczeństwa zagrażającego krajowi, stanęło od razu do stu tysięcy ochotników pod bronią, miała 7go marca *levée* w pałacu St. James, na przyjęcie oficerów wszystkich oddziałów ochotniczych. Było ich 2,600. Książę Walii, teraźniejszy pułkownik naszego uniwersyteckiego oddziału znajdował się w ich poczcie. Londyn, jak powszechnie wyznają, niewidział wspanialszéj reprezentacyi u dworu nad to przedstawienie starszyzny ochotników z Anglii i Szkocyi, w różnobarwnych strojach jakie im obrać się podobało, odmiennych krojem i przyborami mundurów od regularnego wojska. Rozmaitość ta ubiorów była starannie do służby w polu zastósowana: cechowały je wygoda, malowniczość a niektórych nawet fantastyczność. Stolica, jak słyszę, niemogła nasycić swéj ciekawości widokiem tego improwizowanego zastępu dzielnych obrońców kraju, i wszystkie ulice i place do koła pałacu zapełnione były tłumami ludu. Widok to był zajmujący, a bacząc na cel, ducha i pobudkę, w jakiéj się te luźne zastępy zbrojne

utworzyły, był niemniéj wzniosły. Lordowie naczelnicy hrabstw, według przyjętego programatu, przedstawiali oficerów z każdego hrabstwa N. Pani, siedzącéj na tronie, a książę małżonek witał ich ukłonem. Nim się oficerowie ochotnicy rozjadą, wyprawią jeszcze bal, na który od kilku dni wielkie przygotowania robią.

Już zapowiedziano, iż 10go marca książę Walii odbędzie pierwszy przegląd naszego batalionu, i obejmie nad nim dowództwo — piszę naszego, jako jeden z ochotników uniwersytetu oxfordzkiego. *Wł. S. L. S.*

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Drukarnie miejscowe niewiele dostarczają nowości, Biblioteka Polska Turowskiego wydała dokończenie waryantów i skorowidz do Herbarza Paprockiego, tym sposobem wydanie to stało się o wiele dogodniejsze niż nawet sama oryginalna edycya, pożądana dla Bibliofilów, ale mniéj praktyczna.— Słychać także że ma tu wychodzić pod redakcyą p Turowskiego, nowy dziennik pod tytułem: *Niewiasta*. Pokazuje to wielką pochopność do dziennikarstwa jaka w tym roku wszędzie się objawiła. U nas powstało *Ognisko;* we Lwowie: *Kółko rodzinne* i *Czytelnia dla młodzieży*, — wszystko tygodniowe pisemka. Powiadają także że w Krakowie ma się urodzić nowe pismo polityczne redagowane przez jednego z duchownych. Życzymy powodzenia; ale zamiast politycznego możeby stósowniejszy był dziennik kościelny, bo tego właśnie największa potrzeba. Dziwić się nawet wypada, jakim sposobem w tak obszernéj prowincyi niema osobnego dziennika poświęconego sprawom kościoła o których najlepiejby sądzić i rozumować mogli duchowni — W drukarni uniwersyteckiéj kończy się druk *Rocznika* ordynacyi Myszkowskich mieszczący starannie przez Ant. Zyg. Helcla wydane listy do panowania Sobieskiego. Będzie to ważny dziejowy materyał, rozświecony stósownemi komentarzami. W drukarni Czecha wyszło w nowem wydaniu *Panowanie* Henryka Walezyusza i Stefana Batorego z rękopisu po Albertrandym.— Wydanie to pomnożone ciekawemi dokumentami niemniéj pamiętnikami do historyi Stefana mieszczącemi korespondencye tego monarchy, oraz zbiór wydanych przez niego urządzeń, co wszystko jeszcze w r. 1830 zebrał i wydał Edward hr. Raczyński. — Dzieło to wielce ułatwia poznanie téj epoki najświetniejszéj w naszéj historyi.— Wydawnictwo katolickie W. Wielogłowskiego ukończyło druk: *Tatrów* w dwudziestu czterech obrazach opisanych wierszem przez Bogusza Zygmunta Stę-

czyńskiego. Do samego poematu dołączonych będzie 80 rycin przedstawiających wyłącznie widoki tatrzańskie. Oprócz tego odbite będą osobno same widoki z krótkim opisem pod tytułem: *Album Tatrów*. Cała ta publikacya tak co do poematu jak rycin, ma rzadki przymiot oryginalności; wszystko to wyrosło na naszym gruncie, i poezya i sztuka. Człowiek co pisał i rysował jest rodzajem samouka; natura pośród której się wychował, żył, którą ukochał, zrobiła go poetą i malarzem; prostem, szczerem uczuciem walczy on z tajemnicami sztuki, i często czytelnika chwyta za serce. — W *Ognisku* drukuje się w dodatkowym półarkuszku ciekawa podróż do wyspy Jersey napisana przez Korzelińskiego autora podróży do Australii, która tak mocno świat czytający zainteresowała. — W temże wydawnictwie wyszło powtórne, tanie wydanie *Fabioli*.

Lwów. Bielowski w Monumentach historycznych drukuje kronikę Thietmara.

Szajnocha ogłosił przedpłatę na drugie wydanie dzieła: *Jadwiga i Jagiełło*. Druk rozpocznie się wkrótce w drukarni Ed. Winiarza Wydanie to znacznie pomnożone wyjdzie w czterech tomach. Autor umieścił w przypisach odpowiedź na uczynione mu przez niektórych recenzentów zarzuty, przeciwne jego twierdzeniom.

Szajnocha drukuje także w Żytomierzu u Hussarowskiego: *Opowiadania o Janie III*. Całe to dzieło przedstawiające obraz dziejów Polski z XVII wieku, składać się będzie z dziesięciu tomików, każden po ośm do dziesięciu arkuszy druku, i z osobnym tytułem. Tom pierwszy, którego druk już jest na ukończeniu, nosi tytuł: *Mściciel* Autor rozpoczyna dzieło rodowodem i historyą trzech rodów Daniłowiczów, Żółkiewskich i Sobieskich. Kończy zaś tom niniejszy opisem pogrzebu matki króla Jana. Następne tomy będą wychodzić co sześć miesięcy, po dwa do roku.

Prof. Małecki napisał *Gramatykę polską*, dla użytku szkolnego, w celu ubiegania się o nagrodę konkursową przez rząd ogłoszoną z funduszu Kriegshabera i Stanów galicyjskich. Dzieło to obszerne i do warunków konkursu zastósowane

Piotr Wasilewski, członek Towarzystwa gospodarskiego galicyjskiego wydał: *Rzut oka na sprawy c. k. Towarzystwa gospodarczego galicyjskiego*. Autor porównywa czynności Towarzystwa gosp. z czynnościami Towarzystwa rolniczego Warszawskiego i odpowiada na niektóre zarzuty Towarzystwu gosp. tutejszemu i jego komitetowi czynione. W druk. zakł. nar. im. Ossolińskich, 1860 str. 22.

Poznań. Nakładem Żupańskiego ukazały się: *Opowiadania historyczne*, jest to zbiór następujących artykułów które ukazywały się w pismach warszawskich: Kronika Helmolda.—Wzięcie Poznania przez konfederatów tarnogrodzkich w dniu 24 lipca 1716 r. — Niewola Franciszka Ponińskiego, stolnika poznańskiego, starosty kopanickiego, na Sonensteinie r. 1734. — Powstanie Kościuszki w Kurlandyi.—Wspomnienie z czasów Prus południowych. — Artykuły te zajmujące treścią, odsłaniają wiele nieznanych momentów w naszéj historyi. Szczególniéj ostatni opisujący stan społeczeństwa naszego z epoki Prus południowych, pokazuje ogromny upadek ducha. Czytając to dziś trzeba się rumienić, a mo-

że też nietak bardzo wyrzekać na Opatrzność że nas ciężką ręką dotknęła . . . Bolesny to obraz— jednakowoż sposób w jaki go autor skreślił może niebyć właściwem odbiciem prawdy; czerpał bowiem szczegóły i rysy z ówczesnych gazet — a pytanie wielkie, czy ówczesne gazety były wiernem spółeczeństwa odbiciem? Oficyalne ogłoszenia nie zawsze bywają wyrazem życia chroniącego się w zaciszu domowem.

Warszawa. Zeszyt Biblioteki Warszawskiéj na luty, zamieścił następujące artykuły:

L. A. Seneka przez Kazimierza Kaszewskiego, Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. Broszury Emila de Girardin. Wycieczka Xenan'a przeciw Berangerowi. Listy Ewerarda. — Kobieta Micheleta. — Orfeusz Gluck'a. Ojciec Marnotrawny Dumasa. — La tireuse des cartes.

Ryszard III tragedya Szekspira przekład Józefa Paszkowskiego. — Literatura włoska. — Rzut oka na piśmiennictwo. II. Guerrazi — Poezya i polityka. — Przedmowa do Beatrice Cenci. — Włoski Lamartine. Giusti. — Dowcip transalpejski — Leopardi. — Włoski spleen. — Choroby marcowe. O zarządzie wsparcia i dobroczynności w Paryżu przez F Xcia L. — Wspomnienie ś. p. Jana Koncewicza przez J. Bełzę. — Poezye — Krótkie Curriculum Vitae Matyjasza co zwan był Kobeżnikiem na Wilczéj ustroni wedle słów pewnego starego tradytora, w rym ujęte i światu przedstawione przez Stefana z Opatówki. — Po wysłuchaniu Symfonii Dobrzyńskiego. — Kronika literacka. — Dwie kaplice Jagiellońskie w katedrze krakowskiej, opisał Józef Muczkowski profesor i bibliotekarz uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków 1859. Przez E. Rastawieckiego. O karcie i z powodu karty geognostycznéj zagłębia węglowego w Król. Polskiem, wykonanéj przez Jana Hempla. Przez K. Ł. — Nowa Lirenka, rytmy Lenartowicza, Warszawa 1858. Przez Kazim. Kaszewskiego. Rozmaitości Wasyngton Irwing. — Tomasz de Quincey. Wiadomości z nauk. O temperaturze źródeł w dolinie Ojcowa. — Chemia, przez I. A. — Korespondencya. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od Władysława Małachowskiego i Aleksandra Przeździeckiego. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od A. H. Kirkora. — Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj Poezye Aleksandra Grozy, ogłoszenie nowego wydania — Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od Ruchu muzycznego.

Z działu wiadomości literackich wyjmujemy co ważniejsze:

— Encyklopedya powszechna bez przerwy postępuje w druku, gdy wydawca prenumeratorom daje zeszyty tomu 2go. Tom 3ci znacznie się posuwa: obecnie rozpoczęto już druk litery *Bi.* W r. b cztery tomy wyjdą tego ważnego dzieła.

— Tygodnik illustrowany znacznie rozszerzył ramy swoje: co drugi tydzień dodając pół arkusza. Treść téj pięknéj publikacyi wiele zyskała, ubogaciła się znakomicie. Nie rozumiemy wszelako dlaczego wydawca całą w takich dodatkach stronnicę poświęca na doniesienia prywatne i to nietylko z pola literatury i sztuki. Na co kazić taki Tygodnik przedmiotami, które dobre dla Kuryera Warszawskiego i gazet, ale nigdy nie przystały dla pisma tego rodzaju i celu. My sądzimy, że sumiennie zapełniony dodatek Tygodnika, bez obwieszczeń, przeważnieby wpłynął na powiększenie już i

tak znakomitéj liczby prenumeratorów. A szkoda tak pięknego papieru, druku, a głównie miejsca, które mogło być zajęte ważniejszemi przedmiotami, wpływającemi na podniesienie literackiéj wartości Tygodnika.

— Rozrywek dla młodocianego wieku, pod redakcyą pani Seweryny z Żochowskich Pruszakowéj, wyszły trzy zeszyty obejmujące tom pierwszy. Myśl przewodnicząca stale, dobór artykułów, wyborne ich opracowanie i język wzorowy, nadają téj publikacyi wysoką wartość. Powtarzać nie przestaniemy, że dzieło to powinno się znajdować w każdéj rodzinie naszéj; podaje bowiem zarówno rozrywkę przyjemną, jako też i naukę.

— Zapowiedziane „Pismo zbiorowe Józefa Ohryzki" wyszło we 2ch wielkich tomach w Petersburgu, w drukarni wydawcy. Tom pierwszy obejmuje str. 490, tom drugi 464. Cena, zważając tak na objętość, jak piękność wydania, a głównie na wysoką wartość wszystkich niemal artykułów, które to pismo składają, niesłychanie niska, bo dwa te tomy kosztują w Warszawie złp. 23 gr. 10. Musi wydawca liczyć na rozkup wielu egzemplarzy, ażeby tak kosztowne wydanie pokryć rozprzedażą. Nie powątpiewamy, że pismo zbiorowe pana Ohryzki znajdzie się w ręku każdego miłośnika literatury ojczystéj; że w każdéj bibliotece prywatnéj zajmie niepoślednie miejsce. O wartości tego pisma powezmą czytelnicy łatwe wyobrażenie, gdy wyliczymy znaczniejsze w niem zawarte rozprawy: 1) Augusta Bielowskiego ustęp z dziejów Polski: „Synowie Chrobrego". 2) Karola Szajnochy: „Słowianie w Andaluzyi". 3) Fryd. hr. Skarbka: „Bitwa pod Raszynem". 4) K. Wł. Wójcickiego: „Wycieczka do Krakowa" 1858 r. 5) Juliana Bartoszewicza: „Józef Sosnowski wojewoda wileński, hetman polny litewski". 6) „O ekonomii politycznéj we Włoszech" Ludwika Wołowskiego. 7) „Andrzéj Morsztyn poeta polski XVII wieku i jego imiennicy" Dra Antoniego Małeckiego. 8) Józefa Korzeniowskiego: „Podróżomania" komedya. 9) „Dla miłego grosza" komedya Apolla Korzeniowskiego. 10) Prolog dramatu: „Jerzy Lubomirski" A. E. Odyńca. 11) „Walenty Skorochód Majewski i jego naukowe prace" Alexandra Batowskiego. 12) „Hanza nad Dźwiną w XIII wieku" szkic historyczny przez Stosława Łagunę. 13) „Szlacheckie opłotki" opowiadanie Cześnikiewicza. 14) „O powadze wyroków i ich wpływie na wyrokowanie w innych sprawach, czyli o powadze prejudykatów w Królestwie Polskiem" przez W. D 15) „O sporach jurisdykcyjnych w zakresie sądownictwa zwyczajnego cywilnego" przez K. M. 16) „Kilka uwag o klasie robotniczéj w Anglii z powodu londyńskiego Strajku" przez B. Kalinowskiego. Dodajmy do tego poezye dobrane Syrokomli i innych, rozbiory kilku ważniejszych dzieł polskich, a możemy osądzić bogactwo, ważność i rozmaitość treści w dwóch tomach zbiorowego pisma pana Ohryzki. Czy dalsze serye wyjdą, nie wiemy; ale życzyćby należało, taka bowiem publikacya jaką nam dał szanowny wydawca, jest prawdziwem zbogaceniem literatury ojczystéj.

— Druk historyi literatury polskiéj Juliana Bartoszewicza posuwa się, że na Wielkanoc już całe dzieło w jednym obszernym tomie wyjdzie z pod prasy.

— W tych dniach rozpoczął się druk zapowiedzianego od nas

dzieła p. n.: „Pomniki Polaków na cmętarzach zagranicznych“, przez Eustachego Marylskiego z rycinami. Objęte tu są wszystkie nagrobki z cmentarza drezdeńskiego, w rysunkach przedstawione są piękniejsze pomniki, na czele których uderzają grobowce Kazimierza Brodzińskiego i generała Wojczyńskiego, oraz kaplica na tymże cmentarzu katolickim: w końcu dodano grób księcia Józefa Poniatowskiego, jaki jeszcze istnieje nad wybrzeżem Elster, w któréj nurtach znalazł ten wojownik zgon bohatersk¹. Format zachowany takiż sam, jaki jest w dziele K. Wł. Wójcickiego: „Cmentarz Powązkowski pod Warszawą“, gdyż rzeczywiście praca pana Eustachego Marylskiego obudzona była powyższem dziełem i jest jakby dalszym jego ciągiem.

— J. Korzeniowski pisze nową komedyę p. n.: Plotkarz; przełożył akt pierwszy Ryszarda II, Szekspira, pracuje nadto nad studyum o komedyach Fr. Zabłockiego, pisarza, który talentem stał pomiędzy pierwszymi z czasów Stanisława Augusta, a dotąd tak mało jest znany powszechności.

— Były redaktor Gazety Codziennéj p. Aleks. Niewiarowski ogłosił wydawnictwo „Gwiazdki“ w 4ch tomach, a każdy tom w 10 częściach. Już dwa zeszyty tego dzieła wyszły z pod prasy.

— W drukarni J. Ungra wyszedł zbiór wierszy Władysława Sabowskiego p. n.: „Ziarna i plewy“. Mieszczą się tu utwory oryginalne i tłómaczone.

— Nakładem księgarza Bernstejna wyjdzie wkrótce książeczka dla dzieci z 15 drzeworytami kolorowanemi p. n.: „Przygody Karzełka“. Powiastka dla małych dzieci naśladowana z francuzkiego przez K. Masłowską.

— Zeszyt Roczników za miesiąc styczeń r. b. wyszedł i zawiera: Od Redakcyi. Czynności komitetu w miesiącu grudniu 1859 r. Opis porównawczy gospodarstw, którym medale wielkie Towarzystwa Rolniczego w r. 1859 przyznane zostały, przez Maxymiliana Oborskiego. Uprawa lnu i wyrób włókna, w majątku Wołmie, w powiecie i gubernii mińskiéj położonym, przez Kazimierza Stentzla. Informacya o Wystawie płodów gospodarstwa i przemysłu wiejskiego, w Petersburgu w roku 1860. Objaśnienia tyczące się handlu zbożowego z Gdańskiem, dla użytku właścicieli ziemi, na żądanie Towarzystwa Rolniczego opisane w roku 1859, przez dom komisowy Aleksander Makowski et Comp. w Gdańsku. Przegląd pism rolniczych zagranicznych przez J. L. Świeszewskiego. Rozmaitości. Wiadomości o konkursach w powiecie maryampolskim. Ule p. Łapińskiego, we wsi Syntowty, powiecie maryampolskim. Ozon, przez J. L. Świeszewskiego. Sprawozdanie z handlu gdańskiego za miesiąc Listopad 1859 r., przez Aleks. Makowskiego. Kronika bibliograficzna dzieł gospodarczych. Wskazówki do przeprowadzenia oczynszowania w majątkach prywatnych, zebrane dla okręgu Szadkowskiego. Przegląd wiadomości przez korespondentów Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem za miesiąc grudzień 1859 nadesłanych. Ogłoszenia. Dostrzeżenia meteorologiczne za miesiąc listopad 1859 r.

— Dr. Ludwik Adolf Neugebauer, wykładający od założenia c. k. med.-chir. warszawskiéj akademii anatomią, a obecnie akuszeryą, ogłosił prospekt na dzieło

Anatomii opisowéj ciała ludzkiego: który tu dosłownie zamieszczamy:

„Z otwarciem c. k. medyko-chirurgicznéj akademii w Warszawie w r. 1857, powołany zostałem do wykładu anatomii opisowéj ciała ludzkiego Literatura lekarska, niezasobna w odpowiednie polskie książki, zn ewoliła mnie do posiłkowania się dziełami cudzoziemskiemi, na podstawie których, chcąc przyjść bez straty czasu w pomoc uczącéj się młodzieży, ułożyłem stósowny kurs anatomii. W następnym roku wykładu mego, kurs wzmiankowany, aczkolwiek bardzo obszerny, bo szczegółowo całą naukę obejmujący, mając zamiar drukiem ogłosić, zupełnie przerobiłem, zwiększając jego zakres i zmieniająo tak, aby dzieło to uczynić odpowiedniém obecnemu stanowi nauki, i pod każdym względem ile możności równem dziełom zagranicznym.

Obecnie, bez względu że w Akademii teraz inny przedmiot wykładam, postanowiłem pierwotny swój zamiar do skutku doprowadzić. Pragnąłbym bowiem, aby nietylko nasza młodzież, którą pierwszy miałem szczęście wprowadzić na obszerną anatomiczną niwę, z pracy méj korzystać mogła, ale chciałbym także przysłużyć się polskiéj lekarskiéj literaturze, jak niemniéj i moim kolegom. Chciałbym mówię — pracą swą, w któréj pierwszy do walki z przeszkodami wystąpiłem—podzielić się i z współtowarzyszami zawodu i z młodzieżą. Oto są powody naglące mnie do ogłoszenia méj Anatomii.

Ugruntowałem ją na podstawie najpierwszych autorów, a głównie trzymałem się układu sławnego Hyrtla, profesora anatomii w Wiedniu, posiłkując się niemniej i własnem doświadczeniem.

Co się tyczy terminologii, postanowiłem ile możności trzymać się obecnie ustanawiającéj się przez Komitet Słownictwa Lekarskiego, ze względu na terminologię szkoły krakowskiéj.

Całe dzieło podzieliłem na sześć części:

Część pierwsza zawierać będzie naukę o kościach i więzach (Osteologię i Syndesmologię).

Część 2 naukę o mięśniach (Myologię).

Częśc 3 naukę o wnętrznościach (Splanchnologię).

Część 4 naukę o zmysłach (Estezeologię).

Część 5 naukę o nerwach (Neurologię).

Część 6 naukę o naczyniach (Angiologię).

Na końcu z tych części zamieszczam dział literatury, t. j. spis celniejszych dzieł anatomicznych, jakie po dziś dzień wyszły, nieprzepominając i o polskich autorach, których liczba, aczkolwiek nie jest wielka, wszelako zasługuje, aby pamięć poprzedników należny hołd odebrała.

W ciągu całego dzieła starałem się o jasny wykład, a chcąc ułatwić samą naukę nietylko poświęcającym się lekarskiemu zawodowi, dołożyłem wszelkich usiłowań, aby dzieło przyozdobić stósownemi rysunkami, tak w anatomii niezbędnemi. Rysunki wykonywują się w części podług litografii Wilnowa, już to z najlepszych atlasów, już też z natury zdjętych. Szło mi głównie o wierność i w tym celu użyłem w pomoc litografii.

Dzieło to dla nierozrywania całości, postanowiłem wydać w 2ch wielkich tomach, przeszło 80 arkuszy druku w 8ce obejmujących.

Dla uprzystępnienia jego nabycia ustanawia się cena najniższa rs. 6, jaka przy względzie na małą ilość odbitych egzemplarzy konieczną jest do pokrycia kosztów nakładu.

Aby dać jak najłatwiejszą sposobność do nabycia Anatomii, będę ją wydawać zeszytami w bardzo krótkich przerwach jak najregularniéj, tak, aby w kilku miesiącach wydawnictwo ukończyć.

Nowy Sad. Literatura serbska wzbogacona została nowem dziełem pod tytułem: Obrazy z historyi powszechnéj (*Obrazy iz obszte istorije*), których część pierwsza mieszcząca między innemi także obrazy z dziejów serbskich wyszła tego roku w Nowym Sadzie w drukarni Karola Hintza. Autorem powyższego dzieła jest Dr. Mikoł. Krstycz prof. prawa przy liceum serbskiem w Belgradzie, znany już poprzednio uczonemu światu z przekładu Maciejowskiego Historyi prawodawstwa słowiańskiego na język serbski.

Ant. Kłobukowski Redaktor odpow. — Ant. Rother, Rządca druk